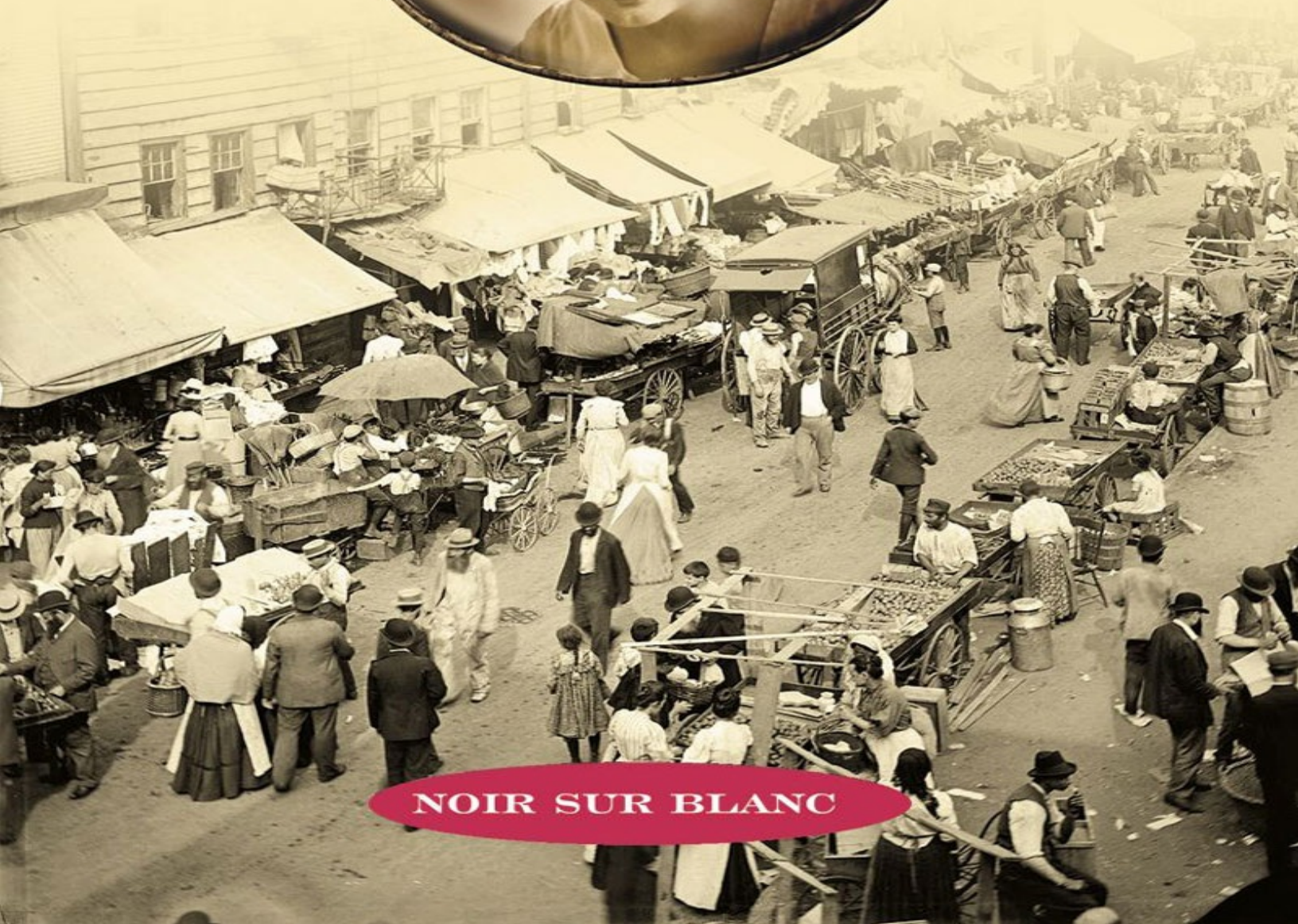


Nie zadzieraj z Molly Murphy!

# RHYS BOWEN

## Śmierć detektywa



NOIR SUR BLANC

**Rhys Bowen**

# **ŚMIERĆ DETEKTYWA**

Przełożyła  
Joanna Orłoś-Supeł

Noir sur Blanc

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Posłowie



Tytuł oryginału: DEATH OF RILEY

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI  
Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, BEATA WYRZYKOWSKA  
Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ

Fotografie na okładce:

© H.Armstrong Roberts/ClassicStock/Corbis/Fotochannels

© Detroit Publishing collection at the Library of Congress courtesy of Shorpy.com

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2002 by Rhys Bowen

For the Polish edition

Copyright © 2013, Noir sur Blanc, Warszawa

Wydanie I elektroniczne

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7392-453-6

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: [nsb@wl.net.pl](mailto:nsb@wl.net.pl)

Księgarnia internetowa: [www.noirsurblanc.pl](http://www.noirsurblanc.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

*Książkę dedykuję swojej duchowej przewodniczce Meg Ruley oraz Dorothy Cannell, która mnie z nią poznała.*

# 1

*Nowy Jork, lipiec 1901*

– Powtórz, proszę! Co chcesz, żebym zrobiła? – zapytałam tak głośno, że jakaś młoda kobieta idąca przed nami odwróciła się z przerażeniem i sięgnęła do torebki po sole trzeźwiące. Parsknęłam śmiechem.  
– Na litość boską, Danielu! Czy wyobrażasz sobie mnie jako damę do towarzystwa?

Potem uważnie popatrzyłam na kapitana Daniela Sullivana. Wcale nie żartował. Z przeproszającym uśmiechem wzruszył ramionami.

– Przecież to dla twojego dobra, Molly. Potrzebujesz pracy. Szukasz jej od dłuższego czasu, ale nic z tego nie wychodzi.

– Nie znalazłam jeszcze zajęcia, które by mi odpowiadało.

Uniosłam sukienkę, starając się ominąć kałużę przy pięknej fontannie z figurą aniołka. Wokół biegali mali chłopcy, niektórzy nadzy jak ich Pan Bóg stworzył. Wskakiwali do wody i wyskakiwali, stawali pod spływającym z góry strumieniem. Wrzeszczeli jak opętani, kiedy gorliwy policjant próbował ich przegonić. Była niedziela i robiliśmy to, co robią wszyscy nowojorczyacy w gorące, wolne od pracy letnie popołudnie. Przechadzaliśmy się po Central Parku. To nadzwyczajne, że tym razem wolny dzień przypadł Danielowi akurat w niedzielę i na dodatek nie wydarzyło się nic, co by przeszkodziło w naszym spotkaniu i zapewniło mi całusa na przeprosiny.

Ostatnio ciągle coś stawało nam na drodze i mało czasu spędzaliśmy razem. W ramach przeprosin Daniel obsypywał mnie pocałunkami. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że to jedyne, czego przyzwoita młoda kobieta powinna się spodziewać przed ślubem, ale konwenanse przestawały się dla mnie liczyć, kiedy spotykałam się z ukochanym. Od dawna miałam nadzieję, że nasz romans przerodzi się w coś trwalszego, ale Daniel Sullivan, najmłodszy kapitan policji w Nowym Jorku, bardzo angażował się w swoją pracę. Ja natomiast nie miałam tak naprawdę nic do roboty.

To wcale nie znaczy, że nie szukałam zajęcia. Kiedy po dość dramatycznej podróży dotarłam do Nowego Jorku, próbowałam znaleźć sobie odpowiednią posadę. Wszyscy święci w niebie mogą zaświadczyć, że naprawdę się starałam! Chciałam na przykład zostać guwernantką, bo opieka nad dziećmi to moja specjalność. Szybko jednak się okazało, że dziewczyna, która dopiero co przyплыnęła z Irlandii do Ameryki i nie ma ze sobą referencji, albo przynajmniej takich referencji, jakie można sprawdzić od ręki – ja sporządziłam kilka porządnych falsyfikatów – nie zostanie zatrudniona jako guwernantka. Już prędzej jako pomoc domowa, ale w roli służącej nie dałabym rady przepracować nawet tygodnia.



Potem przyjmowałam wszystkie zajęcia, jakie mi zaoferowano, z pracą na targu rybnym przy Fulton Street włącznie. Powiedziałam „dość!”, kiedy pewnego dnia prawie utonąłam w rybich wnętrznościach.

– Przyznasz, że niektóre twoje posady to była katastrofa – słowa Daniela wyrwały mnie z zadumy.

Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie potrafi czytać w moich myślach.

– Katastrofą bym ich nie nazwała.

Od stawu za fontanną wiatr przywiał w naszą stronę świeżą bryzę. Tak przyjemnie było poczuć kropelki zimnej wody na rozgrzanej skórze! Chciałam tam chwilkę postać, ale Daniel zaczął mnie pospieszać.

– Chodź, Molly, bo przemokniesz do suchej nitki.

– Ale czuję się wspaniale.

– Może i czujesz się wspaniale – spojrzał na mnie tymi swoimi cudownymi niebieskimi oczami – ale masz na sobie suknię z cienkiego muślinu. Nie chcemy przecież, by inni mężczyźni zaczęli pożerać cię wzrokiem.

Wziął mnie zdecydowanym gestem pod ramię i poprowadził nad brzegiem stawu. Zatrzymałam się na chwilę, by tęsknie popatrzeć na łódki, które po nim pływały. Zauważyłam roześmianą parę. Twarz kobiety była ukryta pod modnym koronkowym parasolem z falbankami i frędzelkami. Ręka zanurzona w wodzie znaczyła ślad. Kawaler wiosłował zawzięcie. Rękawy koszuli miał podwinięte, na głowie słomkowy kapelusz. Nie wyglądał na tak szczęśliwego jak dama. Po zaczerwienionej twarzy ściekały strużki potu.

– Nie nazwałabyś ich katastrofą? – powtórzył Daniel, śmiejąc się pod nosem. Poprowadził mnie dalej.

– A fabryka koszul?

– Masz na myśli to, że przebiłam sobie kciuk igłą? To mogło się przydarzyć każdemu.

Pokręciłam głową tak gwałtownie, że omal nie zgubiłam kapelusza.

– A kto wszył rękawy na lewą stronę? – W niebieskich oczach pojawiły się figlarne iskierki.

– Dobrze wiesz, że nie dlatego mnie zwolnili. Nie pamiętasz, że postawiłam się majstrowi? Te jego brutalne metody i niesprawiedliwe zasady! Potrafił potrącić komuś z pensji za samo kichnięcie. Od razu wiedziałam, że nie dam rady utrzymać języka za zębami.

– A kawiarnia? – przypomniał Daniel.

– No tak, kawiarnię można uznać za porażkę. – Skrzywiłam się na samo wspomnienie tego miejsca.

Ścieżka skręciła, staw został w tyle. Znaleźliśmy cień pod ogromnym, rozłożystym kasztanem. Efekt był natychmiastowy – prawie taki, jakbyśmy zanurzyli się w chłodnej wodzie.

– Teraz jest przyjemnie – zauważył Daniel. – Spójrz, tam jest ławeczka. Usiądźmy na chwilę.

Zdawało się, że upał doskwiera Danielowi bardziej niż mnie. Twarz miał równie czerwoną jak młodzienc w łódce, a niesforne czarne loki przykleiły się do czoła. Trzeba przyznać, że mężczyźni mają gorzej w upalne dni. Muszą się męczyć w marynarkach, kiedy my – kobiety – możemy nosić cienkie muślinowe sukienki. Ale Daniel jest przecież nowojorczykiem i powinien być przyzwyczajony do



upałów. Ja natomiast pochodzę z dalekiej Irlandii, z zachodnich jej wybrzeży, gdzie kilka ciepłych dni z rzędu oznacza falę upałów i gdzie zawsze dla ochłody można się zanurzyć w zimnych wodach Atlantyku.

Daniel wyjął chusteczkę i przetarł nią brwi.

– Znacznie lepiej – powiedział. – Mógłbym przysiąc, że każde lato jest gorętsze od poprzedniego.

Wszystko przez te nowe wieżowce. Zatrzymują wiatr od East River i Hudson.

– Rzeczywiście jest gorąco. – Ochładzałam się chińskim wachlarzem, kupionym za grosze na ulicy.

Zrobiony był z papieru, ozdobiony rysunkiem pagody i górskiego krajobrazu. – Proszę, chyba potrzebujesz go bardziej niż ja – powiedziałam, odwróciłam się i zaczęłam wachlować Daniela.

Śmiejąc się, chwycił mnie za rękę.

– Błagam, przestań. Następnym razem zaczniesz mnie cucić swoimi solami.

– Nigdy ani nie nosiłam, ani nie zamierzam nosić przy sobie soli trzeźwiących – odparłam. – Omdlenia to nie moja specjalność.

– I to właśnie w tobie uwielbiam, Molly Murphy.

Przez dłuższą chwilę Daniel przypatrywał mi się w taki sposób, że aż przeszedł mnie dreszcz. Wciąż trzymał moją rękę.

– Uwielbiam twój charakter, uwielbiam szczupłą talię, te wielkie zielone oczy i zgrabny mały nosek. – Dotknął go dla zabawy.

Potem nagle uśmiech zniknął z jego twarzy, ale wzrok pozostał pełen pożądania.

– Molly, tak bym chciał...

Reszta zdania zawisała w powietrzu, a ja nie dowiedziałam się, czego tak bardzo pragnął Daniel Sullivan. Był młody, zdrowy, ze wspaniałymi widokami na przyszłość, w której powinno się znaleźć miejsce na ożenek. Nie zamierzałam jednak naciskać w tej sprawie. Może czeka na podwyżkę lub oszczędza na dom i dlatego wciąż nie zadaje mi najważniejszego pytania. Oczywiście jeśli w ogóle kiedykolwiek zamierza je zadać. Po raz pierwszy w życiu trzymałam buzię na kłódkę.

– Jestem bardzo zadowolona z tego, co mam – odparłam radośnie. – Mam piękny, duży pokój tylko do swojej dyspozycji, a od czasu do czasu odwiedza mnie w nim pewien przystojniak. Mieszkam w wielkim mieście, tak jak zawsze marzyłam.

Odwrócił wzrok i przez chwilę siedział w milczeniu, przyglądając się swoim dłoniom.

– Nie musimy się spieszyć, Danielu – powiedziałam. – Gdybym tylko mogła znaleźć odpowiednią pracę, taką, w której nie będą mnie ani obrażać, ani zarzucać obowiązkami ponad siły!

– Czy nie wspomniałem ci o posadzie damy do towarzystwa?

Dotknęłam jego dłoni.

– Naprawdę uważasz, że byłabym dobrą damą do towarzystwa? To zwykle żalodne szare myszki, zbyt nieśmiałe, żeby się odezwać nawet wtedy, kiedy o coś pytasz. Potrafią tylko głaskać kota i trzymać na kolanach włóczkę do robótek. Pamiętasz, że kiedyś próbowałam być służącą? Dobrze wiesz, jak to się

skończyło.

– Molly, dama do towarzystwa to nie to samo co służąca. Twoim zadaniem będzie czytać na głos pannie Van Woekem i zabierać ją na spacer po parku. Przecież to proste.

– Pewnie jest zrzędliva i lubi rozkazywać jak wszystkie stare panny. Szybko puszczą mi nerwy i tak to się skończy. – Roześmiałam się, ale Daniel nawet na mnie nie spojrzał.

– Molly, chyba nie muszę ci przypominać, że powinnaś szybko znaleźć sobie jakąś pracę. Wiem, że dostałaś od radnego mały prezent w ramach przeprosin za to, co spotkało cię w jego domu, ale...

– To była łapówka, Danielu. Dobrze o tym wiesz.

– ...ale te pieniądze kiedyś się skończą – kontynuował, zupełnie ignorując moją uwagę. To zabawne, że policjanci w Nowym Jorku nagle stają się głusi, gdy słyszą słowo „łapówka”. – Poza tym musisz płacić za mieszkanie. To niewielka suma, ale jednak.

– Państwo O’Hallaran są rzeczywiście bardzo mili – zauważyłam. – Uważam, że gdyby tylko chcieli, mogliby wynająć mieszkanie za znacznie większą sumę.

To dzięki Danielowi miałam taki przyjemny pokój. Jego właścicielem był znajomy policjant.

– Pamiętaj, że Seamus dokłada się do czynszu, a na dodatek kupuje prawie całe jedzenie.

– To raczej zrozumiałe. W końcu ty gotujesz posiłki i zajmujesz się jego dziećmi.

– To dla mnie przyjemność – stwierdziłam. – Nie sprawiają kłopotu. Poza tym co miałby z nimi zrobić? Wszystko na jego głowie. Żona umiera w Irlandii.

Dzieci Seamusa – chłopiec i dziewczynka – przypląnęły do Ameryki pod moją opieką na prośbę chorej na gruźlicę matki, która obawiała się, że z powodu złych wyników badań nie zostanie wpuszczona na statek. Ale jeśli ktoś gotów pomyśleć, że jestem święta, od razu dodam, że ten układ pasował nam obu.

– Masz dobre serce, Molly – rzekł Daniel. – Ale taka sytuacja chyba nie może trwać wiecznie. Nie czuję się komfortowo. W końcu mieszkasz z mężczyzną, którego żona jest w Irlandii.

Popatrzyłam na niego wesoło.

– Nie czujesz się komfortowo? Danielu, przecież Seamus jest zupełnie nieszkodliwy. Widziałeś go, prawda? Trudno byłoby go uznać za dobrą partię. Na dodatek dzieli nas kuchnia i hol, a pani O’Hallaran pilnuje, żebyśmy zachowywali się przyzwoicie.

– Nie o to chodzi – odparł Daniel. – Ludzie zaczną gadać. Chcesz, by zaczęli mówić, że jesteś czyjąś utrzymanką?

– Nie, nie chcę.

– W takim razie, proszę, posłuchaj mnie i znajdź sobie zajęcie, które nie skończy się znowu jakąś tragedią.

Uwagi Daniela na temat moich niepowodzeń na rynku pracy zaczynały mnie powoli denerwować. Nie znoszę porażek.

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, planuję zrealizować swoje dawne plany i podjąć pracę prywatnego detektywa. Przecież już o tym rozmawialiśmy.

Powiedziałam to raczej, by go zdenerwować, niż w jakimś konkretnym celu.

Daniel wzniósł oczy do nieba.

– Molly, kobiety nie zostają detektywami. O tym też już rozmawialiśmy.

– To może powinniśmy to zmienić? Mam już przecież sukcesy na tym polu.

– Czy sukcesem nazwiesz również to, że o mały włos nie zostałaś zamordowana?

– Masz rację. Tego akurat nie uważam za sukces. Ale dobrze wiesz, że nie zamierzam się zajmować sprawami kryminalnymi. Niczym, co byłoby niebezpieczne. Wciąż mam przed oczami tych wszystkich ludzi w porcie w Liverpoolu, czekających na informacje o swoich bliskich, którzy popłynęli do Ameryki. To byłoby szlachetne zajęcie, prawda? Na nowo łączyłabym rodziny.

– A czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że ci bliscy wcale nie chcą być odnalezieni w Ameryce? – zapytał. – Zresztą nieważne. Jak niby zamierzasz rozpocząć taką pracę? Na to potrzeba biura, ogłoszeń...

– Tak, wiem...

– A jeśli ten bliski wyjechał do Kalifornii, wsiądziesz do pociągu i pojedziesz go szukać? Rodziny imigrantów nie będą miały pieniędzy, żeby zapłacić za twój bilet.

– Z pewnością na początek będę potrzebowała jakiegoś kapitału.

Przerwałam, by przyjrzeć się ludziom w otwartym powozie, który właśnie przejechał aleją wśród drzew. Piękne kobiety w białych kapeluszach z szerokim rondem i mężczyźni w eleganckich letnich marynarkach rozmawiali sobie jakby nigdy nic. Przed nimi świat stał otworem!

– Po prostu będę musiała brać tylko sprawy dobrze płatne.

Daniel zwrócił się w moją stronę i wziął mnie za rękę.

– Molly, proszę, daj sobie z tym spokój. Przecież nie potrzebujesz prowadzić żadnych interesów. Powinnaś jedynie znaleźć przyzwoitą i przyjemną pracę, która pozwoli ci na opłacenie czynszu. To wszystko.

– A może przyzwoita i przyjemna praca nie sprawi mi satysfakcji? Może chciałabym osiągnąć coś więcej?

Znów się roześmiał. Tym razem trochę niepewnie.

– Przecież nie jesteś mężczyzną i nie musisz się martwić o karierę. Chodzi tylko o zabicie czasu, dopóki nie zostaniesz czyjąś żoną.

Znów zauważyłam iskierki w jego oczach, powaga zniknęła.

– Czyjąś żoną? Dobre sobie! Nie widzisz, że dla mnie jest już za późno? Skończyłam dwadzieścia trzy lata.

– Za późno? W twoim przypadku nigdy nie będzie za późno. Nawet w wieku pięćdziesięciu lat będziesz wciąż fascynująca.

– Marna pociecha – odparłam. – Pięćdziesięcioletnia dama do towarzystwa? Przejdziemy się?

Wstałam z ławki. Ta rozmowa nie szła po mojej myśli. Daniel miał tyle okazji, by powiedzieć, jakie

ma wobec mnie zamiary. Z żadnej nie skorzystał. A nie był przecież ani nieśmiały, ani niezdecydowany. Ale potem powiedział coś, co naprowadziło mnie na tor, jakim biegły jego myśli.

– Bardzo chciałbym, żebyś chociaż spróbowała popracować u panny Van Woekem, Molly. To bardzo szanowana osoba. Dla moich rodziców jest autorytetem. Posada u niej da ci wstęp do nowojorskiej socjety.

I wtedy mnie olśniło. Po prostu nie chce żenić się z dziewczyną znikąd. Dlatego nie składa mi żadnych propozycji. Opuściłam Irlandię, uciekając od podziału na klasy, i trafiłam do Nowego Jorku, gdzie również rządzi snobizm i podziały społeczne. A jakie jest niby jego pochodzenie? Rodzina Sullivanów przybyła do Ameryki w czasie wielkiego głodu. Przecież też nic ze sobą nie mieli. Już otworzyłam usta, by mu powiedzieć, gdzie mam pracę damy do towarzystwa i tę całą pannę Van Woekem, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. On to wszystko robi dla mnie! Chce, bym stała się częścią nowojorskiej śmietanki towarzyskiej; by inni zaczęli mnie akceptować. Co więcej, to z pewnością lepsze niż patroszenie ryb. Czy mam coś do stracenia?

– W porządku. Jeśli uważasz, że powinnam przyjąć tę pracę, mogę spróbować.

Wstał i położył mi ręce na ramionach.

– Zuch dziewczyna! – powiedział i pocałował mnie w czoło.

– Pójdziemy do lasku Ramble? – popatrzyłam w stronę ścieżki po swojej lewej stronie.

Część parku znana jako Ramble była gęstym niskim zagajnikiem poprzecinanym krętymi drózkami. Wystarczyło zrobić parę kroków, a trudno było uwierzyć, że to wciąż Nowy Jork. Dodatkowo było to jedno z nielicznych miejsc, gdzie nikt nie mógł dostrzec skradzionych pocałunków.

Ale Daniel pokręcił głową.

– Dzisiaj za gorąco na spacer. Może dla odmiany pójdziemy na lody?

– Lody? Cudownie! Tak, chodźmy na lody!

W taki upalny dzień lody znaczyły dla mnie nawet więcej niż pocałunki. Dopiero niedawno po raz pierwszy spróbowałam tego zimnego luksusowego przysmaku i wciąż nie mogłam uwierzyć, że w Nowym Jorku lodów jest pod dostatkiem i że można je tu kupić codziennie.

Daniela ucieszył mój entuzjizm.

– Proszę, bądź zawsze sobą!

– To może być trudne. Pracując jako dama do towarzystwa, prędzej czy później zamienię się w zgorzkniałą starszą pannę – odparłam.

Zaśmiał się i objął mnie w tali. Nie zamierzałam go powstrzymywać, chociaż było strasznie gorąco i podobne zachowania nie uchodziły w Central Parku. Wtopiliśmy się w niedzielny tłum podążający w kierunku East Drive. Była tu chyba połowa miasta. W odkrytych powozach jechała nowojorska socjeta, nie zważając zupełnie na idących piaszczystymi alejkami zwykłych ludzi: ubrane na czarno surowe włoskie matki z grupkami krzykliwych *bambinos*, na żydowskich ojców ze spokojnymi synami w jarmułkach i dumnych tatusiów pchających przed sobą wielkie wózki z niemowlętami. Wokół słychało

się wiele języków. Kiedy zbliżyliśmy się do bramy, hałas stał się jeszcze głośniejszy – muzyka na karuzeli mieszała się z dźwiękami liry, na której wygrywał jakiś włoski muzyk, a na to wszystko nakładały się nawoływania sprzedawcy lodów. Wiedziałałam, że Daniel nigdy nie zgodziłby się na lody w parku. Twierdził, że nie wiadomo, z jakiego źródła pochodzą, i że dur brzuszny lubi atakować właśnie w taką pogodę.

Nagle z tłumu wyłonił się wytworny niski mężczyzna w brązowym garniturze i kapeluszu.

– Proszę się nie ruszać! – krzyknął w naszym kierunku.

– W porządku, tylko zrobi nam zdjęcie – szepnął Daniel, kiedy zobaczył przerażenie na mojej twarzy. – To jeden z fotografów, którzy tu pracują.

Mężczyzna wysunął w naszą stronę czarne pudełko, usłyszałam charakterystyczny dźwięk i było po wszystkim.

– Na pamiątkę miłego dnia! Proszę uprzejmie – powiedział, poważnie kiwając głową. Mówił z dziwnym akcentem, ni to londyńskim cockneyem, ni to gwara z nowojorskiej Bowery. Podszedł do Daniela. – Proszę, moja wizytówka. Może zechce pan wstąpić do atelier i zakupić zdjęcie dla przyjaciółki.

Kiedy wręczał Danielowi wizytówkę, wydało mi się, że widzę, jak wkłada mu rękę do kieszeni. Trwało to tylko ułamek sekundy, więc nie wiedziałam, czy wierzyć własnym oczom. Przez chwilę byłam zbyt zaskoczona, by cokolwiek zrobić. Gdy w końcu chwyciłam Daniela za ramię, żeby go ostrzec, ujrzałam, jak mężczyzna cofa dłoń. Była pusta. Nie chciałam robić zamieszania, więc nie powiedziałam nic, dopóki fotograf nie zniknął nam z oczu.

– Ten człowiek chciał ci chyba coś ukraść – szepnęłam.

– Nie miał szczęścia – uśmiechnął się Daniel. – Noszę przy sobie tylko chusteczkę do nosa i trochę drobnych.

Włożył rękę do kieszeni i zauważyłam, że zmienił się na twarzy.

– Tak, nie miał szczęścia – powtórzył i wziął mnie pod ramię. – No, chodźmy wreszcie na te lody.

Do wspaniałego domu z kutymi balkonami przy South Gramercy Park wprowadziła mnie sztywna służąca.

– Panna Murphy, proszę pani – powiedziała, dygnęła i już jej nie było.

Starsza dama, siedząca przy oknie w krześle z wysokim oparciem, sprawiała wrażenie, jakby ktoś wyciosał ją z marmuru. W pomarszczonej starej twarzy żywe były tylko oczy, którymi się we mnie wpatrywała.

– No, wejdź, proszę. Nie stój tak – odezwała się ostrym, skrzeczącym głosem. – Jak ci na imię?

– Molly. Molly Murphy.

Spojrzenie miała tak intensywne, że stałam jak zaczarowana.

Prychnęła.

– Molly! To nie imię, tylko przezwisko dla służących albo wieśniaczek. Chyba dali ci jakoś na chrzcie?

– Na chrzcie otrzymałam imiona Maria Magdalena.

– To z kolei zbyt pretensjonalnie jak na osobę twojego pochodzenia. Nikt poniżej klasy średniej nie potrzebuje dwóch imion. Będę cię nazywała jedynie Mary.

Oprzytomniałam i w końcu zareagowałam na jej impertynencje.

– Proszę mnie nazywać, jak tylko sobie pani życzy, tyle że ja nie będę odpowiadać. Mam na imię Molly. Zawsze tak miałam. Jeśli pani to imię się nie podoba, proszę zwracać się do mnie „panno Murphy”.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła z cichym „mhm”.

– Pozwól, że ci się przyjrzę.

Czułam, jak świdruje mnie głęboko osadzonymi oczami.

– Czy nosisz gorset?

– Nie noszę i nigdy nie nosiłam – odparłam. – Tam, skąd pochodzę, nie uznajemy podobnych rzeczy.

Westchnęła z dezaprobatą.

– Daniel przekazał mi, że dopiero co przyjechałaś z Irlandii, nie wspomniał jednak, że pochodzisz z buszu. Kiedy będziesz dzisiaj wychodzić, dam ci pieniądze. Udasz się do mojej gorseciarki; niech zdejmie z ciebie miarę. A co się tyczy reszty ubioru... Nie będę wymagać czarnej sukienki w ten upał, ale rozumiem, że masz jakąś gładką szarą?

– Nie mam za wiele strojów – odpowiedziałam. – Większość rzeczy zostawiłam w Irlandii.

Nie tłumaczyłam, dlaczego musiałam w pośpiechu opuścić ojczyznę. Nikt oprócz mnie nie znał

powodów. Nie zamierzałam ich zdradzać pannie Van Woekem.

– Poproszę ochmistrzynię, by zajrzała do garderoby służby. Może znajdzie coś odpowiedniego – odparła.

– Zrozumiałam, że poszukuje pani damy do towarzystwa, nie służącej.

Ponownie zdecydowałam się na konfrontację z jej spojrzeniem. Zagięty nos i małe czarne oczka upodobały ją do nieznanego gatunku ptaka. Z pewnością drapieżnego.

– Już nie wychodzę z domu tak często jak kiedyś – powiedziała, zmieniając temat. – A lubię otaczać się ładnymi przedmiotami.

Powiodłam dookoła wzrokiem. Rzeczywiście – widok cieszył oko. Pokój nie był tak zagracony bibelotami jak w innych bogatych domach, w których bywałam. Surowy, ale jednocześnie elegancki. Meble zrobiono ze starannie polerowanego mahoni, na kanapach leżały miękkie jedwabne poduszki. Jedną ze ścian prawie w całości zakrywał regał na książki, wypełniony oprawionymi w skórę tomami. Zauważyłam lampę z witrażowym abażurem i kilka pięknych, choć dość ponurych obrazów. Wnętrze nie nazwałabym typowo kobiecym, ale z pewnością nie można mu było odmówić dobrego smaku.

– Lampę zrobił pan Tiffany – wyjaśniła, dostrzegłszy moje zainteresowanie. – Uległam obecnej modzie. A to płótno nad kominkiem..

– Wygląda na szkołę flamandzką – powiedziałam, przyglądając się ciemnemu obrazowi, który przedstawiał dziewczynę śpiącą przy stole. – Czy to kopia Vermeera?

Zaśmiała się, ale nie wiem, czy ze wzgardą, czy z zadowoleniem.

– To jest Vermeer – odparła. – A skąd ty w ogóle masz pojęcie o malarstwie? Czy na irlandzkiej wsi wiesz się teraz obrazy?

– Może nie jestem modnie ubrana, ale odebrałam edukację. Nasza guwernantka była wielbicielek sztuki. Zwiedziła największe galerie Europy.

– Miałaś guwernantkę? – Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Pobierałam lekcje razem z córkami właściciela ziemskiego – odrzekłam, mając nadzieję, że nie będzie zadawać dalszych pytań.

Zawiesiła na mnie spojrzenie, które można by uznać za impertynenckie. Oczywiście tylko w sytuacji, gdybyśmy rozmawiały jak równy z równym. Najpewniej zastanawiała się, czy kłamię, czy jestem bezczelna.

– Masz ładną buzię – odezwała się w końcu. – I potrafisz się zgrabnie poruszać. Ale ten twój strój widział lepsze czasy. Poproszę, by krawcowa nas odwiedziła i zdjęła z ciebie miarę. Może jednak wybierzemy inny kolor na sukienkę, nie szary... Wtedy włosy zyskają lepsze tło. Pod warunkiem jednak, że się je porządnie ułoży.

Przygotowując się do pracy w roli damy do towarzystwa, próbowałam spiąć włosy w kok, aby ujarzmić te wszystkie loki i kosmyki. Niestety, bez powodzenia. Zapanowanie nad niesfornymi włosami było tak samo niemożliwe jak ustawienie tamy na oceanie.



– A więc skoro znasz się na sztuce i odebrałaś edukację u guwernantki, prawdopodobnie czytujesz nie tylko tanie romansidła.

– Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż ciekawa książka – oznajmiłam, patrząc w stronę regału na ścianie. – W każdej wolnej chwili biorę powieść do ręki.

– W takim razie może się jednak okazać, że pozory mylą i będę z ciebie zadowolona. Zacznijmy od tego, że teraz mi trochę poczytasz. Jaka literaturę lubisz?

– Bardzo lubię Charlesa Dickensa...

– Sentymentalne powieścicidła dla mas – odparła. – Po co mam czytać o biedzie, skoro atakuje mnie ona na każdym kroku?

– To może Jane Austen?

– Babskie bajdurzenie. Nie znajdziesz na tych półkach zbyt wielu powieści, moja panno. Uważam, że czytanie służy dwóm celom: edukacji i poprawie samopoczucia. Bądź tak dobra i weź ten cienki tomik, który leży na kanapie. Z niego coś wybierzemy. To nowo wydany raport na temat okrucieństwa w Chinach, napisany przez siostrę jednego z misjonarzy, któremu Chińczycy obcięli głowę. Obawiam się, że są na świecie nacje, których nigdy nie uda się nam ucywilizować albo nakłonić do przejścia na chrześcijaństwo.

– Chińczycy należą do bardzo starej cywilizacji i mogą nie być zainteresowani chrześcijaństwem – zauważyłam.

– Bzdury wygadujesz, dziewczyno. Mamy obowiązek głosić dobrą nowinę. Podejrzewam, że należysz do Kościoła rzymskokatolickiego i nigdy nie zrozumiesz tego, o czym mówił Marcin Luter albo Jan Kalwin. A szkoda! Co gorsza, moja córka chrzestna chce poślubić człowieka o podobnych poglądach. Powiedziałam jej wyraźnie: „Lepiej nawróć chłopaka na porządną wiarę jeszcze przed ślubem, bo nie zamierzam chodzić na żadne nabożeństwa, na których macha się kadzidłem i modli do świętych”.

Uznałam, że lepiej tego nie komentować.

– Ale Arabella jest indywidualistką i nie zależy jej na opinii innych ludzi, nawet mojej, choć wie, że kiedyś wszystko, co mam, będzie należało do niej – dodała, kiedy sięgałam po książkę.

Zdałam sobie sprawę, że utrzymując na twarzy sztuczny uśmiech, mocno przygryzam zęby. Nie byłam pewna, czy Daniel miał świadomość, jak wiele dla niego robię. Z pewnością któraś z nas zaraz wybuchnie. Nie wiem tylko która pierwsza – ja czy panna Van Woekem. Przy sofie leżał biały futrzany dywanik. Kiedy na nim stanęłam, poruszył się i z wrzaskiem zaatakował mnie pazurami. Aha, więc w tym domu są jeszcze koty – pomyślałam.

– Patrz pod nogi, niezgrabna dziewczyno – prychnęła panna Van Woekem. – Rozzłościłaś księżniczkę Yasmin.

Powstrzymałam się od komentarza, choć już miałam sprostować, że to księżniczka Yasmin rozzłościła mnie, a nie na odwrót. Wielki biały pers przyglądał mi się z wyjątkową pogardą. Ostrożnie, żeby znów nie zdenerwować kota, wzięłam książkę do ręki. Niepotrzebnie się martwiłam. Kotka już na mnie nie patrzyła; odwróciła się tyłem i lizała łapę, tak jakbym w ogóle dla niej nie istniała.

Po godzinie czytania do pokoju weszła służąca, by oznajmić, że lunch gotowy.

– Poproszę swoją porcję na tacy – odparła panna Van Woekem. – A panna Murphy zje posiłek w jadalni – dodała, spojrzeniem nakazując mi zamknąć książkę. – Zadziwiająco dobrze czytasz jak na kogoś twojego pochodzenia. Akcent oczywiście masz nieokrzesany, ale jestem pozytywnie zaskoczona. Może jednak będę miała z ciebie pożytek.

A może nie... – pomyślałam, kierując się w stronę jadalni. Skoro Daniel uważał, że to łatwa praca, to znaczy, że nigdy dobrze jej nie poznał.

Jadłam w mało komfortowych warunkach – sama przy wielkim stole z polerowanego mahoni, ze służącą czekającą za moimi plecami, aż skończę. Nie mogę jednak powiedzieć, by jedzenie było niedobre. Dla kogoś, kto – jak mawiała moja matka – miał zawsze wysokie aspiracje, taki posiłek powinien być codziennością. Zjadłam coś w rodzaju musu z ryby na zimno, sałatkę, a na deser owoce i małe bezy. Bardzo mi to smakowało. Do picia – domowa lemoniada. Zaczęłam bardziej optymistycznie zapatrywać się na tę pracę, zwłaszcza kiedy się okazało, że po lunchu panna Van Woekem ucięła sobie drzemkę, a ja mogłam spokojnie pobuszować w bibliotece.

Po podwieczorku, który zjadłyśmy przy małym stoliku w salonie, poprosiła, bym przygotowała jej fotel spacerowy. Pomogła mi służąca i wkrótce panna Van Woekem siedziała w dziwnej konstrukcji na kółkach.

– Zabierz mnie do parku. To najprzyjemniejsze miejsce o tej porze dnia.

W samym centrum Gramercy Park był ogrodzony parkanem ogród z drzewami, krzewami i kwiatami. Pchałam fotel na drugą stronę ulicy, kierując się ku północnej kutej bramie. Kiedy się do niej zbliżyłyśmy, z ogrodu wychodziła właśnie starsza para. Mężczyzna o imponujących białych wąsach zdjął kapelusz, skłonił się zamaszyście, a potem uprzejmie przytrzymał nam furtkę.

– Dzień dobry, panno Van Woekem. Znów jest dość gorąco, prawda?

– Nic dziwnego, w końcu mamy lipiec. Miłego dnia!

Kiedy wchodziliśmy do ogrodu, szepnęła do mnie:

– No, to już przesada. Tylko dlatego, że kiedyś w Ohio poznał McKinleya, udaje, że zapomniał, jakie ma pochodzenie. Przecież jego ojciec był tylko sklepikarzem!

Krażyłyśmy po parku, odpoczywając od upału w cieniu drzew, ciesząc się zapachem pięknych kwiatów i krzewów. W pewnym momencie zauważyłam, że nieopodal stoi mężczyzna w brązowym garniturze i kapeluszu. Kiedy podeszłyśmy, schował się głębiej między drzewa. Nic jednak nie robił, nie widziałam też, by miał przy sobie jakieś narzędzia do pracy. Po prostu stał, patrząc na jeden z domów naprzeciwko. Chyba nawet nas nie zauważył.

W oddali zegar wybił szóstą.

– Czas wracać – powiedziała panna Van Woekem. – Muszę się przebrać do kolacji. Córka chrzestna ma mnie odwiedzić, oczywiście pod warunkiem, że ktoś inny nie złoży jej lepszej propozycji. Przyjechała do miasta na parę dni, by zrobić zakupy. Możesz mnie zawieźć do domu.

Popchnęłam fotel w kierunku bramy, pochyliłam się, by ją otworzyć, ale była zamknięta.

– Nie wzięłaś klucza? – zapytała zniecierpliwiona.

– Klucza? Nie wiedziałam, że potrzebny jest jakiś klucz. – Poczułam, że się czerwienię ze zdenerwowania.

– Litości! Oczywiście, że potrzebny jest klucz. Przecież nie chcemy, by wchodził tu byle kto.

– Mogła to pani powiedzieć wcześniej. Zanim tu przyszliśmy – zauważyłam.

– Jak śmiesz?!

– Zrozumiałam, że potrzebuje pani damy do towarzystwa, a nie dziewczyny na posyłki – odparłam. –

Jeśli pani nie odpowiadam, proszę poszukać sobie kogoś innego.

Patrzyłyśmy na siebie jak dwa psy, które walczą o terytorium.

– Mam nadzieję, że jednak będę umiała cię wychować – powiedziała w końcu z błyskiem w oku i lekkim uśmiechem na twarzy. – A teraz lepiej znajdź jakiś sposób, by wydostać nas stąd przed zmierzchem.

Zostawiłam pannę Van Woekem w cieniu drzew i zaczęłam chodzić po parku, wyglądając za ogrodzenie i starając się zwrócić na siebie uwagę. Ale nikt nie przechodził. Gdzieś daleko szybkim krokiem maszerowały dwie służące, przejechał również powóz, ale tak szybko, że nawet nie zdążyłam zamachać. Kiedy kierowałam się w stronę południową, przypomniałam sobie o mężczyźnie w brązowym garniturze. Nie zauważyłam, żeby wychodził z parku, więc powinien nam pomóc. Ale pod drzewami nie było nikogo. Rozejrzałam się dookoła. Żadnego ruchu. Tylko wiewiórka przebiegła po trawniku.

Zaraz potem krzak przy ogrodzeniu gwałtownie się poruszył. To nie była wiewiórka, ale coś znacznie większego. Może kot? Podeszłam bliżej i zamarłam, widząc, jak mężczyzna w brązowym garniturze czołga się między krzewami. Nagle zatrzymał się i obejrzał. Na szczęście zdążyłam ukryć się za drzewem. Najwyraźniej zadowolony, że nikt go nie widzi, chwycił pręt w ogrodzeniu, wyjął go, wyszedł przez dziurę, a następnie umieścił pręt na miejscu. Wszystko to trwało zaledwie parę sekund. Potem widziałam, jak starannie otrzepuje ubranie i odchodzi ulicą, pogwizdując jak gdyby nigdy nic.

To całe zdarzenie tak bardzo mnie zdziwiło, że dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, iż gdzieś już tego człowieka widziałam. Tak! To on zrobił mnie i Danielowi zdjęcie w Central Parku!

Do tego dziwnego zajścia powróciłam myślami dopiero następnego dnia. Na razie uznałam, że mężczyzna po prostu chciał побыć w ogrodzie, ale nie miał klucza. W mieście w taki upał, kiedy w powietrzu unosi się żar nie do wytrzymania, cień drzew jest niezwykle kuszący.

Dzięki fotografowi znalazłam wyjście z trudnej sytuacji – zrobiłam dokładnie to samo co on: wydostałam się przez dziurę w ogrodzeniu, a potem pobiegłam do służącej po klucz. Nie opowiedziałam panie Van Woekem o szczegółach całego zdarzenia, zachowując dla siebie informację, że w ogrodzeniu jest obluźowany pręt.

Kiedy wieczorem przyszedłam do domu, moja gospodyni była bardzo zdenerwowana.

– No wreszcie, panno Murphy. Nie mogłam się doczekać pani powrotu – powiedziała, wychodząc ze swojego mieszkania na korytarz i uniemożliwiając mi tym samym wejście na schody.

Często tak robiła, bez względu na to, o której godzinie wracałam. Moja matka nazywała kobiety tego pokroju firankowymi. Mawiała, że nie mają nic lepszego do roboty, niż tylko siedzieć w oknie i podglądać zza firanki, co się dzieje na świecie.

– Dlaczego, pani O’Hallaran? Czy coś się stało?

– Do czego to doszło tam na górze? – Podbródkiem wskazała schody. – Mam wrażenie, że mieszka tam już połowa Lower East Side.

– Tylko nie to – jęknęłam. – Pewnie rodzina mojego współlokatora przyszła w odwiedziny.

W całym Nowym Jorku nie było nikogo, kto by bardziej działał mi na nerwy.

– Ta gromada dzikusów hałasuje tak strasznie, że musiałam posłać męża na górę. Jeszcze raz zaczną wrzeszczeć, a wyrzucę ich z domu. – Odwróciła się, ale dodała jeszcze na odchodnym: – Kapitan Sullivan rekomendował panią jako spokojną i uczciwą lokatorkę. Proszę popatrzeć, co się teraz w tym domu dzieje. Wszystko przez panią!

– Bardzo mi przykro, pani O’Hallaran, ale przecież rozmawialiśmy o sytuacji O’Connorów. Czuję się odpowiedzialna za te dzieci. Żyły w nieludzkich warunkach w tamtym okropnym, ciasnym mieszkaniu. Pomyśleć tylko, że ich biedna matka umiera w Irlandii...

Gospodyni złagodniała.

– Przecież wszystko rozumiem. Tylko człowiek bez serca nie przejąłby się ich losem, prawda? Biedne ptaszyny! W obcym mieście, bez matki, która być może jest już wśród aniołów... – Zrobiła znak krzyża na piersi. – Nie chodzi mi jednak o tę dwójkę. Przy nich wystarczy silna ręka, a wyjdą jeszcze na prostą. Ale ta cała reszta...

– Całkowicie się z panią zgadzam – odparłam. – Zaraz z nimi porozmawiam.

– Bardzo proszę, panno Murphy. Będę zobowiązana.

Westchnęłam i poszłam na górę. Kiedy zajmowałam się dziećmi na statku, nie zdawałam sobie sprawy, jaką odpowiedzialność biorę na swoje barki. Wydawało się, że kiedy oddam je pod opiekę ojcu, będę mogła spokojnie zniknąć z ich życia. Rzeczywistość okazała się jednak trudniejsza, niż przypuszczałam. Pani O'Hallaran nie myliła się – to były „biedne ptaszyny”. Przecież nie mogłam ich zostawić w tej ciasnocie, z ciotką potworem i jej rodziną. Nuala i ja znienawidziłyśmy się od pierwszej chwili, kiedy razem z dziećmi dotarłam z Ellis Island na Lower East Side. Nie miałam wtedy dokąd pójść, a Nuala robiła wszystko, bym czuła się niemiłe widziana. To dlatego, jak tylko Daniel znalazł dla mnie mansardę na Czwartej Wschodniej, zapragnęłam pomóc ojcu dzieci i zaproponowałam wspólne mieszkanie. Bardzo polubiłam małego Seamusa, którego przezywałam Szelmą. Przywiązałam się również do jego siostry Bridie. Opieka nad dziećmi to jedyna przysługa, jaką mogłam oddać ich biednej matce Kathleen, która pewnie teraz w Irlandii odchodzi od zmysłów. Nie wie przecież, czy jej pociechy szczęśliwie dotarły do ojca. Wychodząc dziś rano na cały dzień do panny Van Woekem, miałam złe przeczucia. Dzieci są jeszcze za małe, by zostawiać je bez opieki w tym wielkim mieście, a ich ojciec pracuje całymi dniami przy budowie podziemnej kolejki. Natychmiast jednak uświadomiłam sobie, że muszą przyzwyczajać się do samodzielności. Nowy Jork jest miastem, w którym tylko najsilniejsi dają sobie radę. Poza tym, myślałam dalej, wspinając się na kolejne piętro, nie jestem z nimi w żaden sposób spokrewniona, a moja praca dla panny Van Woekem tylko pomoże im stanąć na nogi. Wzięcie odpowiedzialności za te dzieci to rola Seamusa.

Następny dzień pracy mijał zaskakująco szybko i spokojnie. Wysłano mnie po wełnę do robótek ręcznych, a kiedy wróciłam, zastałam pannę Van Woekem przy oknie. Bacznie się czemuś przyglądała.

– W parku jest jakiś dziwny człowiek – powiedziała, nie odrywając wzroku od okna. – Cały dzień tam stoi.

Podeszłam do niej i zobaczyłam mężczyznę w brązowym garniturze.

– Wczoraj też tam był – zauważyłam. – W tym samym miejscu.

– To mi się w ogóle nie podoba – oznajmiła panna Van Woekem. – Pewnie jakiś włamywacz. Zastanawia się, który dom wybrać.

– Bardzo długo już się zastanawia – zauważyłam. – Skoro stał tam wczoraj i dzisiaj jest od samego rana...

– Obserwuje nasze ruchy i czeka, aż dom będzie pusty. Proszę, poszukaj policjanta i przyprowadź go tutaj.

Zrobiłam, o co prosiła, i po chwili wróciłam z postawnym posterunkowym o czerwonej twarzy, którego spotkałam na rogu Czwartej Alei i Dwudziestej Pierwszej Ulicy.

– Podobno w ogrodzie stoi podejrzany mężczyzna – zagadnął, uderzając pałką w otwartą dłoń i dając nam tym samym do zrozumienia, że jest gotowy do akcji. – Zaraz się nim zajmujemy. Co dokładnie robi? Zachowuje się nieprzyzwoicie?

– Nie. Po prostu stoi i patrzy na jeden z domów.

Poszliśmy do parku.

– Gdzie dokładnie stał, kiedy widziała go pani po raz ostatni? – zapytał szeptem przed bramą.

Wskazałam na południowy zachód. Kiwnął głową.

– Przejdziemy się jakby nigdy nic, od drugiej strony, tak by nas nie zauważył. A potem szybko wejść do środka i zaskoczę go.

– Tam jest – szepnęłam. – Widzi pan? Pod tym wielkim drzewem.

Popatrzył we wskazanym kierunku, potem zerknął jeszcze raz.

– Ależ, panienko. Nie ma się czym denerwować. To stary Paddy. Dobrze go znam. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Prawdopodobnie obserwuje ptaki. To jego pasja.

Po powrocie opowiedziałam wszystko panie Van Woekem.

– Ptaki obserwuje! – krzyknęła. – No proszę, nie wiedziałam, że ptaki zakładają gniazda na drugim piętrze. No, ale skoro policjant mówi, że nie ma się czego obawiać... Jeśli będzie jakieś włamanie, to tylko z winy policji.

Kiedy odpoczywała po południu, znów wyjrzałam przez okno. Co on tam robi? A potem coś mignęło w promieniach słońca. Lornetka! Obserwował dom przez lornetkę. I wtedy zrozumiałam. Nie był wcale włamywaczem, ale kimś w rodzaju detektywa. A policjant doskonale o tym wiedział. Może nawet ten człowiek pracuje dla policji.

Przypomniałam sobie swój niedzielny spacer z Danielem. Daniel uśmiechnął się tylko, kiedy powiedziałam, że fotograf chyba próbuje mu coś ukraść z kieszeni. Potem jednak, gdy w końcu włożył do niej rękę, zmienił się na twarzy. Byłam taka głupia! Ten człowiek niczego nie zamierzał kraść. On włożył coś do kieszeni Daniela.

Ależ to ekscytujące! Rozmawiałam już z Danielem o tym, że chciałabym zostać prywatnym detektywem, ale nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Kiedyś rozwiązywałam zagadkę prawdziwej zbrodni, ale na ślady trafiałam niejako przypadkiem, a nie dzięki swoim działaniom. A teraz tuż przed sobą miałam prawdziwego detektywa. Jak tylko wyjdę dziś z pracy, pojedę prosto do Daniela i poproszę, by powiedział mi wszystko, co wie o mężczyźnie w brązowym garniturze. Jeśli to rzeczywiście nie jest przestępca, tylko detektyw, który w dodatku pracuje dla policji, udam się do niego i poproszę, by przyjął mnie na naukę.

Niecierpliwie czekałam na koniec pracy.

– Przestań się tak kręcić, dziewczyno. Wyglądasz, jakbyś siedziała na mrowisku – zdenerwowała się w końcu panna Van Woekem. – Co się z tobą dzieje?

– Nic. Po prostu nie jestem przyzwyczajona, by cały dzień spędzać w jednym pokoju. Wychowywałam się na powietrzu. Może mogłabym znów wziąć panią na spacer po parku?

– Nie, dziękuję. Dzisiaj nie mam na to czasu. Spotykam się z chrześnicą w teatrze. Namawia mnie, byśmy obejrzały nowe przedstawienie. Wiem, niestety, że będzie okropne. Autorem sztuki jest jakiś tępy młody Europejczyk, a oni potrafią pisać tylko wyciskacze łez dla klasy średniej. Tak jakby klasę średnią

w ogóle cokolwiek mogło interesować. Ale muszę zajmować się tą małą, kiedy przyjeżdża do miasta. Zbyt często jej nie widuję.

Wyjrzała przez okno.

– Możesz wyjść wcześniej. Pójdź, proszę, i wybierz sobie materiał na sukienkę. Nic zbyt wymyślnego, ma się rozumieć. Prosty, ale elegancki krój. Jednolity kolor. Szary lub beż będzie odpowiedni.

Sięgnęła do koronkowej portmonetki i wręczyła mi dwa dolary.

– Przynieś jutro materiał, a ja poproszę krawcową, by zdjęła z ciebie miarę.

Schowałam pieniądze, postanawiając, że dzisiaj raczej na zakupy się nie wybiorę. Jeśli tylko zdołam wyciągnąć z Daniela nazwisko i adres tego detektywa, panna Van Woekem będzie musiała poszukać sobie innej damy do towarzystwa i do gnębienia.

Wyszłam podekscytowana swoimi planami.

Ostatni raz odwiedzałam posterunek przy Mulberry Street jako podejrzana. Dlatego teraz, wchodząc po kamiennych schodach i idąc korytarzem, w którym moje kroki niosły się echem, czułam, jak ogarnia mnie niepokój. Rozum podpowiadał, że niepotrzebnie – po drugiej stronie Atlantyku jestem bezpieczna, tutaj przeszłość mnie nie dogoni. Mimo wszystko strach zapierał mi dech.

Gabinet Daniela znajdował się na samym końcu korytarza. Miał ścianę i drzwi z hartowanego szkła. Widziałam, że ktoś siedzi za biurkiem. Pomyślałam, że mam szczęście – Daniel jest w biurze. Nie pracuje na mieście. Może nawet będzie mógł zrobić sobie przerwę i pójdziemy gdzieś razem na obiad? Zastukałam, a potem od razu pchnęłam drzwi i weszłam do środka.

– Nie zgadniesz, kogo właśnie widziałam w Gramercy Park, Da... – zaczęłam, ale zamilkłam zawstydzona. – Najmocniej przepraszam. Myślałam, że zastanę tutaj kapitana Sullivana.

Za biurkiem Daniela siedziała wytworna młoda kobieta w sukni z różowego jedwabiu, ozdobionej przy kołnierzyku dużą kameą. Piękne ciemne włosy miała wysoko upięte na samym czubku głowy i schowane pod malutkim kapelusikiem z różową woalką, która zalotnie opadała na delikatną twarz. Ogromne niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe, kiedy popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Poinformowano mnie, że zaraz wróci. – Głos miała miękki, dziewczęcy, mówiła z amerykańskim akcentem. – Choć z policjantami nigdy nic nie wiadomo, prawda? – Kiedy się uśmiechnęła, w policzkach pojawiły się dołki. – Jeśli ma panienka dla niego jakąś pilną wiadomość, proszę napisać na kartce. Obiecuję, że mu przekażę.

Wpatrywała się we mnie, starając się ocenić, kim jestem.

– Chyba nie jest panienka świadkiem zbrodni? Uwielbiam słuchać o przestępstwach. Bardzo chciałabym kiedyś być świadkiem jakiegoś przestępstwa, ale tam, gdzie mieszkam, w White Plains, jakoś nic się nie dzieje.

– Nie jestem świadkiem, ale znajomą, która ma informację do przekazania.

– Ach, skoro więc panienka jest znajomą Daniela, na pewno o mnie słyszała.



– Nie, nie słyszałam. Pani jest...?

– Narzeczoną. Arabella Norton. Nic ci o mnie nie mówił? Niegrzeczny chłopak! – Uśmiechnęła się kokieteryjnie. – Cóż, może to i dobrze, że nie opowiada wszystkim o swoim życiu prywatnym.

Dla mnie świat się zatrzymał. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

– Przyjechałam do miasta na zakupy i do teatru. Pomyślałam sobie, że zrobię Danielowi niespodziankę i odwiedzę go w biurze.

– Wspaniała niespodzianka, panno Norton. – Staralam się zachowywać jak gdyby nigdy nic. – Proszę mi wybaczyć. Nie będę już pani niepokoić. To, co mam do przekazania, może poczekać.

– Ależ proszę chociaż zostawić wiadomość. Obiecuję ją przekazać.

– Nie zostawię wiadomości – powiedziałam i wyszłam z gabinetu równym krokiem i z podniesionym wysoko czołem.

Dopiero na ulicy musiałam przytrzymać się ogrodzenia i wziąć głęboki oddech. Potem zaczęłam iść, coraz szybciej i szybciej, bez żadnego planu w głowie ani kierunku, w którym mogłabym się udać. Wszystko, czego pragnęłam, to odejść na tyle daleko i na tyle szybko, by zniknął przenikliwy ból w moim sercu. Właśnie nadeszła pora obiadu i ulice wypełniły się dziewczętami, które wychodziły z fabryk. Gospodynie domowe kupowały produkty na straganach, a dzieci bawiły się na ulicy i biegały między nogami przechodniów.

To wszystko działo się jakby obok mnie. Nie zwracałam uwagi na życie toczące się na ulicy, dopóki nie dotarłam do Battery Park, na sam szczyt Manhattanu, i nie poczułam na twarzy zimnej bryzy od strony portu. Wiało dość mocno, a na niebie zawisły ciemne chmury, zapowiadając deszcz jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Stałam nieruchomo, pozwalając, by wiatr owiewał mi twarz i chłodził spocone ciało.

Byłam taka wściekła! Ogarnęła mnie trudna do opanowania złość. Przez cały ten czas wodził mnie za nos! Uwierzyłam, że coś dla niego znaczę, a przecież był związany z inną kobietą i wiedział, że nie ma dla nas wspólnej przyszłości. Zawsze wtedy, gdy brał mnie w ramiona i głęboko zaglądał mi w oczy, po prostu grał, udawał tylko. Nie wiem, na kogo byłam bardziej zła – na siebie samą czy na Daniela. Chyba na siebie. W końcu on był mężczyzną, a mężczyźni już tacy są – lubią wykorzystywać kobiety. A ja byłam naiwną idiotką. Kiedy tak o tym wszystkim myślałam, zdałam sobie sprawę, że nigdy nic mi nie obiecywał, nigdy nawet nie wspominał, że kiedyś możemy się pobrać. Tak naprawdę kiedy tylko pojawiał się ten temat, albo go jakoś omijał, albo kierował rozmowę na inne tory. Zatem – nigdy nie kłamał, po prostu nie mówił prawdy.

A ja? Zachowywałam się jak grzeczna dziewczynka. Po raz pierwszy w życiu trzymałam język za zębami, czekając cierpliwie, aż wybierze odpowiedni moment na oświadczyzny. Szkoda, że nie byłam sobą i nie zażądałam wprost, by opowiedział mi o swoich intencjach i zamiarach. Od razu wiedziałabym, na czym stoję.

Teraz okazuje się, że na nic nie mogę liczyć. Znow jestem sama! Muszę planować przyszłość bez perspektywy małżeństwa czy nawet przyjacielskiego wsparcia ze strony Daniela. Kolejny powód, by

odnaleźć się w zawodzie, o którym marzę! Włożyłam rękę do kieszeni i wyjęłam dwa dolary. Na pewno nie będę za nie kupowała materiału na sukienkę, bo już nie wrócę do pracy u panny Van Woekem. Moja noga nie postanie w jej mieszkaniu. Prędzej umrę z głodu! Proszę, jak sprytnie to zaaranżował! Faktycznie panna Van Woekem była przyjaciółką domu. Zgrabnie zapomniał zaznaczyć, że była również matką chrzestną jego narzeczonej. Na samą myśl o tym wszystkim czułam ból w sercu. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, że ból w sercu nie jest tylko metaforą. Zacisnęłam mocno powieki, by powstrzymać łzy. Nie zamierzałam płakać.

Właśnie w tym momencie lunął deszcz. Ciężkie krople uderzały w rozgrzane kamienie ogrodzenia. Stałam bez ruchu, oczekując, że zmyją mój ból. Czułam się jak rzeźba z marmuru. Dopiero kiedy deszcz zamienił się w oberwanie chmury, a tuż obok rozległ się potężny grzmot, zdałam sobie sprawę, jak głupio postępuję. Czy śmierć od pioruna ma sens? Zaczesałam do tyłu kosmyki włosów przyklejone do twarzy i skierowałam się w stronę Broadwayu.

Kiedy mijałam jakąś tawernę, akurat wchodziła do niej grupa młodych robotników. Przygotowałam się na przyjęcie normalnych w takiej sytuacji sprośnych uwag, ale zamiast nich usłyszałam, jak jeden z mężczyzn woła w moim kierunku:

– Kathleen!

To był mój stary znajomy, Michael Larkin, chłopak, z którym płynęłam do Ameryki statkiem Majestic. Kiedyś i mnie, i jego podejrzewano o udział w morderstwie. Stał przede mną, szeroko się uśmiechając. Prawie bym go nie poznała. Ostatni raz widziałam szczupłego chłopca o bladej twarzy, teraz był dobrze zbudowanym, pewnym siebie mężczyzną. W swoim czasie wyjaśniłam mu, że mam na imię Molly, że musiałam przybrać imię obcej kobiety, ale chyba ciągle myślał o mnie jako o Kathleen. Zanim jednak zdążyłam cokolwiek powiedzieć, poprawił się:

– To znaczy Molly, oczywiście. Głupiec ze mnie. Molly, jak miło cię spotkać! Co się stało? Jesteś przemoczona do suchej nitki.

– Burza mnie złapała podczas spaceru w Battery Park.

– Wspominałaś tam Ellis Island? – spytał z uśmiechem. – Jak się miewasz? Co porabiają dzieciaki? Wciąż mieszkacie razem?

– Dzieci mają się dobrze – odparłam. – A cała reszta to długa historia.

– Może kiedyś się spotkamy i wszystko mi opowiesz? – zaproponował. – Teraz muszę dołączyć do kolegów. Idziemy na jednego, więc nie mogę cię zaprosić. To typowo męskie spotkanie.

– Z przyjemnością, Michael. – Zmusiłam się do uśmiechu. – Zastanawiałam się, co u ciebie. Świetnie wyglądasz, chyba dobrze ci się wiedzie.

– Nawet nie wiesz jak dobrze. To rzeczywiście jest kraj możliwości. Awansowałam, mam pod sobą paru ludzi. Właśnie zaczynamy budować największy budynek na świecie. Będzie się nazywał Flatiron<sup>[1]</sup> i rzeczywiście tak wygląda. Mówię ci, imponujący! Pewnego dnia musisz to zobaczyć.

– Bardzo bym chciała.

– Teraz lepiej wracaj do domu, bo zupełnie przemokniesz. Ja zresztą też.

Złapał mnie pod ramię w ostatniej chwili, zanim z dachu chlusnęła ściana wody.

– Masz na bilet? – zapytał.

– Tak, dziękuję.

Był jak zawsze prawdziwym przyjacielem – miłym i troskliwym. Właśnie takiego teraz potrzebowałam.

– Spotkajmy się, Molly – powtórzył. – Ach, zapomniałbym. Nie uwierzysz. Mam sympatię, Maureen, jest córką mojej gospodyni. Chciałbym, żebyś ją poznała. To najwspanialsza istota pod słońcem. Prawdziwy ze mnie szczęściarz. Tobie, Molly, wszystko zawdzięczam, bo to ty uratowałaś mi życie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Stał w deszczu, wpatrywał się we mnie, a krople spływały mu po twarzy. Nagle poczułam, że tego wszystkiego już za wiele.

– Cieszę się, że dobrze ci się wiedzie, Michael – powiedziałam. – A teraz, proszę, pozwól mi...

– Kiedy nas odwiedzisz, by ją poznać, Molly?

– Przyjdę na pewno, obiecuję. Jedzie tramwaj, muszę biec.

Uniosłam suknię i pobiegłam przed siebie, nie zważając na kałuże.

W nocy chyba w ogóle nie zmrzyłam oka. Nie tylko z powodu kłopotów sercowych. Znow była burza, waliły pioruny, a deszcz bębnił o dach. Starłam się nie myśleć o Danielu, ale nie potrafiłam. To wszystko nie miało sensu. Przecież gdyby chodziło mu tylko o jedno, po prostu poszedłby za głosem instynktu. A tak się nie stało. Zdarzało się, że ogarniała nas namiętność, ale to on się zawsze wycofywał. Nigdy nie pozwolił, byśmy posunęli się za daleko. Zawsze traktował mnie z szacunkiem, tak jakby czekał na odpowiedni moment i okazję. Naiwnie myślałam, że taką okazją będzie małżeństwo.

– Jutro zacznę nowe życie – powiedziałam głośno do siebie. Przeżyłam już znacznie gorsze rzeczy. Nie pozwolę, by jedno rozczarowanie, jedna zdrada wpłynęła na stan mojego ducha.

Wczesnie rano stanęłam przed domem przy Gramercy Park. O godzinę wcześniej, niż zaczynałam pracę, ale chciałam to już mieć za sobą. Nacisnęłam dzwonek, a potem od razu zapytałam, czy rzeczywiście chrześnica panny Van Woekem przebywa u niej z wizytą.

– Tak, jest tutaj, ale prosiła, by jej nie budzić przed wpół do dziesiątej – odparła służąca. – A śniadanie życzy sobie na tacy do łóżka. Zepsuta do szpiku kości, jeśli mogę coś powiedzieć.

Spokojna, że nie przyjdzie mi znow stanąć twarzą w twarz z panną Arabellą Norton, zaczerpnęłam głęboko powietrza i skierowałam się do pokoju stołowego, gdzie – jak mnie poinformowano – panna Van Woekem właśnie jadła śniadanie. Ze zdziwieniem spojrzała na mnie znad jajka na twardo.

– Cóż to za niespodziewany pośpiech, panno Murphy? – zapytała. – Czyżby dłużyły ci się godziny bez mojego towarzystwa?

– Przyszłam wcześniej, bo muszę pani coś wyznać, panno Van Woekem – powiedziałam. – Obawiam się, że nie mogę dłużej pracować u pani jako dama do towarzystwa.

Wydawała się zaskoczona i rozczarowana.

– Nie sądziłam, że poddasz się tak szybko. Jesteś bystra. Zaczynałam się już cieszyć na myśl, że dzięki mnie wyjdiesz na ludzi.

– A ja zaczynałam doceniać posadę u pani – odparłam. – Ale, niestety, nie mogę dłużej pracować w tym domu. Byłoby to dla mnie zbyt trudne. Błagam, niech pani nie pyta dlaczego.

Sądziłam, że będzie nieprzyjemna. Przyglądała mi się w ten swój ptasi sposób, kręcąc głową to w jedną, to w drugą stronę i świdrując mnie oczami jak guziki.

– Doskonale rozumiem – powiedziała z westchnieniem. – Nie mogłam pojąć, jak to się stało, że młody Sullivan tak szybko znalazł dla mnie odpowiednią damę do towarzystwa. – Wyciągnęła rękę w moją stronę. – Proszę, zostań na śniadaniu.

– Nie, dziękuję. Wolałabym już pójść, zanim mogłabym spotkać... – Popatrzyłam na drzwi.

– Więc co będziesz teraz robić?

– Mam na oku pewną pracę – odparłam. – Zamierzam zostać prywatnym detektywem.

Roześmiała się zdziwiona.

– Prywatnym detektywem? Ty? Przecież to nie jest zajęcie dla młodej kobiety.

– Nie rozumiem dlaczego. Kobiety, tak jak mężczyźni, też mają oczy i uszy. Do tego są cierpliwe i bardzo spostrzegawcze.

– Ale to niebezpieczna praca. Myślałaś o tym?

– Nie będę zajmować się sprawami kryminalnymi. Będę szukała ludzi zaginionych. Jest tyle rodzin w Europie, które straciły kontakt z bliskimi.

– A dlaczego sądzisz, że będziesz w tym dobra?

– Już kiedyś prowadziłam pewne śledztwo. Myślę, że dam sobie radę.

Nie wiem, czy prychnęła pogardliwie, czy tylko się zaśmiała.

– A jak planujesz rozpocząć taką działalność? Żeby założyć własną firmę, potrzeba pieniędzy.

– Zanim zacznę działać samodzielnie, muszę się u kogoś przyuczyć.

– Przyuczyć? Ale u kogo?

– Mam pewien pomysł. – Nie zamierzałam zdradzać pannie Van Woekem, co porabiał mój przyszły pracodawca w Gramercy Park.

Znów wyciągnęła do mnie rękę.

– Masz charakter, trzeba przyznać. Dobrze ci życzę. Proszę, odwiedź mnie kiedyś, Molly Murphy. Chętnie posłucham, jak ci się wiedzie. Twoja wizyta osłodzi nudne życie starej kobiety.

– Z przyjemnością. – Sięgnęłam do kieszeni. – Proszę, chciałabym oddać te dwa dolary. Nie będę przecież potrzebowała odpowiedniej sukienki.

Zamknęła monety w mojej dłoni.

– Zatrzymaj je. To twoja wypłata.

– Nie powinnam... – zaczęłam.

– Zarobiłaś te pieniądze – naciskała. – Życzę ci powodzenia.

Wyszłam. Po wczorajszej ulewie zniknął morderczy upał. Niebo było czyste i błękitne, powietrze rześkie. Od strony parku pachniało jaśminem. Służąca zmiatała schody, a szuranie szczotki odbijało się echem od wysokich budynków. Przejechał powóz z mlekiem, równo zadudniły kopyta, potem zabrzączały butelki, które mleczarz ustawiał przed drzwiami. Dziwne, ale poczułam się, jakbym wkraczała w nowe życie. Zbiegłam szybko, gotowa na wszystko, co może się wydarzyć.

Pierwsze rozczarowanie przyniosła mi wizyta w parku, gdzie nie zastałam mężczyzny w brązowym garniturze. Niezauważona przeszłam przez ogrodzenie, a potem przeczesalam teren, nie omijając nawet zarośli, ale dostrzegłam tylko dwie niańki z dziećmi. Szły ramię w ramię, pchając wysokie wózki ze swoimi podopiecznymi. Po dokładnych oględzinach musiałam się pogodzić z myślą, że w parku nie ma detektywa. Usiadłam na ławce i czekałam. W końcu było jeszcze bardzo wcześnie. Może zaczyna pracę

dopiero po porządnym śniadaniu? Czekałam i czekałam. Rzeński poranek zamienił się w duszne, słoneczne południe. W końcu pogodziłam się z myślą, że nie przyjdzie.

Opuściłam park w taki sam sposób, w jaki do niego weszłam. Na Czwartej Alei natknęłam się na znajomego policjanta. Zaczerwieniony od słońca, spocony, stał pod zadaszeniem sklepu spożywczego.

Zasalutował na mój widok.

– Mam nadzieję, że nikt już panienki nie niepokoi.

– Nie, już nie, panie oficerze. Ten mężczyzna... mówił pan, że ma na imię Paddy... nie pojawił się dzisiaj. Wie pan może, gdzie mogłabym go znaleźć?

– A niby po co panience taka informacja? Mogę spytać? Chyba nie chce panienka na niego złożyć skargi, co? Mówiłem, że jest niegroźny.

Podeszłam bliżej.

– Mówił pan, że jest prywatnym detektywem.

Posterunkowy rozejrzał się niespokojnie, tak jakbym zdradziła tę informację całemu światu, a nie tylko jemu.

– Ale nie zamierza mu panienka narobić kłopotu? Przysięgam, że on nikomu nie uczynił krzywdy.

– Mam dla niego pracować. – Puściłam do policjanta oko. To oczywiście nie była prawda, ale każda okazja jest dobra, by wprawiać się w kłamstwach.

Teraz on się nachylił w moją stronę. Oddech miał przesiąknięty cebulą, pewnie jadł ją na śniadanie.

– Nie ma szans, by panienka znalazła Paddy'ego, jeśli on sam nie będzie tego chciał. O ile mi wiadomo, ma biuro gdzieś w okolicach Piątej Alei.

– Piątej Alei?! – Poznałam już Nowy Jork na tyle, by wiedzieć, że to najlepszy adres w mieście.

– Człowiek na jego stanowisku musi mieć biuro tam, gdzie klienci nie będą się go bali odwiedzać. Ale to dalsza część ulicy, ta, która ostatnio trochę podupadła – odparł posterunkowy. Popatrzył w zamyśleniu przed siebie. – Pamiętam czasy, kiedy Piąta Aleja była naprawdę wspiana aż do Washington Square. Mieszkała tam wyłącznie śmietanka towarzyska.

– A gdzie dokładnie na Piątej Alei? – zapytałam z nadzieją w głosie. Robiło się coraz goręcej, a ja znów zapomniałam wziąć kapelusz.

Pokręcił głową.

– To nie mój rewir, panienko. Na pewno gdzieś za Czternastą Ulicą.

– Dziękuję, panie oficerze. Bardzo mi pan pomógł – odparłam.

– Zawsze do usług, jeśli chodzi o klientów Paddy'ego. Proszę mu przekazać pozdrowienia od porucznika Hanny.

Cieszyłam się, że Piąta Aleja nie jest daleko. Podeszwy jednych butów już w tym mieście zdarłam. Szkoda mi było pieniędzy na bilety tramwajowe lub kolejowe, więc wszędzie chodziłam na piechotę. No, chyba że odległość była bardzo duża, a pogoda upalna. Szłam Czwartą Aleją aż do Union Square, a potem zamierzałam przeciąć Czternastą Ulicę. Na samym jej środku dotarło jednak do mnie, że spacer

pieszo nie był dobrym pomysłem. Nie wiedziałam, że trolejbusy mogą jeździć tak szybko. Ten na Czternastej omal mnie nie rozjechał. Klakson usłyszałam za późno. Kiedy pojazd brał ostry zakręt, w ostatniej chwili zgarnęłam spódnicę i uciekłam spod kół. Zauważyłam tylko zastygłe w przerażeniu twarze pasażerów, które minęły mnie zaledwie o parę centymetrów. Kiedy dobiegłam do chodnika i stanęłam, by złapać oddech, usłyszałam tuż obok głośny śmiech. Przed kawiarnią Brubackera siedziało trzech mężczyzn i najwyraźniej dobrze się bawiło moim kosztem.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty – wydukałam, a oni popatrzyli na mnie w osłupieniu.

– Szybko panienka biega. Stawialiśmy dwa do jednego, że się panience nie uda – powiedział jeden z nich z niemiłym uśmiechem na nieogolonej twarzy.

– Prosiła się panienka o śmierć – dodał inny, o sympatyczniejszym wyglądzie. – Tylko ludzie niespełna rozumu albo ci, którym życie niemiłe, przechodzą przez ulicę na zakręcie śmierci.

– Zakręcie śmierci? – Zastanawiałam się, czy mnie nie nabierają.

– Trolejbusy muszą tutaj znacznie przyspieszyć. Inaczej nie wezmą zakrętu. Codziennie o mały włos nie dochodzi do tragedii.

– A raz na tydzień jest poważny wypadek – dodał drugi.

– A wy siedzicie tu i przyjmujecie zakłady? – prychnęłam. – Nie macie nic lepszego do roboty? – Odeszłam od nich z podniesionym wysoko czołem.

Kiedy skręciłam wreszcie w Piątą Aleję i zobaczyłam, jak rozciąga się przede mną aż do Washington Square, miałam wrażenie, że w tym pustynnym upale widzę fatamorganę. Zdałam sobie sprawę, że stoję przed bardzo trudnym zadaniem – jak niby mam sprawdzić każdy z tych budynków? Nawet jeśli Paddy ma na drzwiach tabliczkę, nic mi to nie da, bo nie znam jego nazwiska. Minęłam powoli pierwszą kamienicę, a potem zaczęłam dokładnie oglądać budynki po każdej stronie. Były duże i bardzo eleganckie. Skoro porucznik Hanna uważał, że ta część Piątej Alei ma najlepsze dni za sobą, to znaczy, że kiedyś musiało tu być zupełnie wyjątkowo. Przecież to wciąż były domy bogaczy! Na ulicy stały powozy, w nich czekali stangreci w uniformach, zauważyłam też kilka samochodów. To chyba niemożliwe, by Paddy tu mieszkał.

Maszerując dalej, powoli zaczynałam rozumieć, co porucznik miał na myśli. Niektóre z większych domów były najwyraźniej podzielone na mieszkania, bo przy wejściu widniało kilka tabliczek z nazwiskami. Zaczęłam je uważnie studiować, ale wkrótce dałam sobie spokój. Paddy to imię, a raczej irlandzki przydomek. Detektyw jednak nie miał irlandzkiego akcentu, mówił jak Anglik, więc powinnam raczej szukać angielskiego nazwiska.

Potem przyszedł mi do głowy pomysł, by popytać w okolicznych kawiarniach. Przecież Paddy musi gdzieś jadać. Szkoda tylko, że w pobliżu żadnych kawiarni ani jadalni nie widziałam. Była to dzielnica mieszkaniowa, same kamienice i jeden kościół. Weszłam w Jedenastą Ulicę, ale tam też nic nie znalazłam, ani po jednej, ani po drugiej stronie. Nogi mnie rozbolały, byłam spocona i chciało mi się pić. Czy rzeczywiście przyjemnie jest być prywatnym detektywem?

Wciąż szłam po wschodniej stronie Jedenastej, w nadziei, że chociaż znajdę saturator z wodą. W kieszeni miałam dwa dolary od panny Van Woekem – należy mi się szklanka zimnego napoju. Właśnie



miałam wejść do apteki, którą znalazłam na rogu Jedenastej i University, kiedy usłyszałam donośny głos:

– Uważaj z tym nożykiem! Chcesz mnie ogolić na łyso?

Obok apteki, nad ciemnym wejściem, wisiała tabliczka FRYZJER. Zajrzałam do środka. Siedział tyłem do mnie, ale na wieszaku wyraźnie widziałam brązowy kapelusz. Stałam dalej od drzwi i zaczęłam się zastanawiać, co teraz zrobić. Mogłam albo poczekać i kiedy wyjdzie, przedstawić się, a potem opowiedzieć o swoich planach, albo śledzić go aż do biura, pozwalając, by poznał moje predyspozycje do zawodu detektywa. Drugie rozwiązanie bardziej mi odpowiadało. Stałam przy witrynie apteki i udawałam, że oglądam puder do stóp i pudełka z lekarstwami. W końcu usłyszałam wesoło: „Dziękuję, Al. *Cheerio*, do zobaczenia!” Znów dokładnie zanotowałam mieszaną cockneya i akcentu nowojorskiego.

Kątem oka widziałam, jak wychodzi od fryzjera. Odczekałam dłuższą chwilę i podążyłam jego śladem. Szedł szybkim krokiem na południe. Musiałam podbiec, by nie stracić go z oczu. Skręciłam za rogiem tak jak on, a potem gwałtownie się zatrzymałam, kiedy w kiosku kupował gazetę. Po chwili ruszył, a ja za nim. Chyba nieźle mi idzie – pomyślałam. Szkoda, że nie było teraz żadnych sklepów, w których mogłabym się schować, ale za każdym razem, kiedy przystawał, umykałam w cień i udawałam, że szukam odpowiedniego numeru.

Przeszliśmy Dziesiątą, Dziewiątą, potem Ósmą. Łuk na Washington Square był teraz wyraźny, przesłaniał koniec ulicy, marmurowa fasada błyszczała w słońcu. Stałam na moment, zachwycona widokiem, a gdy się odwróciłam, Paddy’ego przede mną nie było. Podbiegłam. Przecież nie mógł wejść do któregoś z tych domów – pokonanie schodów do drzwi zajęłoby mu chwilę. I nie doszedł jeszcze do placu. Nagle po swojej prawej stronie zauważyłam wąskie przejście między domami. Pobiegnęłam tam i znalazłam się na brukowanym podwórzu, które kiedyś musiało być dziedzińcem stajennym. Teraz stajnie zostały przerobione na mieszkania. Obejrzałam się raptownie, słysząc zatraskiwane gdzieś na górze drzwi. Spozrzegłam rozklekotane schody i wspięłam się po nich. Drzwi nie były nawet zamknięte. Zapukałam, potem pchnęłam je i zajrzałam do środka.

– Proszę pana?! Jest tam kto?

Pokój był duży i zabałaganiony. Na biurku leżał stos papierów i na wpół zjedzona kanapka. Ale wewnątrz nie było żywego ducha. Ostrożnie weszłam dalej.

– Halo! Paddy?

Nagle ktoś podszedł od tyłu, złapał mnie wpół i zakrył dłonią usta.

– W porządku – syknął mi do ucha. – A teraz gadaj, kto cię przysłał!

– Puszczaj! – starałam się wydobyć głos, choć uniemożliwiła mi to jego ręka.

Mocno dźgnęłam łokciem w tył, mając nadzieję, że trafię w żołądek. Zaraz potem usłyszałam głośne stęknienie. Nie na darmo wychowywałam się z trzema braćmi. Wyrwałam się z uścisku i krzyknęłam:

– Na litość boską?! Czy zawsze w ten sposób wita pan przyszłych klientów? Dziwne, że w ogóle jacyś się znajdują!

– Gadka-szmatka – odparł. – Jeśli ty jesteś moją przyszłą klientką, to ja jestem królem Hiszpanii!

– A po czym to pan poznaje?

– Po ubraniu, kochana. Od razu widać, że nie stać cię na porządną sukienkę, a moje usługi kosztują.

Kiedy patrzyłam na niego z bliska, potwierdziło się pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobił. Elegancik! Garnitur, choć nie pierwszej młodości, był dobrze skrojony, a kołnierzyk koszuli śnieżnobiały i wykrochmalony. Rysy twarzy, kiedyś z pewnością bardzo ładne, straciły ostrość, a policzki opadły, przez co przywodził na myśl smutnego psa. Odczucie to zniknęło, kiedy obdarzył mnie skrzywionym uśmiechem. Po chwili uśmiech zgasł, a powróciła czujność.

– No, gadaj w końcu, kto cię przysłał. Gang Pięciu znów ma na usługach kobietę posłańca?

– Skoro bierze mnie pan za posłańca jakiegoś gangu, to albo ma pan słaby wzrok, albo nie potrafi zupełnie oceniać ludzi po wyglądzie – odparłam zimno. Zaczęłam sobie powoli zdawać sprawę, że ten człowiek będzie jeszcze gorszym pracodawcą niż panna Van Woekem.

– Przepraszam, panienko. Nie chciałem urazić – odparł. – W moim zawodzie ostrożności nigdy za wiele. Dziewczyna, która do mnie ostatnio przysłała z wiadomością od gangu, miała ukryty w bucie kilkucentymetrowy nóż. I pewnie by go użyła, gdybym tylko stracił baczenie. – Wpatrywał się we mnie oczkami wąskimi jak szparki. – Zaraz, zaraz. Już gdzieś cię widziałem. Mam dobrą pamięć do twarzy. Zaraz sobie przypomnę... – Uniósł palec. – Już wiem! Central Park!

– Byłam z kapitanem Sullivanem – dodałam. – Pan udawał fotografa.

– Co masz na myśli? – zapytał, ale już bez nerwów. – Dorabiam sobie od czasu do czasu.

– Przy okazji przekazując kapitanowi wiadomości – dorzuciłam triumfująco.

– A to mnie nakryłaś! Fiu, fiu! Chyba się starzeję. – Z aprobatą pokiwał głową. – Muszę przyznać, że masz dobry wzrok.

– Owszem, mam. Widziałam również, jak w poniedziałek przekradał się pan przez ogrodzenie w Gramercy Park, a we wtorek stał w tym samym ogrodzie i obserwował przez lornetkę dom naprzeciwko.

Wróciło podejrzliwe spojrzenie.

– Wątpię, by przysłał cię kapitan Sullivan. Nigdy nie zatrudnia kobiet.

– Ma pan rację. On mnie nie przysłał.

– To czego chcesz ode mnie? Chyba nie pracujesz dla panny La Grange, co?

– Dla kogo?

– Dla Kitty La Grange. To jej dom miałem na oku. Uff, co za ulga! Trzy dni mojej pracy poszłoby na marne, gdyby się dowiedzieli, że prowadzę obserwacje.

– Obserwacje czego?

– Nie twoja sprawa. Jak babcię kocham, nie mogę powiedzieć. Czyli oni cię nie przysłali?

– Dla nikogo nie pracuję – udało mi się w końcu coś powiedzieć. – Jeśli zamilknie pan choć na parę sekund, może zdołam wytłumaczyć, dlaczego tu przyszłam.

Chyba zaskoczył go mój ton.

– W porządku. Mów.

– Myślę, że moglibyśmy sobie pomóc.

– Masz jakieś informacje? I chcesz, żebym ci za nie zapłacił?

– Na litość boską! Da mi pan wreszcie dokończyć czy nie? Matka mi powtarzała, że mam gadkę najlepszą na świecie, ale pan jest mistrzem. Mógłby mnie pan zatrudnić?

– Jako kogo?

– Jako asystentkę – odparłam. – Proszę spojrzeć na ten pokój. To jakaś tragedia. Mogłabym się zająć porządkowaniem dokumentów, a pan w zamian nauczyłby mnie fachu.

– Jakiego fachu? – zapytał zdziwiony.

– Swojego fachu. Chciałabym zostać detektywem.

Zaśmiał się bezgłośnie, cały podrygując.

– A to dobre! Kobieta detektyw! Czegoś podobnego jeszcze nie słyszałem!

– A dlaczegoż by nie, mogę wiedzieć? – Wzięłam się pod boki. – Jestem bystra, mam zmysł obserwacji większy niż pan i chyba predyspozycje do tego zawodu.

– Naprawdę? A niby jakie?

– Śledziłam pana aż od fryzjera.

– Żaden z ciebie detektyw. Tak wisieć komuś na ogonie?! Od razu po wyjściu cię zauważyłem. Mój szósty zmysł podpowiedział mi, że coś jest na rzeczy. Przez całą drogę nie spuszczałem cię z oka. Jak myślisz, niby dlaczego się zatrzymałem? Po gazetę?

– No tak. – Ten wywód zrobił na mnie wrażenie, ale nie chciałam dać tego po sobie poznać. – Najwyraźniej potrzebuję jeszcze lekcji. Z dobrym nauczycielem szybko się podciągnę.

– Nie ja nim będę. Nic mnie nie zmusi, bym zatrudnił kobietę.

– To znaczy, że nie przeszkadza panu praca w tym chlewie?

Zamilkł na chwilę i uważnie rozejrzał się po pokoju.

– Co nie oznacza, że nie skorzystałbym z pomocy od czasu do czasu. Prawdę powiedziawszy, jeśli znalazłabyś dla mnie rozgarniętego chłopaka, chętnie bym go wziął na pomocnika. Ale w żadnym wypadku kobietę. To niebezpieczne zajęcie, moja droga. Mogłabyś szybko nas oboje doprowadzić do zguby.

Podszedł do biurka.

– No, dobrze. A teraz wracaj do domu. Muszę popracować.

Wysunął zdezelowane krzesło, usiadł na nim i zaczął coś notować.

Nie miałam innego wyjścia, jak tylko opuścić biuro. Tym razem obok wejścia na schody zauważyłam mosiężną tabliczkę z napisem: P. RILEY – DYSKRETNY DETEKTYW. Jednak irlandzkie nazwisko. Dlaczego w takim razie mówi z takim akcentem? Czy kiedyś się dowiem?

Opuściwszy uliczkę, poszłam w stronę Czwartej Alei i swojego mieszkania. Co teraz? Nie mam pieniędzy. W najgorszym razie mogę wrócić do panny Van Woekem i przyznać się do błędu. Przez chwilę rozważałam ten pomysł, ale od razu doszłam do wniosku, że śmierć głodowa jest lepsza niż perspektywa oglądania panny Arabelli Norton albo jej narzeczonego.

Kiedy na rogu University Place i Czwartej Wschodniej dojrzałam kawiarenkę, oszczędność poszła w niepamięć i zdecydowałam się poprawić sobie humor kubkiem kawy i słodką bułką. W samo południe kawiarnia była wypełniona po brzegi. Wewnątrz panował gwar. Z zainteresowaniem zaczęłam przyglądać się klientom. Wszyscy byli młodzi, ubrani z fantazją – niektórzy mieli luźne peleryny, inni marynarki z łąkami na łokciach. Wkrótce dotarło do mnie, że to studenci, a budynek naprzeciwko wejścia to Uniwersytet. Wzięłam kawę i ciastko i usiadłam na wysokim stołku przy kontuarze ciągnącym się wzdłuż wszystkich ścian lokalu. Otoczona zewsząd gwarem rozmów, z zazdrością patrzyłam na ciasno zbite grupki przyjaciół. Wszyscy byli mniej więcej w moim wieku lub trochę młodszy. Poczułam się taka samotna! Oprócz mężczyzn było również trochę kobiet – poważnych dziewcząt w ciemnych ubraniach i okularach. Nie bały się wypowiadać swoich opinii i śmiało brały udział w dyskusjach. Szkoda, że nie jestem jedną z nich – pomyślałam. Studenckie życie bardzo by mi odpowiadało. Jeszcze długo po zjedzeniu bułki i wypiciu kawy siedziałam w kawiarni zasłuchana, a kiedy oni wyszli, wyszłam i ja, patrząc, jak z książkami pod pachą przechodzą przez ulicę.

W drodze powrotnej wyjątkowo doskwierała mi samotność.

Kiedy wchodziłam do domu, drzwi uchyliła zniecierpliwiona pani O'Hallaran i wpuściła mnie do środka.

– Był u pani gość – powiedziała. – Kapitan Sullivan.

Chyba zauważyła, że słysząc to nazwisko, robię się blada, więc pospiesznie dodała:

– Proszę się nie martwić. Powiedziałam, że nie ma pani w domu. Tak jak się umówiliśmy.

– Dziękuję.

– Czy coś się stało między wami? – zapytała, zagradzając mi wejście na schody. – Taki wspaniały mężczyzna! Gdybym tylko sama była młodsza i wolna...

– Kapitan Sullivan i ja byliśmy zawsze jedynie znajomymi. Zachował się wspaniale, pomagając mi osiąść w Nowym Jorku. Pochodzimy w końcu z tego samego kraju. Ale nic więcej nas nie łączyło.

Spojrzała na mnie najpierw z rozczarowaniem, potem z podejrzliwością. Postanowiłam przemknąć obok, zanim wymyśli kolejne pytanie. Nie udało się.

– Chwileczkę – powiedziała, chwytając mnie za ramię. – Robiłam porządki i znalazłam trochę ubrań. Powinny pasować na chłopca, który mieszka u pani. Wygląda jak łachmaniarz. Trudno się dziwić, przecież nie ma matki. Nasz synek Jack nigdy nie niszczył zbytnio swoich rzeczy. Nie tak jak większość chłopców.

Popędziła do salonu, by po chwili wrócić ze starannie złożoną kupką ubrań, silnie pachnącą środkiem przeciw molom.

– Proszę bardzo.

– Dziękuję. Z pewnością przydadzą się Seamusowi.

Zaniosłam ubrania na górę.

– Hej, Szelma? Zobacz, co dla ciebie mam! – zawołałam.

Żadnej odpowiedzi. Zwykle dzieci biegły do mnie, jak tylko usłyszały kroki na schodach. Otworzyłam drzwi do ich pokoju, ale był pusty. Pewnie znów gdzieś się uganiają ze swoimi kuzynami. Może poszły wykąpać się w East River? Tego akurat nie pochwalałam. Powiedziałam kiedyś ich ojcu, że te kąpiele są niebezpieczne, ale on się nie przejmował. Może myślał, że dzieciom nic się nie stanie pod opieką starszych chłopców. Inna sprawa, że w takie gorące letnie dni trudno odmawiać maluchom zabawy i ochłody w zimnej rzece. Chyba połowa obdartusów z Lower East Side spędzała tam wolne chwile. Na szczęście dziewczęta nie mogły się rozbierać, więc Bridie nie wchodziła do wody, ale dla mnie nie było to wielką pociechą. Oczami wyobraźni widziałam, jak niechący wpada do rzeki, zostaje potraconą przez samochód dostawczy albo ginie przywalona ładunkami w porcie. Po raz kolejny musiałam sama siebie upomnieć, że to nie są moje dzieci.

Stałam w holu, który służył nam jako wspólna kuchnia, i przyglądałam się kupce ubrań od pani O'Hallaran. Na samym wierzchu leżała płócienna czapka, taka, jaką noszą chyba wszyscy gazeciarze w Nowym Jorku. W głowie zaczął mi się rodzić raczej absurdalny plan. Poszłam do swojego pokoju i przymierzyłam czapkę. Włożenie pod nią wszystkich włosów zajęło mi dłuższą chwilę, ale zaraz potem zobaczyłam w lustrze twarz zawiadziaki. Przejrzałam resztę ubrań. Krótkie spodenki chyba będą pasować. Zdjęłam spódnicę z halką i przymierzyłam je. Sięgały tylko do kolan, a nie tak jak powinny. Trudno. Wszystkie marynarki były za małe, ale znalazłam dobrą białą koszulę – elegancką, do noszenia w niedzielę. Sprawdziłam, czy pasuje do spodenek i czapki. Pasowała. Podziękowałam opatrności za chłopięcą figurę, tak pogardzaną przez kreatorów mody i koneserów piękna.

Oczywiście wyglądałam zbyt schludnie jak na chłopca. Ze świecą szukać takiego, który nie ubrudziłby się w pół godziny po zmianie ubrania! To nic. Poczekam, aż zapadnie zmrok, a potem wyjdę i złożę drugą wizytę panu P. Rileyowi, dyskretnemu detektywowi.

Kiedy wieczorem szykowałam się do wyjścia, przyszło mi do głowy, że jest jeszcze jeden problem – buty. Żaden chłopak nie będzie nosił pantofelków na guziczki, a tylko takie miałam. Nie mogłam też pożyczyć nic od Szelmy, bo sam miał jedną parę butów, i to w tej chwili na nogach. Będę zmuszona pójść na Piątą Aleję tak jak wielu biedaków, na bosaka.

Najtrudniej było wyjść z domu niezauważoną. Na szczęście sierżant O’Hallaran właśnie wrócił ze służby i szykował się do kolacji. Prześlizgując się do wyjścia, słyszałam, jak rozmawia z żoną w kuchni. Na zewnątrz od razu specjalnie weszłam w kałużę, więc po chwili nie byłam już taka czysta i schludna. Skierowałam się w stronę Washington Mews, z trudem stawiając kroki na ostrych kamieniach. Jako dziecko często biegałam boso, ale to było dawno temu. Kiedy doszłam do celu, stopy miałam otarte i obolałe. Pierwsze pukanie do drzwi pozostało bez odpowiedzi. Byłam zła i zawiedziona – na nic cała męcząca wędrówka. Postanowiłam jednak poczekać w pobliżu. Dla zabicia czasu wsłuchiwałam się w odgłosy miasta. Zapadał zmierzch. Już miałam się poddać i zawrócić, gdy w końcu się pojawił. W rękach trzymał brudne pudełko. Po śladach tłuszczu na tekturze zorientowałam się, że w środku jest jedzenie.

Odetchnęłam głęboko i wyszłam naprzeciw, by się przywitać. Nie chciałam znów ryzykować i zaskakiwać detektywa. Po co mam jeszcze raz oberwać? – pomyślałam.

– Dobry wieczór, proszę pana.

Staął i spojrzał na mnie.

Nabrałam powietrza w płuca. Staralam się mówić niskim głosem.

– Słyszałem od sąsiadki, że potrzebuje pan pomocnika. Jestem bystry i pracowity, proszę pana.

– A na imię masz?

O tym nie pomyślałam.

– Yyy... Michael, proszę pana. Koledzy mówią na mnie Mike. – To było pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– W takim razie chodź na górę, Mike – powiedział, uśmiechając się lekko.

Wyraźnie ucieszyła go moja obecność. Nie mogłam się wprost doczekać, by zdradzić mu, kim jestem, i zobaczyć zdumienie na jego twarzy.

Posłusznie weszłam do ciemnego pokoju i poczekałam, aż zapali gazowe światło na ścianie.

– No więc, Michael – zaczął, wciąż dziwnie się uśmiechając. – Dlaczego miałbym cię zatrudnić?

– Już mówiłem, proszę pana. Jestem chętny do nauki, bystry i uczciwy.

– Chyba nie do końca uczciwy – odparł, odgarniając rzeczy z biurka i stawiając pudełko z jedzeniem na stercie gazet.

– Dzisiaj rano jak się nazywałaś? Przypomnij, proszę.

Zrobił szybki krok w moją stronę i ściągnął mi z głowy czapkę. Włosy rozsypały się na ramiona.

– Dostajesz piątkę z plusem za upór – powiedział. – A teraz, na litość boską, idź sobie i daj mi wreszcie spokój. I więcej żadnych sztuczek. Zaczynam już tracić cierpliwość!

– Jak pan to odkrył? – zapytałam. – Wydawało mi się, że wyglądam dość naturalnie.

– Wydawało ci się, że wyglądasz dość naturalnie? – Znów zaśmiał się bezgłośnie. – Moja droga, pozwól, że zwrócę ci uwagę na parę szczegółów. Na początek spójrz na dłonie. Widziałaś kiedyś chłopca, który by nie miał brudu pod paznokciami? Teraz kolej na stopy. Owszem, są odpowiednio czarne, ale popatrz, jak blisko siebie masz dwa ostatnie palce. To dlatego, że przez lata nosiłaś buty z wąskimi czubkami. Jaki chłopak nosiłby takie? Do tego wszystkiego pachniesz intensywnie środkiem na mole. To podejrzane, że włożyłaś ubrania, które najwyraźniej długo wisiały w szafie. Nie sądzisz?

Pokiwałam głową.

– Tak, wiem, że przede mną sporo nauki. Dlatego chcę, by został pan moim nauczycielem.

– Tego nie da się nauczyć – stwierdził. – Nawet gdybyś zadbała o szczegóły, które wymieniłem, i tak bym się nie nabrał. Wiesz dlaczego? Bo nie myślałaś i nie reagowałaś jak chłopak. Ostrożnie wchodziłaś po schodach, trzymając się poręczy. Chłopak wbiegłby szybko, biorąc po dwa stopnie naraz. Ale zachowałby czujność. W mieście trzeba cały czas uważać, bo na każdym rogu czyha niebezpieczeństwo. Wszystkie tutejsze urwisy mają blizny na głowie i kolejnych nie potrzebują. Samo przebranie nie wystarczy. Trzeba zmienić sposób myślenia.

– Jak się pan tego wszystkiego nauczył?

– Ja? Dorastałem na ulicy. Nic tak nie uczy jak wola przetrwania. – Wytarł ręce z tłuszczu. – Pozwól, że coś ci pokażę.

Przeszedł do drugiego pokoju, którego przedtem nie zauważyłam, i zamknął za sobą drzwi. Czekałam spokojnie, rozglądając się dokoła. Panował tu okropny bałagan; wydawało się, że mieszkanie jest zagracone, ale tak naprawdę stało w nim tylko kilka starych, zdezelowanych mebli. Jedynie biurko sprawiało solidne wrażenie. Podeszłam do okna. Wychodziło na podobne budynki i wąską uliczkę, całą zastawioną pojemnikami na śmieci. Kiedy rozległo się pukanie, aż podskoczyłam.

– Panie Riley?! – zawołałam. – Ktoś idzie.

Otworzyłam drzwi. Przede mną stał brodaty starszy Żyd, podobny do tych, których często widywałam na Lower East Side. Miał na sobie długi czarny płaszcz, a na głowie wysoki kapelusz.

– Czy zastałem może pana Rileya? – zapytał. Mówił cicho, prawie szeptem, z wyraźnym europejskim akcentem. – Rozumie pani, przychodzę w bardzo pilnej i bardzo delikatnej sprawie.

– Chwileczkę, pójdę po niego – odparłam.

Podeszłam do drugich drzwi i zapukałam.

– Panie Riley! Ktoś do pana.

– Raczej go tam pani nie znajdzie – oznajmił Żyd. Zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, szybkim ruchem



zdjął długą brodę i uśmiechnął się do mnie.

– To było niesamowite. Tak szybko się pan przebrał. Nie spodziewałam się...

– Oczywiście, że się nie spodziewałaś. Jedna uwaga: gdyby przyszło mi się tak przebrać w okolicach Essex lub Delancey, musiałbym być bardzo ostrożny. Bo widzisz, nie mówię dobrze w jidysz. Z miejsca by mnie zdemaskowali.

Zdjął kapelusz i płaszcz, powiesił ubranie na kołku wbitym w ścianę.

– Ale kto pana nauczył tego wszystkiego? Skąd pan wie, jak trzeba się przebierać?

– To długa historia, moja droga. – Spojrzał na mnie przeciągle. – No dobrze. Straciłaś sporo czasu. Jedyne, co mogę ci zaproponować, to wspólna kolacja.

– Dziękuję. To miło z pana strony – odparłam.

Zostałabym nawet, gdyby zaoferował flaczki lub nóżki wieprzowe, których nie znosiłam. Ale zostałam. Tylko po to, by jeszcze przez chwilę побыć w jego towarzystwie.

Położył przede mną na biurku kawałek gazety i zrobił zapraszający gest ręką.

– Proszę się częstować. Ja mam sporo pracy papierkowej.

– I właśnie dlatego potrzebuje pan asystenta – przypomniałam.

– Cóż... – Przekroił na pół placek z mięsem i położył przede mną kawałek na papierze. – Przepraszam, ale nie mam widelca, musisz jeść palcami.

– A pana nazwisko? – zaczęłam. – Nie nazywa się pan Riley, prawda? Słyszać, że jest pan z Londynu, nie z Irlandii.

– Mylisz się. Urodziłem się w Killarney.

– To udawany akcent? Brzmi bardzo naturalnie.

Popatrzył na mnie z uśmiechem

– Nie, akcent mam prawdziwy. Urodziłem się w Killarney, ale wyjechaliśmy stamtąd, kiedy miałem dwa lata. Podczas wielkiego głodu. Moi rodzice byli mądrymi ludźmi, nie mieli wielkich oszczędności, ale jakoś udało się nam uciec. Dotarliśmy aż do Londynu. Ciężko było, starali się jak mogli, ale w wieku dziesięciu lat zostałem sierotą, dzieckiem ulicy.

– To straszne. Jak pan sobie radził?

Wziął do ust duży kawałek placka i wierzchem dłoni otarł tłuszcz z policzka.

– Jak sobie radziłem? Nauczyłem się sztuki przetrwania, ot co.

Pochylił się w moją stronę i zapytał:

– Czytałaś tę słynną powieść Charlesa Dickensa? Ma tytuł *Oliwer Twist*. Pamiętasz postać Artfula Dodgera? To ja. Zostałem najlepszym kieszonkowcem w całym Londynie. Mówiono, że potrafiłbym zabrać gościowi chusteczkę między jednym i drugim kichnięciem, a on nawet by się nie zorientował.

– To znaczy, że był pan przestępcą. Co sprawiło, że wyszedł pan na ludzi?

– Przeznaczenie. Tak można by to ująć. Skończyłem tak jak wszyscy przestępcy: zostałem złapany

i zmarnowałbym sobie życie, gdyby nie pewien Amerykanin. Odwiedzał więzienie, w którym siedziałem. Prawdopodobnie wyglądałem niewinnie, byłem jeszcze dzieckiem. Ubłagał dyrekcję, by dała mi drugą szansę i pozwoliła na wyjazd do Ameryki. Dlatego tu trafiłem. Wykształcił mnie. Zostałem drukarzem, ale nigdy nie polubiłem tej pracy. Miałem się różnych zajęć, kiedyś nawet próbowałem zostać aktorem, ale muszę przyznać, że nie miałem ku temu predyspozycji i odpowiedniego głosu. Sam teatr bardzo jednak lubiłem. Potem pracowałem jako krawiec i wtedy nauczyłem się sztuki przebierania i charakteryzacji. A potem stwierdziłem, że szkoda nie wykorzystać wszystkich tych sztuczek, których nauczyłem się na ulicach Londynu.

– I wrócił pan na złą drogę?

Pokręcił głową.

– Kiedy przyплыliśmy do Ameryki, przysięgłem panu Schlessingerowi na Biblię, że już nigdy nie wrócę do przestępczego fachu. Był prawym, uczciwym człowiekiem. Oczywiście do niczego mnie to nie zobowiązywało. Ale postanowiłem, że wykorzystam swoje umiejętności na rzecz prawa. Od czasu do czasu pracuję dla policji, mam też tutaj małe biuro detektywistyczne. Niewiele osób o nim wie, ale to mi odpowiada.

Zamilkł. Patrzył na mnie, przechyliwszy na bok głowę.

– Jednak nie mogę zrozumieć, jakie motywacje do tej pracy może mieć taka ładna dziewczyna jak ty. Nie lepiej wyjść za mąż i się ustatkować?

Wbiłam wzrok w resztki jedzenia na biurku.

– Sama przyплыnęłam do Ameryki. Nie mam nikogo bliskiego i nie mogę na nikim polegać.

– Ale widziałem cię z kapitanem Sullivanem...

– Jest tylko znajomym, nikim więcej być nie może – odparłam. – Jeśli da mi pan szansę, będę dobrze wykonywała swoją pracę.

– Jest tyle innych zajęć, których mogłabyś się podjąć. To duże miasto.

– Już próbowałam innych zajęć. Nie chcę pracować w fabryce. Nie chcę być pomocą domową. Nie potrafię być posłuszna i usłużna.

– A co nasunęło ci ten głupi pomysł?

– Kiedy opuszczałam Irlandię, w porcie spotkałam masę osób, które nie wiedziały, co się dzieje w Ameryce z ich bliskimi. Pewna kobieta dała mi list do syna. Pomyślałam, że może powinno się poszukać tych ludzi.

– A jeśli oni nie chcą, by ktoś ich odszukał?

– Sami zdecydują, czy skontaktują się z rodziną, czy nie.

– Nigdy nie zarobisz na tym pieniędzy – zawyrokował.

– Ach, więc sądzi pan, że zarobiłabym na innej pracy detektywistycznej?

– Nie, tego nie powiedziałem. Z kobietami są zawsze problemy. Za dużo gadają i nie potrafią dochować tajemnicy. Poza tym pozwalają, by serce rządziło rozumem.

– Ależ sam pan tak przed chwilą postąpił – odparłam. – Zamiast od razu wyrzucić mnie za drzwi, pokazał mi pan swoje sztuczki. To znaczy, że ma pan tak samo miękkie serce.

– Wy, Irlandczycy, lubicie się podlizywać – stwierdził, ale moja uwaga sprawiła mu chyba przyjemność.

Wstałam, sprzątnęłam z biurka pudełko i gazetę, a potem wrzuciłam je do kosza w kącie.

– Mogłabym doprowadzić to miejsce do ładu – zauważyłam. – Całe życie dbam o jakiś dom albo mieszkanie. Mogłabym też prowadzić panu biuro, kiedy pracuje pan w mieście. Dzięki temu nie straciłby pan żadnego klienta. W zamian proszę mnie przyuczyć do fachu.

– Źle zrobiłem, wpuszczając cię do środka – odparł.

– Dobrze, w takim razie proponuję układ. Proszę o tydzień próby. Nie oczekuję zapłaty. Jeśli po upływie tych paru dni nie będzie pan zadowolony, pójdę sobie i obiecuję, że już nigdy nie wrócę.

– Jesteś bardzo uparta – zauważył. – Proszę, przypomnij: jak się nazywasz?

Kiedy wychodziłam z biura Paddy’ego, było już ciemno. Przechodząc przez Ósmą Ulicę, uświadomiłam sobie, jak to dobrze, że przybrałam chłopięcy wygląd. Samotna kobieta spacerująca wieczorem zawsze może się spodziewać nieprzyzwoitych komentarzy i zaczepek ze strony pijanych mężczyzn. Na bosego chłopca, prawdopodobnie wracającego do domu po całym dniu pracy, nikt nie zwracał uwagi. Pamiętałam o radach Rileya i starałam się myśleć jak chłopak. Wsunęłam ręce do kieszeni, zadarłam głowę, a nawet próbowałam gwizdać.

Pod koniec wędrówki stopy miałam obolałe, drobne kamienie wbijały mi się w skórę. Postanowiłam, że poćwiczę chodzenie na bosaka, bo jeśli chcę częściej przebierać się za chłopca, muszę przyzwyczaić stopy do twardej powierzchni. Niestety, w pewnym momencie nie zauważyłam wielkiej kupy końskich odchodów i w nią wdepnęłam. Właśnie wtedy ujrzałam przed sobą Daniela Sullivana. Chyba znów był u mnie w domu. Nie miałam nastroju do rozmowy. Nawet nie stanęłam, żeby wytrzeć nogi, ale przyspieszyłam i znów spróbowałam gwizdać zawadiacko. Przeszedł tuż obok i nawet się nie obejrzał. Ja też nie, dopóki nie stanęłam na progu. Dopiero wtedy starannie wytarłam stopy o wycieraczkę. Kiedy wbiegałam pędem po schodach, czułam, jak serce mocno wali mi w piersi. Skoro zdołałam oszukać Daniela, to znaczy, że kiedyś mogę być naprawdę dobra w tym fachu.

Dopiero po dokładnej kąpieli, gdy w koszuli nocnej stanęłam w oknie i poczułam, jak wiatr owiewa mi szyję i ramiona, dotarło do mnie, że rozstanie z Danielem kończy pewien etap w moim życiu. Już nie będzie wizyt, na które czekałam z radością, nie będzie niedzielnych spacerów w parku ani pocałunków. Trudno. Żeby nie czuć i nie myśleć, postanowiłam rzucić się w wir pracy.

Pierwszy tydzień minął szybko i nic nie wskazywało na to, by Paddy chciał szybko zakończyć ze mną współpracę. Co więcej, zgodził się nawet płacić mi skromną pensję. Ale mijały kolejne dni, a ja nie poznawałam tajników pracy prywatnego detektywa. Odniosłam wrażenie, że większość spraw, które prowadzi Riley, dotyczy rozwodów. Śledztwo oznaczało wielogodzinną obserwację, której celem było nakrycie niewiernego małżonka z „tą drugą” w określonym miejscu. Jeśli dopisało szczęście, detektyw robił parę fotografii. Miał nowego kodaka brownie – małą, poręczną zabawkę wielkości pudełka papierosów. Żeby zrobić zdjęcie takim aparatem, nie trzeba było już rozstawiać statywu i chować głowy pod płachtą. Nie potrafiłam jednak ocenić, czy są to fotki dobrej jakości. Chował je przede mną razem z innymi dowodami śledztwa. Nie zadawałam żadnych pytań i czekałam cierpliwie na odpowiedni moment. Chciałam, by zrozumiał, że jestem mu potrzebna.

W pierwszych dniach zajęłam się zmiataniem i myciem podłóg. Napracowałam się jak nigdy w życiu. Ułożyłam papiery w porządne kupki, wyrzuciłam całe wiadra śmieci. Potem zabrałam się do segregowania dokumentów. Odkryłam, że w drugim pokoju znajduje się spora dębowa sekretera. Otworzyłam ją i starałam się zrozumieć system, według którego Riley układa dokumentację. Nie zdążyłam nawet przeczytać napisów na teczkach, kiedy usłyszałam za sobą krzyk:

– Kobieto, co ty sobie wyobrazasz?!

Aż podskoczyłam. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby był aż tak zdenerwowany. Po raz pierwszy w życiu nie przychodziła mi do głowy żadna celna riposta.

– Patrę tylko, jak przechowuje pan dokumenty, chciałam poukładać tutaj te, które leżą na biurku.

– Szpiegujesz, ot co.

– Wcale nie. Na biurku leży sterta papierów. Trzeba coś z nią zrobić. Tutaj jest dla nich miejsce. Chciałam tylko pomóc.

Wpatrywaliśmy się w siebie jak dwa wściekłe psy.

– Zabraniam ci szperać w tym pokoju. Trzymam tu dokumenty dotyczące najważniejszych spraw. Są poufne. Znałe rodziny w Nowym Jorku darzą mnie zaufaniem. Dostaję od nich zlecenia pod jednym warunkiem: wszystko, co mi przekazują, ma zostać tylko między nami.

– Po co panu asystentka, skoro nie potrzebuje pan żadnej pomocy? – zapytałam. – Nie będę w stanie pracować, jeśli nie podzielili się pan ze mną informacjami.

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Nie zamierzam powierzyć ci żadnych obowiązków poza tymi, które teraz wykonujesz. Sprzątanie i prowadzenie kalendarza spotkań; tylko na to mogę się zgodzić. Nie zamierzam jednak rozmawiać z tobą o aktualnych sprawach. Jako detektyw byłbym skończony. Kobiety nie potrafią trzymać języka za zębami.

– Ma pan bardzo złe zdanie o kobietach. To dlatego nigdy się pan nie ożenił?

– A kto tak powiedział? – zapytał i podszedł do sekretery, by zamknąć ją z hukiem. – Raz się ożeniłem. Ładna była. Aktoreczka... Uciekła z innym.

– Wszystko jasne! – Uśmiechnęłam się z satysfakcją. – To dlatego nie ceni pan kobiet! Stracił pan do jednej z nich zaufanie. No cóż, ja miałam złe doświadczenia z kilkoma mężczyznami, ale wcale nie uważam, że wszyscy są potworami.

– Aha.

Kiedy w końcu stawiałam na swoim, nigdy nie wiedział, jak odpowiedzieć.

– Bardzo proszę więcej nie wchodzić do tego pokoju. – Wskazał ręką drzwi. – To mój azyl, tak to określimy. Całe biuro możesz sobie sprzątać, ale bez tego pokoju – dodał.

– Widziałam tam kawałek starego placka z mięsem – rzuciłam mimochodem. – Nie zdziwię się, jeśli zalęgną się myszy.

– À propos. – Sięgnął do kieszeni. – Pójdź, proszę, do delikatesów przy Broadwayu i przynieś mi kanapkę z wątrobianką. Sobie też coś kup na lunch. Przy okazji zajdź też do ślusarza i poproś, by przyszedł do mnie po południu. Będę spokojniejszy, jeśli założy kłódkę na sekretkę. No, szoruj.

Rozejrzałam się ze zdziwieniem.

– To co w końcu mam robić? Iść po zakupy czy szorować podłogę?

– „Szoruj” to znaczy tyle co „pędź”. W czasach gdy byłem jeszcze dzieckiem, tak mówiło się w Londynie. – Uśmiechnął się, widząc moje zmieszanie. – Bez znajomości slangu nie przeżyłabyś tam nawet jednego dnia!

– Nigdy nie byłam w Londynie, więc ten problem mnie nie dotyczy – odparłam wyniośle. – A jeśli tam kiedyś pojedę, postaram się o odpowiednie towarzystwo i nie będę musiała używać slangu.

Zamiast się zdenerwować, wybuchnął głośnym śmiechem.

– Charakterek z ciebie. Masz ikrę. No, dalej. Szoruj. Bierz nogi z podłogi, szykuj się do drogi!

Było mi wesoło, kiedy zbiegałam po schodach. Miałam nadzieję, że pewnego dnia Paddy mnie polubi.

Gdy wychodziłam z delikatesów U Katza, musiałam znów przepuścić samochód. Ostatnio zauważyłam, że w mieście przybywa aut, przez co przejście przez ulicę staje się jeszcze bardziej niebezpieczne niż kiedyś. Poza tym kursowały też tramwaje i powozy konne. Samochód jednak, zamiast przejechać, zahamował gwałtownie i stanął, a z szoferki wyskoczył Daniel Sullivan. Nie poznałam go, dopóki głośno nie krzyknął mojego imienia. Na głowie miał czapkę, a oczy przesłonięte specjalnymi okularami.

Przez chwilę myślałam o ucieczce, ale zdecydowałam, że nie ma sensu ciągle unikać Daniela. Nie mogę przecież odkładać tej rozmowy w nieskończoność! Być może nawet lepiej odbyć ją tutaj, na środku ruchliwej ulicy, niż w domu.

– Gdzie ty się, na litość boską, podziewałaś? – zapytał, zdejmując okulary. – Tak się martwiłem! Pani O'Hallaran nic nie chciała mi powiedzieć oprócz tego, że nie ma cię w domu, a panna Van Woekem przekazała tylko, że zmieniłaś zdanie i już u niej nie pracujesz. Nie odpowiadasz na wiadomości, które ci

zostawiam. Co się z tobą dzieje?

– Chyba źle rozumiałam pańskie intencje w stosunku do mojej osoby – odparłam. – Co więcej, w tych okolicznościach będzie rozsądnie w ogóle się nie kontaktować.

– O czym ty mówisz? Czy popełniłem jakiś nietakt?

– Może uznałam, że niepoinformowanie mnie o narzeczonej jest nietaktem. Przypuszczam, że panna Norton nie byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, że marnujesz swój cenny czas w moim towarzystwie. A teraz muszę wracać do pracy. Inaczej pryncypał zacznie się denerwować. Miłego dnia!

Ruszyłam przed siebie pewnym krokiem.

– Molly, poczekaj. Nie odchodź, proszę! – zawołał za mną. – Pozwól, że ci wytłumaczę.

– A czego niby mogłabym nie zrozumieć? Myślisz, że nie znam słowa „narzeczona”? – zapytałam.

Poczułam, że głos mi się łamie, a starałam się być taka opanowana! Jeśli zostanę tu dłużej, nie wytrzymam i zacznę płakać.

– Z tego, co się orientuję, słowo „narzeczona” ma tylko jedno znaczenie. Owszem, jestem prostą dziewczyną ze wsi, ale znam francuski<sup>[2]</sup>.

I zaczęłam biec.

– Molly, proszę... – słyszałam za sobą jego głos.

– Nie chcę cię znać! – odkrzyknęłam. – Masz więcej za mną nie chodzić!

Już go nie usłyszałam.

Przez resztę dnia pracowałam jak szalona. Paddy chyba powinien być zadowolony z efektów moich starań, bo cały pokój zaczynał lśnić. Ale on jedynie obserwował mnie w milczeniu, od czasu do czasu burcząc coś pod nosem, a późnym popołudniem nie wytrzymał i wrzasnął:

– Przystaniesz wreszcie, kobieto?! Męczy mnie samo patzenie na to, co wyprawiasz. Jeśli jeszcze raz wypolerujesz tę podłogę, będziemy po niej jeździć pupami jak na lodowisku!

– Potrzebuję zajęcia – odparłam.

– Ale mi przeszkadzasz. Muszę się teraz przebrać na ważne spotkanie w Delmonico.

– Delmonico...? Widzę, że obraca się pan w eleganckich kręgach.

– Nie idę tam na kolację – odpowiedział. – Pewien dżentelmen zarezerwował dla siebie salę, więc w Delmonico potrzebny jest dodatkowy kelner. Zaraz zobaczysz, jak się w niego zmienię. Poczekaj.

Wszedł do drugiego pokoju, a po chwili wyjrzał ubrany w smoking, z serwetą przewieszoną przez lewe ramię.

– Muszę jeszcze tylko zadbać o szczegóły – dorzucił.

Otworzył kufer i wyjął elegancką czarną perukę z przedziałkiem pośrodku, a następnie założył ją na głowę.

– Teraz coś na twarz – powiedział bardziej do siebie niż do mnie i sięgnął po przyklejane czarne wąsy.

– Zdradzę ci coś. Ważne, by w przebraniu był jakiś charakterystyczny szczegół. Broda, wąsy, monokl albo

oryginalny kapelusz lub po prostu kwiatek w butonierce. Ludzie zapamiętają każdy szczegół.

Wycisnął na wąsy klej i przykleił je do twarzy. Zmiana wyglądu była porażająca. Z nijakiego starszego pana przeistoczył się w młodego i całkiem przystojnego kelnera.

– Jak pan to zamierza zrobić? Przecież oni tam znają swoich pracowników.

Uśmiechnął się krzywo.

– Są tak zajęci, że nawet nie zauważają nowych twarzy. Robiłem to już nieraz. Potrafię nie rzucać się w oczy. Najważniejsze, by udawać, że człowiek ciężko pracuje. Trzeba wyglądać jak ktoś, kto zna swoje miejsce i wykonuje obowiązki. Biorę w ręce świecznik, wazon z kwiatami albo tacę pełną szklanek i niosę do zarezerwowanej sali. A goście? Goście nigdy nie zauważają kelnera. Szczególnie tacy, którzy są zajęci tylko sobą. Przez chwilę kręcę się w kącie, potem, jeśli się da, robię zdjęcie i wychodzę.

– Ekscytujące. Chciałabym się kiedyś tak przebrać.

– Nie zatrudniają tam kobiet.

– Ale zatrudniają szczupłych chłopców, a pan właśnie mi pokazał, jak się dokleja sztuczne wąsy.

– Po moim trupie – odparł, wpatrując się w lustro. – Koniec pracy, ruszaj się i wracaj do siebie. Jestem zajęty.

W drodze do domu wrócił fatalny nastrój, który ogarnął mnie już wcześniej, zaraz po spotkaniu z Danielem. Zrozumiałam, że już nie będę go widywała. Chyba aż do naszego spotkania miałam nadzieję, że to wszystko okrutna pomyłka. W głębi duszy wierzyłam, że zaszło nieporozumienie, a Daniel tylko zaśmieje się i powie: „Jaka narzeczona? Nie mam żadnej narzeczonej!”

Ale tak się nie stało. Jedyne, na co miałam teraz ochotę, to położyć się do łóżka, przykryć razem z głową i zasnąć na wiele godzin. Otworzyłam drzwi wejściowe i cichutko wspięłam się po schodach. Nie chciałam, by usłyszała mnie pani O’Hallaran. Już miałam chwycić za klamkę, kiedy jakiś dziwny dźwięk sprawił, że zamarłam na podeście. Ktoś był w moim pokoju.

Pchnęłam z impetem drzwi. Patrzyły na mnie dwie zawstydzone twarze. Dzieci mocno ścisnęły w rękach moje poduszki – najwyraźniej przed chwilą stoczyły bitwę.

– Seamus, Bridie, co się tutaj dzieje? – zapytałam. – Co robicie w moim pokoju?

– Ciocia Nuala kazała nam tu przyjść – cichutko odparła Bridie. – Powiedziała, że musimy mieszkać z tobą, bo tatuś nie może się nami zająć.

– A co się stało waszemu ojcu?

– Został zasypany – odpowiedział rzeczowo Seamus.

W tym momencie otworzyły się drzwi od pokoju O’Connorów i stanęła w nich Nuala z palcem na ustach.

– Nie hałasujcie tak. Czy ten biedny człowiek nie może odpoczywać w spokoju?

– Seamus nie żyje?! – krzyknęłam.

– Na razie żyje, ale może umrzeć, jeśli nie będziecie cicho. – Oparła grube dłonie na szerokich biodrach. – Dzieci nic ci nie powiedziały? Zawalił się tunel i zasypało biedaka. Ale miał szczęście.

Ratownicy zobaczyli rękę wystającą z błota i w ostatniej chwili go wyciągnęli. Jeszcze chwila, a byłoby za późno. Trudno powiedzieć, w jakim jest stanie. Lekarze mówią, że ma wstrząśnienie mózgu, a w płucach pełno brudu. Będzie cud, jeśli się poważnie nie rozchoruje. Wszystko w rękach Najświętszej Pani.

– Boże, to straszne! Dlaczego jest w domu, a nie w szpitalu?

Popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Szpitale kosztują. Nie wszyscy mają bogatego kochanka, który płaci. Ten biedak zostanie w domu. Doktorzy mówią, że i tak w tej chwili nie są mu w stanie pomóc. Albo wyzdrowieje, albo nie. Ale to nie twoja sprawa. Damy sobie radę. Zostawiłam Finbara z chłopakami i zadbam o to, by przywrócić Seamusa do życia.

– Ależ wcale nie musisz! – krzyknęłam, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo przeraziła mnie ta informacja. – Jestem pewna, że z pomocą pani O’Hallaran dobrze się nim zajmę.

– A od czego jest rodzina? – nie ustępowała. – Nie będziemy nikogo prosić o pomoc.

– Przecież synowie cię potrzebują! Co z pracą na targu rybnym?

– Problemy bliskich są najważniejsze – odparła. – A na targu teraz jest martwy sezon. Pomieszkać tu trochę, dopóki ten biedak nie wyzdrowieje.

– To miło z twojej strony – odpowiedziałam zrezygnowana.

Popatrzyła na mnie z wyższością.

– Potrzebna mu opieka kogoś z doświadczeniem, a do tego cisza i spokój. Tak mówią lekarze. Dzieci muszą przez jakiś czas pobyc z tobą.

– Ależ oczywiście.

Nie mogłam odmówić. Wyszłabym na osobę bez serca.

– Chyba czas im dać podwieczorek – przypomniała Nuala i odwróciła się na pięcie.

Tak więc znów musiałam wejść w rolę matki. Nie miałam nic przeciwko temu. Potraktuję to jak zrzędzenie losu – postanowiłam. Nie będzie czasu, by siedzieć beczynnie i rozpaczać.

Wieczorem ułożyłam dzieciom posłania na podłodze, ale w środku nocy Bridie jak zwykle przyszła do mnie do łóżka. Tak samo zawsze robiła na statku.

– Nie chcę, żeby tatuś umarł – wyszeptwała.

– Nie umrze, kochanie. – Pogładziłam dziewczynkę po włosach. – Wróci do zdrowia, zanim się obejrzysz.

– Ciocia Nuala mówi, że może umrzeć.

– Twoja ciocia Nuala często wygaduje różne głupoty – powiedziałam. – Możemy teraz odmówić za tatusia krótką modlitwę, która sprawi, że Bozia się nim zaopiekuje.

Zanim skończyłyśmy, dołączył do nas Seamus.

– Też chcę się pomodlić za tatusia.



Usnęłam, przytulając dzieci mocno do siebie.

Rano dostały chleb z dżemem i herbatę, a także dokładne instrukcje dotyczące zachowania. Powiedziałam im, by siedziały cicho, niczego nie dotykały i nie próbowały gotować na mojej kuchence gazowej. Szczerze mówiąc, obawiałam się raczej Nuali. Byłam pewna, że chętnie zajrzy do moich rzeczy, oczywiście o ile dotychczas tego nie zrobiła. Trudno. Niech sobie zagląda! I tak oprócz listów, które pisał do mnie Daniel, nie mam nic cennego. A listy muszę spalić. Oczywiście w odpowiednim momencie.

Kiedy tylko dotarłam do biura, od razu powiedziałam Rileyowi, że będę teraz więcej czasu spędzać w domu, bo muszę zająć się dziećmi. Spodziewałam się, że wykorzysta to jako kolejną okazję do komentarzy na temat przydatności kobiet w pracy, ale on prawie nie zareagował.

– To idź. No dalej, zbieraj się.

Stałam w osłupieniu. Nie podniósł nawet głowy znad biurka i zeszytu, w którym zawzięcie coś rysował.

– Chwileczkę. To chyba nie znaczy, że chce mnie pan zwolnić? – zapytałam. – Pracuję tutaj w pocie czoła, chyba trudno zaprzeczyć. Biuro aż lśni, załatwiam różne sprawy i wcale nie chciałam powiedzieć, że biorę wolne. Po prostu od czasu do czasu będę musiała zajrzeć do domu i sprawdzić, czy u dzieci wszystko w porządku.

– Rzeczywiście. Też uważam, że nieźle sobie radzisz – przyznał niechętnie. – Ale teraz mam naprawdę poważną pracę. Nie chcę, by ktoś mi się kręcił pod nogami i szorował podłogę. Sprawy nabrały tempa.

Zaczął przeglądać mały czarny notes, strona po stronie.

– Odkrył pan coś ciekawego wczoraj w Delmonico? – zapytałam z zainteresowaniem.

– Nie w Delmonico. Później. W barze. Nie rozpoznali mnie, rozumiesz, bo miałem na sobie ten strój kelnera. I chyba nie sądzili, że ktoś ich może podsłuchiwać.

Najwyraźniej był poruszony. W przeciwnym razie nie opowiadałby mi takich rzeczy.

– Trudno w to uwierzyć – dodał. – I pomyśleć, że nigdy nie traktowałem go poważnie. – Podniósł głowę i chyba zdziwił się, że wciąż tam stoję. – No, dlaczego jeszcze nie wyszłaś? Mam pracę. Nie chcę, by plątała mi się teraz po biurze kobieta.

– Mam wpaść później i sprawdzić, czy są dla mnie jakieś zajęcia?

– Nie będę miał dla ciebie żadnych zajęć. Zaraz wychodzę.

– W takim razie mogę przypilnować biura i przyjmować klientów, jeśli przyjdą.

– Nie życzę sobie, żebyś tu węszyła, kiedy mnie nie ma! No dalej, ruszaj się. I jeszcze coś. Powiedz swojemu przyjacielowi Sullivanowi, że Paddy chętnie zamieniłby z nim słówko. Na osobności, oczywiście. Będę dzisiaj wieczorem tam gdzie zawsze.

Zostałam odprawiona. Nie cieszyła mnie wcale perspektywa powrotu do domu, w którym teraz rządzą dzieci i Nuala. Nie miałam jednak dokąd pójść, a spacer w taką pogodę wcale mnie nie interesował. Gdybym tylko mogła robić, co chcę, poszłabym popływać w East River, ale jedyne kąpielisko dla kobiet znajdowało się daleko, aż na Coney Island. Którejś niedzieli zabrał mnie tam Daniel. Trudno jednak

powiedzieć, żebym się wówczas porządnie wykąpała. Mogłam jedynie dyskretnie pochłapać się przy samym brzegu, w kostiumie z falbankami, które ważyły chyba tonę.

Zauważyłam grupkę chłopców. Kąпали się na środku Broadwayu w poidle dla koni. Kilka kropel wody poleciało w moją stronę.

– Oj, przepraszamy bardzo! – krzyknęli chłopcy radośnie.

Uśmiechnęłam się do nich. Dziewczynki nie mogą się bawić w ten sposób. Myślami wróciłam do swojej przygody z przebraniem za chłopaka. Idąc wtedy ulicą, czułam się jak niewidzialna. Nikt nie zwracał na mnie uwagi i bardzo mi to odpowiadało. Kiedyś, kiedy Paddy Riley wreszcie mi zaufa i wyśle do porządných zadań, znów przebiorę się za chłopca. Szkoda, że wciąż jest w stosunku do mnie podejrzliwy, a na dodatek wyprasza z biura, gdy ma poważną pracę. Zastanawiałam się, co takiego usłyszał wczoraj wieczorem, że był aż tak poruszony.

Po powrocie do domu zajrzałam do Seamusa. Co chwila tracił przytomność. Nuala kładła mu na czoło zimne okłady. Twarz miał bladą. Jeśli umrze, co się stanie z tymi biednymi dziećmi? Co będzie dla nich lepsze? Odesłanie do Irlandii, do umierającej na gruźlicę matki, czy też pozostawienie tutaj pod opieką tej potwornej ciotki? Staralam się nie zadawać sobie podobnych pytań. Wzięłam dzieci do katedry Świętego Patryka, by w intencji tatusia zapaliły świeczkę. Potem pojechaliśmy do Central Parku i przez resztę dnia Bridie i Szelma bawili się wyśmienicie jak za dawnych czasów. Ja też miałam się dobrze. W trawie, drzewach i wodzie jest coś, co uspokaja i sprawia, że świat znów wydaje się nam nie taki straszny.

Kolejnego dnia Seamus odzyskał przytomność, ale wciąż wyglądał jak śmierć na chorągwi. Nuala poprosiła, bym załatwiła dla niej parę spraw. Wysłała mnie po maść do stóp, rozgrzewającą, i kości na bulion, który, jak się wyraziła, będzie bardzo odżywczy. Z czego ja za to zapłacę? Oprócz groszy, które dawał mi Paddy, i dwóch dolarów od panny Van Woekem nie miałam już nic. Owszem, mogę je teraz wydać, ale co się stanie, jeśli Seamus dłużej nie będzie mógł pracować? Nie mogę sobie pozwolić na utrzymywanie całej jego rodziny! Wracając ze sprawunków z kośćmi na bulion i kaszą jęczmienną, miałam głowę pełną czarnych myśli. W domu wstawiłam wodę na zupe, a dzieciom, by czymś je zająć, zadałam ćwiczenia językowe. Podobała im się zabawa w szkołę, ale stwierdziły też, że jako nauczycielka nie jestem wystarczająco surowa i że powinnam mieć trzcinkę do bicia po rękach. W końcu zostawiłam Szelmę i Bridie, by poćwiczyli kaligrafię na tabliczkach z rysikiem, i wybrałam się sprawdzić, czy Paddy Riley jest w biurze i czy przypadkiem nie potrzebuje mojej pomocy.

Było późne sierpniowe popołudnie. Upał nie dawał za wygraną. Biedne zmęczone konie toczyły pianę, ciągnąc powozy i wagoniki dostawcze. Widziałam nawet, jak jeden koń umiera. Leżał bez zaprzęgu na ulicy. Ludzie, nie zwracając uwagi, przechodzili obok. Właściciel konia stał przy nim, nie wiedząc zupełnie, co począć. Przyspieszyłam kroku. Chciałabym pomóc, ale nie wiedziałam jak. W tym mieście zdążyłam się już przyzwyczaić do widoku umierających na ulicy koni.

Biała bluzka przyklepiła mi się do pleców, kiedy w końcu doszłam do dawnych stajni. Tu, w cieniu wyższych budynków, było trochę chłodniej. Wycieńczona, wspierałam się po schodach, marząc, by Paddy

był już w biurze i dał mi łyk zimnej wody. Chyba miałam szczęście. Drzwi zastałam uchylone. Paddy drzemał przy biurku.

– A więc tak wygląda ta ciężka praca... – zaczęłam, ale nie dokończyłam.

Pokój wyglądał jakoś inaczej. Zupełnie jak po przejściu trąby powietrznej – papiery walały się po podłodze, a kosz na śmieci leżał do góry dnem.

– Paddy, co, u licha...?

Nagle gdzieś w głębi usłyszałam jakiś hałas. Nie zastanawiałam się ani chwili. Podbiegłam i zajrzałam do środka. Drugi pokój wyglądał podobnie. Pośrodku stał człowiek ubrany od stóp do głów na czarno i pochylał się nad przewróconą na bok sekretarz. Na mój widok wyprostował się zdziwiony. Nasze oczy spotkały się na ułamek sekundy, po czym – zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć lub wydobyć z siebie jakiś dźwięk – nieznajomy zaatakował mnie pięścią. Poleciałam do tyłu i upadłam na podłogę. Zaszumiło mi w głowie. Kątem oka widziałam, jak intruz daje nade mną susa, podbiega do okna i wyskakuje. Wciąż oszołomiona i obolała, podniosłam się z trudem na nogi i zataczając, podeszłam do okna. Nie mogłam krzyknąć – bolała mnie szczęka. Bezradnie patrzyłam, jak mężczyzna ucieka pomiędzy budynkami i w końcu znika.

Stałam tam jeszcze przez chwilę, mocno trzymając się parapetu i walcząc z nudnościami, aż w końcu przypomniałam sobie o swoim pracodawcy. Wróciłam biegiem do pierwszego pokoju i spróbowałam usadzić Paddy'ego prosto. Kiedy opierałam mu plecy na krzesło, głowa odchyliła się do tyłu i zobaczyłam, że ma na piersi okropne czerwone plamy. Był ciepły, więc pomyślałam, że może jeszcze jest nadzieja... Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, co zatamuje krwawienie; znalazłam ręcznik i przycisnęłam go mocno do rany. Wtedy detektyw otworzył oczy. Rozejrzał się nieprzytomnie po pokoju, wreszcie zatrzymał wzrok na mojej twarzy.

– Wszystko dobrze, Paddy – powiedziałam z trudem. – Wszystko będzie dobrze. Pobiegnę po pomoc.

Trzymał się kurczowo mojego ramienia. Kościste palce wbijały mi się w skórę.

– Za duże... dla... mnie... – szeptał tak cicho, że ledwo rozróżniałam słowa.

– Kto to zrobił, Paddy? Kto ci to zrobił?

– Chyba nie zrobi... – wyszeptał, a potem zmienił się na twarzy.

Zrozumiałam, że nie żyje.

Nie ruszyłam się z biura ani na krok, dopóki nie przyjechała policja. Zawołałam jednego z chłopców bawiących się na ulicy i poprosiłam, by szybko znalazł jakiś patrol, a potem usiadłam obok Paddy'ego i czekałam. Byłam tak wściekła na samą siebie, że nawet zapomniałam o bólu po walce z napastnikiem. Szkoda, że nie przyszłam wcześniej. Gdybym krzyknęła, intruz z pewnością by się wystraszył. Może nie zdążyłby zabić Rileya? Zamiast tego pozwoliłam, by Paddy umarł na moich rękach! Nie pracowaliśmy razem zbyt długo, ale zaczęłam go naprawdę lubić. Pewnie dlatego, że rozpoznałam w nim bratnią duszę. Tak jak ja był samotnikiem, miał niewyparzoną gębę i niczego się nie bał. On chyba też zdążył się do mnie przyzwyczaić i nawet zaczął mi okazywać sympatię. Oczywiście na swój szorstki sposób. Może zostalibyśmy przyjaciółmi, może zaproponowałby mi prawdziwą pracę w firmie, może...

Z rozmyślań wyrwał mnie stukot butów na schodach. Młody policjant zajrzał do środka, przeżegnał się i wymamrotał:

– Boże święty, czy mam wezwać lekarza?

– Już za późno – powiedziałam.

– Co się stało?

Dotknęłam ręką twarzy i wyczułam na niej coś lepkiego.

– Zostaliśmy napadnięci – odparłam.

– Proszę się nie ruszać. Pójdę po pomoc.

Zbiegł po schodach. Obdarty chłopiec, który go przyprowadził, stał w drzwiach i patrzył na mnie bez słowa. Wyczułam, że na zewnątrz powoli zbierają się gapie. Nie upłynęło wiele czasu, a usłyszałam zdecydowany głos:

– No już! Rozejść się! Nie szwendać mi się tutaj. Do domów!

Potem rozległy się ciężkie kroki i do pokoju wkroczył młody mężczyzna. Miał jasne włosy, niebieskie oczy, wyblakłe brwi i bladą karnację. Dziwny typ urody – pomyślałam. W moim kraju ludzie mają zaróżowione policzki i piegi na nosie. Mężczyzna ubrany był w elegancki ciemny garnitur, który jeszcze bardziej podkreślał szary kolor jego twarzy. Z obrzydzeniem rozejrzał się szybko po pokoju, a potem popatrzył na mnie.

– Sierżant Wolski – przedstawił się. – Co my tu mamy? Nieboszczyka?

No proszę! Nowojorski policjant, który nie jest Irlandczykiem! Nadzwyczajne!

Pochyliłam głowę.

– Tak. Morderca uciekł przez okno w drugim pokoju.

– To Paddy Riley, prawda? – Policjant zaczął przechadzać się po pokoju.

– Owszem. Nie powinien pan wysłać kogoś w pogoń za zabójcą?

– Rozumiem, że jest pani sąsiadką, tak? – Wpatrywał się we mnie zimnym spojrzeniem białych niebieskich oczu. – Nazwisko?

– Molly Murphy. Nie jestem sąsiadką, tylko współpracownicą pana Riley'a.

Dobrze, że zachowałam trzeźwość umysłu i znalazłam odpowiednie słowo. „Współpracownica” brzmiało znacznie lepiej niż asystentka.

– Przecież Paddy zawsze pracował sam.

– Ale teraz pracuje z kimś. To znaczy pracował.

Nie podobał mi się ten policjant. Był nadęty i arogancki.

– Skoro pan pyta, Paddy przyuczał mnie do zawodu.

Trochę co prawda przesadziłam, ale trudno.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– No cóż... Najwyraźniej ludzie na starość się zmieniają.

– Dlaczego spokojnie tu sobie rozmawiamy, kiedy morderca wciąż jest na wolności? – nie wytrzymałam. – Jeśli zacznie pan szybko działać, może uda się go schwytać.

– To ja decyduję, co robić, nie pani – odparł. – Proszę mówić tylko wtedy, kiedy zadaję pytania.

Już otwierałam usta, by dać mu nauczkę. Chciałam powiedzieć, że jeśli jeszcze raz odezwie się do mnie takim tonem, będzie miał do czynienia z kapitanem Sullivanem, ale w porę sobie przypomniałam, że już nie mogę powoływać się na Daniela.

– Zawsze jest pan taki nieuprzejmy?

– Tylko w stosunku do ludzi, którzy za dużo mówią – odrzekł. – Jeśli nie zacznie się pani przyzwoicie zachowywać, pojedziemy na posterunek.

To by dopiero było! Już wyobrażałam sobie jego minę podczas spotkania z Danielem.

Sierżant Wolski kazał mi się odsunąć, obejrzał Paddy'ego, a następnie zwrócił się do czekającego w progu policjanta.

– Ugodzony nożem. Małe ostrze. Wygląda mi na sztylet. Zabójca pewnie wziął ze sobą narzędzie zbrodni, ale na wszelki wypadek rozejrzyj się tutaj i na zewnątrz. Może wyrzucił nóż przez okno albo upuścił podczas ucieczki.

Otworzył drzwi do drugiego pokoju.

– A może to próba rabunku? – zauważył na widok panującego tam straszego bałaganu. – Chociaż kto mógłby przypuszczać, że Paddy trzyma tutaj jakieś skarby?

Podszedł do leżącej na boku sekretery, a następnie ruchem ręki poprosił policjanta o pomoc. Podnieśli mebel z podłogi i ustawili na nóżkach.

– Co jest w środku? – zapytał.

– Dokumenty i notatki dotyczące spraw, które prowadził pan Riley. Poufne. Nie miałam do nich

dostępu.

– Gdzie może być klucz?

– Nie mam pojęcia.

Podszedł do mnie.

– Jak to się stało, że pani ma jedynie małe zadrapanie na twarzy, a taki silny mężczyzna jak Paddy nie żyje?

Wiedziałam, o co mu chodzi. Podejrzewał, że byłam w zмовie z napastnikiem.

– Odpowiedź jest prosta. Kiedy tu weszłam, Paddy siedział z głową opartą na blacie biurka. Wszystko wyglądało tak jak teraz. W drugim pokoju usłyszałam hałas, więc poszłam sprawdzić, co się dzieje.

– Przecież Paddy nie żył. Albo jest pani bardzo odważna, albo bardzo głupia.

– Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że Paddy nie żyje. Myślałam, że śpi. Nigdy by mi nie przyszło do głowy... – nie dokończyłam zdania. – A kiedy weszłam do drugiego pokoju, zobaczyłam intruza. Uderzył mnie pięścią w twarz. Tak mocno, że aż upadłam. Potem przeskoczył nade mną i uciekł przez okno.

– Przyjrzała mu się pani? Potrafiłaby go pani rozpoznać?

Pokręciłam głową.

– Nie zdążyłam zapamiętać twarzy. Widziałam tylko jego plecy, kiedy uciekał. Młody, szczupły mężczyzna. Był cały ubrany na czarno. Chyba miał ciemne włosy albo czarną czapkę na głowie. Bardzo zwinny i szybki. – Wzruszyłam ramionami. – To wszystko, co pamiętam.

– Proszę przekazać ten opis na posterunku – zwrócił się Wolski do drugiego policjanta. – Powiedz im, że potrzebuję dodatkowych ludzi i karawanu. Niech się pospieszą. Jest bardzo gorąco.

– Ta pani jest ranna – odpowiedział chłopak, patrząc na Wolskiego z wyraźną niechęcią. – Nie powinien ktoś opatrzeć tych zadrapań? Może zaprowadzę ją do domu?

– Dopiero gdy skończę przesłuchanie – odparł Wolski. – Nie jestem przekonany co do motywów jej postępowania.

Wyciągnął notes.

– Proszę mi podać imię i nazwisko oraz dokładny adres.

– Jeśli o to chodzi, mieszkam u państwa O'Hallaran. – Punkt dla mnie, pomyślałam. – Zna pan sierżanta? To kapitan Daniel Sullivan poznał mnie z państwem O'Hallaran i załatwił mi u nich lokum.

Tej uwagi nie mogłam sobie odmówić. Widziałam, że zrobiła na Wolskim duże wrażenie.

– Tak więc pracowała pani dla Paddy'ego?

– Niedawno zaczęłam. – Nie sprecyzowałam jak bardzo niedawno.

– Wie pani, czym się ostatnio zajmował? Ma pani jakieś podejrzenia? Komu mogło zależeć na jego śmierci?

– Niestety, pan Riley nie opowiadał mi o sprawach, które prowadził. Wiem, że część dotyczyła rozwodów, ale szczegółów nie znam.

– Cóż, doigrał się – odparł, chodząc po pokoju i bezmyślnie kopiąc czubkiem buta porozrzucane po podłodze dokumenty. – Sam się o to prosił, czyż nie?

– Co pan ma na myśli?

Wolski uśmiechnął się nieprzyjemnie, zarozumiale. Miałam ochotę go spoliczkować.

– Kiedy się działa na dwa fronty...

– Nie rozumiem.

– Paddy pracował i dla policji, i dla gangów. Dostawał pieniądze od jednych i od drugich. Uważam, że to ryzykowne. W końcu ktoś stracił cierpliwość.

Popatrzył na mnie.

– Ma pani szczęście, że Paddy nie opowiadał o szczegółach swojej pracy. Być może i pani nie byłoby już dzisiaj wśród żywych. W porządku. Proszę wracać do domu. I niech ktoś opatrzy tę rozciętą wargę.

– Co teraz zrobicie? – spytałam.

– Będziemy szukać mężczyzny, którego pani opisała. Popytamy tu i ówdzie, w gangach też, ale nie sądzę, by ktoś sypnął.

– A co ze mną? Wciąż tu pracuję. Kiedy będę mogła wrócić do biura i posprzątać?

Wzruszył ramionami.

– Jak tylko zrobimy zdjęcia i zabierzemy ciało.

– A te dokumenty?! – krzyknęłam i zaraz pożałowałam ostrego tonu. – Czy ktoś nie powinien ich przejrzeć? To oczywiste, że napastnik czegoś szukał, ale nie znalazł. Po co poszedł do drugiego pokoju i przewrócił sekretkę?

Po raz pierwszy Wolski spojrzał na mnie normalnie, jak na człowieka, a nie istotę niższego gatunku. Pokiwał głową.

– Poproszę swoich ludzi, by dokładnie przejrzeli te papiery. Ale nie jestem pewien, czy warto. Sama pani przyznała, że Paddy zajmował się kilkoma sprawami naraz. Nie wiemy, jaka informacja mogła być dla kogoś na tyle istotna, by z jej powodu popełnić morderstwo. Uważam, że zabójca został przez kogoś wynajęty. Znał się na rzeczy: cienki sztylet, cios prosto w serce. Fachowa robota. – Znów kopnął plik papierów. – Zobacz pani, że stoi za tym gang. Pewnie myślą, że Paddy przekazał policji jakąś istotną informację. A za coś takiego trzeba ponieść karę. Niestety.

– No tak – odparłam, patrząc na ciało Paddy’ego. – Niestety.

Powoli do mnie docierało, że ten przemądrzały policjant nie zrobi nic, by znaleźć zabójcę Paddy’ego.

– To pewnie zbierze pan teraz odciski palców? – nie mogłam nie zapytać.

Wróciło lodowate spojrzenie.

– Chce mi pani udzielać lekcji?

Zmieniłam ton. Znów byłam nieśmiałą kobietką.

– Przepraszam, nie chciałam sugerować...

– To i tak bez znaczenia. Jeśli zabójca zna się na rzeczy, nie zostawił żadnych śladów.

Próbowałam sobie przypomnieć, czy pięść, która mnie uderzyła, była w rękawiczce, czy nie, ale to wszystko działo się tak szybko! Nie zamierzałam jednak odpuścić.

– Mógł zostawić ślad na ramie okna. Musiał jej dotknąć, uciekając.

– Uparta kobieta! Proponuję, by wróciła pani teraz do domu, a śledztwo zostawiła ludziom, którzy się na tym znają.

Na jego miejscu poprosiłabym o moje odciski palców. Ale tego nie zrobił. Rozejrzałam się po pokoju.

– Może mogłabym pomóc w przeglądaniu tych dokumentów? – zaproponowałam. – Może coś mi się przypomni...

– Zawiadomię, jeśli będzie pani potrzebna. I oczywiście poinformujemy o zakończeniu śledztwa, żeby mogła pani tu posprzątać.

Aha. Czyli zrobił ze mnie posługaczkę.

– Skoro mam tu jeszcze przyjść, potrzebny mi jest klucz.

– A gdzie są klucze? Wie pani?

– Pewnie w kieszeni. Mogę je wziąć i dorobić. Zachowa pan sobie oryginały.

– Poproszę policjanta, by zamówił kopie. Powiada pani, że w kieszeni?

Marynarka Paddy'ego wisiała na kołku razem z brązowym kapeluszem. Wolski podszedł i wsadził rękę do kieszeni. Nagle mi się przypomniało, że detektyw zawsze trzymał monety w kamizelce, którą wciąż miał na sobie. Być może znajdę tam też... Ostrożnie wsunęłam rękę. Na szczęście rana znajdowała się po drugiej stronie. Wyczułam kilka monet, a potem palce natrafiły na ostry przedmiot z metalu.

– Chyba mam... – zaczęłam.

Ale w tej samej chwili Wolski oznajmił:

– O, jest. To chyba to, czego szukamy. – I wyciągnął wielki metalowy klucz od drzwi wejściowych.

Spojrzałam na kluczyk, który miałam w dłoni. Mały, błyszczący i zupełnie nowy. Napastnik niepotrzebnie przewrócił sekreterę; mógł przeszukać kieszenie kamizelki i skorzystać z klucza. Policja pewnie znajdzie sposób, by wyjąć dokumenty, ale mogę się mylić. Lepiej wezmę sprawy w swoje ręce i zatrzymam kluczyk.



Zanim sierżant Wolski pozwolił mi odejść, na miejsce przybyło jeszcze kilku policjantów. Jeden z nich rozstawił statyw i przymierzał się do robienia zdjęć.

– Biedny Paddy – powiedział. – To bardzo dziwne. Uważałem go za człowieka, który potrafi o siebie zadbać.

Kiedy przyglądałam się tej scenie, przypominałam sobie o aparacie fotograficznym. Na pewno Paddy zabrał go ze sobą do Delmonico i zrobił jakieś zdjęcia. Może okażą się przydatne? Najpierw pomyślałam, żeby nie mówić o tym policji, ale potem uczciwość wzięła górę.

– Paddy miał aparat – oznajmiłam. – Może to ważne.

Wolski spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Aparat, powiada pani? Jakiego typu?

– Mały kodak brownie. Trudno będzie go znaleźć w tym bałaganie.

Skinął głową.

– Dziękuję. Będziemy o tym pamiętać. Do widzenia, panno Murphy. Poruczniku, proszę odprowadzić panią do wyjścia.

Ostrożnie schodziłam po schodach. Znow wróciły mdłości i zawroty głowy. W wardze czułam intensywne pulsowanie. Jeśli na tym ma polegać praca prywatnego detektywa, nie wiem, czy to zajęcie dla mnie. Ale co to zmienia, skoro i tak przed chwilą straciłam posadę i znow jestem bezrobotna?

Nie chciałam wracać do domu do hałaśliwych dzieci i wścibskiej Nuali. Poszłam więc w przeciwną stronę i na Washington Square usiadłam pod rozłożystym drzewem. Na środku była fontanna; wieczorny wiatr przywiał od niej orzeźwiająco bryzę. Dzieci grały w klasy i bawiły się w chowanego. Włoch sprzedający lody pchał swój wózek. Na ławkach odpoczywali studenci, z zaangażowaniem dyskutując na różne tematy. Świat wyglądał dokładnie tak samo jak przed śmiercią Paddy’ego. Nikt nie zwracał uwagi ani na mnie, ani na moją rozciętą, opuchniętą wargę. Sięgnęłam po chusteczkę, zamoczyłam ją w wodzie i wytarłam krew z twarzy. Potem przytrzymałam kompres przy ustach, aż pod wpływem zimna minęło uporczywe pulsowanie.

Co powinnam teraz zrobić? Wrócić do domu, a następnie znaleźć sobie porządną, a przede wszystkim bezpieczną pracę? To dobry plan. Dość już szukania guza w Nowym Jorku. Nie znam reguł, które rządzą światem przestępczym. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam rozwiązywać zagadki śmierci Paddy’ego, ale jednocześnie czułam, że ten pyszałkowaty sierżant Wolski nic nie zrobi, by znaleźć zabójcę. Szkoda, że na miejsce zbrodni nie przysłano Daniela. A może powinnam mu zrelacjonować całe zajście? Szybko zrezygnowałam z tego pomysłu. Nie, już o niczym nie powiem Danielowi. Po prostu sama odnajdę mordercę. Ale jak? Nie mam ani doświadczenia, ani umiejętności Paddy’ego. Nawet nie

wiem, od czego należałoby zacząć. Tyle razy już opowiadałam wszystkim, że chcę zostać prywatnym detektywem! Wreszcie mam okazję – kto nie ryzykuje, ten przegrywa. Słyszałam często takie powiedzenie na statku. Pamiętam, że używali go hazardziści. Niestety, praca detektywa to też ryzykowna gra – pomyślałam. Napastnik zabił Paddy’ego i napadł na mnie. Mam motyw, by go odszukać. Wrócę jutro do biura i przejrzę dokładnie dokumenty. Gdzieś musi być informacja, po którą przyszedł zabójca.

Tuż obok zatrzymali się jacyś ludzie. Usłyszałam zdanie wypowiedziane z eleganckim angielskim akcentem, jakim posługują się tylko wyższe sfery:

– Bądźcie tak mili i nie zadawajcie mi więcej pytań. Nawet ja nie wiem, o czym jest ta nowa sztuka. Do premiery we wrześniu opracuję to i owo. A jeśli nie zdążę, aktorzy będą improwizować. Trudno. Teraz, proszę, zostawcie nas w spokoju.

Spojrzałam w stronę mówiącego. Nigdy w życiu nie widziałam równie pięknego młodzieńca! Określenie „piękny” niezbyt pasuje do płci brzydkiej, ale w tym wypadku żadne inne słowo nie przychodziło mi do głowy. Mężczyzna przypominał posąg lub postać ze starych obrazów – wysoki, elegancki, z czarnymi lokami, choć nieco dłuższymi, niż dyktowała moda. Ciemne oczy, prosty nos i wyraźnie zarysowany podbródek. Ideał. Po prostu nie mogłam oderwać od niego wzroku. Gdy dziennikarze, do których się zwracał, odeszli, powiedział coś szeptem do jednego z kolegów. Wszyscy zaczęli się śmiać, twarz mężczyzny promieniała wspaniałym blaskiem. Pomyślałam, że jeśli kiedykolwiek spotkam na swojej drodze takiego mężczyznę, plany dotyczące kariery szybko przestaną się liczyć. Mogłabym do końca życia nie zajmować się niczym innym, jak tylko podawaniem mu śniadań do łóżka.

Śmiejąc się sama do siebie z tej głupiej myśli, wstałam z ławki i ruszyłam w stronę domu.

Zdołałam przejść niezauważona obok drzwi pani O’Hallaran, ale na górze nie miałam już tyle szczęścia. Nuala siedziała razem z dziećmi w moim pokoju.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty, co się stało z twoją twarzą?! – krzyknęła na mój widok.

– Molly, śmiesznie wyglądasz – dodał Szelma, patrząc na mnie pytająco.

Bridie podeszła bliżej.

– Boli cię? Płakałaś?

– Nie, już tak bardzo nie boli. Wszystko w porządku.

– Ach, więc twój kochaś w końcu cię uderzył, tak? – Na twarzy Nuali pojawił się obrzydliwy uśmiešek. – Wiedziałam, że tak to się skończy. Mężczyźni już tacy są.

– Mówiłam, że nie mam żadnego kochasia. I nie przypominam sobie, bym zapraszała cię do swojego pokoju.

– Ja tylko pilnuję dzieci, kiedy ty wychodzisz nie wiadomo dokąd. – Znow nieprzyjemnie się uśmiechnęła. – I nie masz co zaprzeczać. Wszystko wiem od pani O’Hallaran. Podobno odwiedza cię pewien policjant. W końcu ktoś musi opłacać czynsz, przecież ty nie masz żadnej porządnej pracy.

– Po pierwsze, pani O’Hallaran się myli – odparłam. – Ten policjant to jedynie przyjaciel, nikt więcej,

poza tym już zerwałam z nim znajomość. Po drugie, wyobraź sobie, że mam porządną pracę. Jestem prywatnym detektywem. Stąd ta spuchnięta warga. Zostałam napadnięta.

– A to ci dopiero! Mnie nie nabierzesz – zachichotała.

– Prawdopodobnie przeczytasz o tym jutro w gazetach. Zamordowano mojego partnera. Nazywał się Paddy Riley.

– Mój Boże! – Przeżegnała się zamasyście. – Ale to przecież nie jest praca dla kobiety.

– Na pewno znacznie lepsza niż patroszenie ryb – zauważyłam. – A teraz może byś zajrzała do Seamusa? Ja przygotuję dzieciom kolację.

Przez całą noc przykładałam do twarzy zimne kompresy z esencji herbacianej. Nad ranem prawie nic nie było widać. Cieszyłam się, że już nie przypominam kobiety, której kochaś spuścił lanie! Zaszłam do Seamusa. Wyglądał lepiej. Siedział; policzki miał zaróżowione. Dzięki Bogu! Może Nuala będzie mogła wrócić niedługo do domu, a ja odzyskam święty spokój?

W nocy dużo rozmyślałam. Nie mogłam zasnąć z powodu upału, bolącej wargi i dzieci, które przyszły do mojego łóżka. Leżałam, rozważając w myślach wszystkie istotne sprawy. Wczoraj przyznałam się Nuali, że jestem detektywem, tak więc teraz nie mam już wyjścia – muszę wrócić do biura Paddy’ego i udowodnić, że nadaję się do tej roboty. A skoro rzeczywiście mam iść w ślady Riley’a, powinnam zacząć się lepiej ubierać. Nikt nie potraktuje mnie poważnie, jeśli będę wyglądała na dziewczynę z fabryki, w zwykłej białej bluzce i taniej spódnicy z bawełny. Miałam ciągle te dwa dolary od panny Van Woekem. Rozsądnie byłoby je zachować na czarną godzinę. Ale nie będę rozsądna – postanowiłam. Znajdę krawcową i poproszę o uszycie kostiumu w stylu odpowiednim dla kobiety interesu.

Potem zajmę się rozwiązaniem zagadki morderstwa Paddy’ego. Nie wiedziałam, jak się do tego zabrać, ale byłam przekonana, że kiedy zacznę sprzątać biuro, coś wpadnie mi w ręce. Im więcej o tym myślałam, tym większej nabierałam pewności, że wcale nie chodzi o porachunki gangów. Jeśli ktoś chciałby uciszyć Riley’a, zabiłby go i tyle. Nie szukałby w panice dokumentów. Poza tym po co zabójca przychodziłby do biura? Szybkie pchnięcie nożem na zatłoczonej ulicy to lepszy sposób. Jestem pewna, że szło o coś jeszcze!

Zacznij od tego, co już wiesz – usłyszałam w myślach głos Paddy’ego. Ale co ja wiem? Bardzo niewiele. Wiem, że Riley przekazał w parku jakąś informację Danielowi, a następnie przez trzy dni obserwował dom przy Gramercy Park. Muszę się temu przyjrzeć. Wiedziałam również, że odwiedził Delmonico i przypatrywał się tam pewnej schadzce. A potem w drodze do domu usłyszał przypadkiem coś, co głęboko nim wstrząsnęło. Następnego dnia kazał mi wyjść, bo chciał w spokoju zająć się pracą. To będzie klucz do całości. Już zamykałam oczy i powoli zasypiałam, kiedy przypomniało mi się coś jeszcze – słowa Paddy’ego tuż przed śmiercią. Powiedział „za duże dla mnie”. Co było za duże dla Paddy’ego?

Zapadłam w niespokojny sen. Śnił mi się Riley w płaszczu do kostek. „Jest za duży dla mnie – mówił. – Będziesz musiała go włożyć”.

Rano pomogłam dzieciom umyć się i ubrać. Działalam w pośpiechu, bo pragnęłam jak najszybciej dotrzeć do biura i rozpocząć śledztwo. Jak na złość, maluchy były marudne, Bridie popłakiwała. W końcu wyszykowałam je do wyjścia, kazałam znaleźć kuzynów i mogłam wreszcie zająć się własnymi sprawami. W pierwszej kolejności udałam się do sklepu z tekstyliami. Uznałam, że czarny kolor nie będzie odpowiedni na ten upał, i zdecydowałam się na jasny beżowy materiał. Potem znalazłam krawcową w budynku obok i zamówiłam kostium w męskim stylu, z dwurzędowym żakiem. Usłyszałam zapewnienie, że taki fason wybierają właśnie damy prowadzące własne firmy. Miałam przyjść do przymiarki po południu. Krawcowa obiecała, że do końca następnego dnia kostium będzie gotowy, pod warunkiem że zapłacę dodatkowe pięćdziesiąt centów za usługę ekspresową. Zdecydowałam, że warto. Trudno, w przyszłym tygodniu pewnie nie będzie mnie stać na jedzenie!

Potem stwierdziłam, że skoro powiedziało się A, trzeba powiedzieć też B, i zaszłam do sklepu z artykułami biurowymi, by zamówić wizytówki. Te również miały być gotowe na następny dzień. Pomyślałam, że już niedługo przeistoczę się w prawdziwą kobietę interesu. Odrzuciłam głowę do tyłu i dumnie przemaszerałam przez cały Broadway. Właśnie tak zachowują się aktywne zawodowo damy. O mały włos nakazującym gestem nie przywołałam taksówki!

Z niechęcią poszłam na posterunek policji zobaczyć się z sierżantem Wolskim. Odebrałam od niego kopię klucza. Bardzo chciałam zapytać, czy policja trafiła na jakieś ślady, ale doszłam do wniosku, że i tak mi nie powie.

Dziwnie się czułam, idąc schodami do biura. Wyobraźnia podsuwała mi obraz, który ujrzałam poprzedniego dnia. A jeśli morderca wrócił i czeka na mnie w drugim pokoju, by dokończyć to, co zaczął wczoraj? Dopiero teraz o tym pomyślałam. Przecież i ja mogę być w niebezpieczeństwie! Nikt nie wie, że Paddy zatrudnił asystentkę. Byłam pewna, że nie chwalił się swoim znajomym. Co prawda napastnik raczej nie zdążył mi się przyjrzeć, podobnie jak ja nie zdołałam zachować w pamięci rysów jego twarzy, wydawało się więc, że jestem bezpieczna. Zanim przekręciłam klucz w zamku, zapukałam do drzwi i na wszelki wypadek zawołałam: „Jest tam kto?!”

W biurze panował nawet większy nieporządek niż poprzedniego dnia. Policjanci potwornie nabałaganili. Mój wzrok powędrował w kierunku pustego krzesła przy biurku. Zdziwiłam się, że Paddy tam nie siedzi. Odczułam niemal fizyczny ból, że już go nigdy nie zobaczę. Kto by pomyślał, że tak bardzo polubię Rileyę!

– Dowiem się, kto to zrobił, i przypilnuję, żeby trafił za kratki – powiedziałam na głos. – Obiecuję. Zobaczysz, że nie na darmo mnie uczyłeś.

Zaczęłam podnosić papiery z podłogi. Dokładnie je przeglądałam, a potem decydowałam, czy powinny trafić na biurko, czy do kosza na śmieci. Ciężko było mi ocenić, co jest ważne, a co nie. W stercie dokumentów znajdowały się gazetowe wycinki, które na pierwszy rzut oka nic mi nie mówiły, plakaty z informacją o walkach bokserskich i ulotki reklamujące nowe przedstawienia teatralne. Znalazłam też korespondencję Paddy’ego, którą parę dni wcześniej zamierzałam starannie poukładać w sekreterze. Kiedy odsunęłam krzesło, na obiciu ujrzałam dwie ciemne krwawe plamy. Pochyliłam się, by podnieść

z podłogi jakieś kartki. Nagle dojrzałam czarny zeszyt. To bardzo dziwne, że nie wzięła go policja. Otworzyłam na pierwszej stronie i natychmiast się zorientowałam, dlaczego nie wzbudził zainteresowania. Paddy robił notatki w jakimś dziwnym języku, którego nie sposób było zrozumieć. Ciekawe! Jak Irlandczyk, który dorastał w Londynie, mógł posługiwać się zupełnie obcym językiem? Nie miałam pojęcia. Schowałam notes do torebki i postanowiłam go później przestudiować.

W drugim pokoju tajemnicza sekretera stała na swoim miejscu. Wzięłam malutki srebrny klucz, wsadziłam do zamka i przekręciłam. Po chwili zrozumiałam, dlaczego policjantom nie udało się zajrzeć do środka; oczywiście jeśli w ogóle próbowali. Klucz przechodził przez długi pręt połączony z wszystkimi szufladami. Sprytna robota dobrego ślusarza. Wyjęłam pręt i wysunęłam pierwszą szufladę.

Wzięłam do ręki teczkę z samej góry. Paddy napisał na niej w poprzek *klient Edgemont*. Kartki w środku były wypełnione tylko skrótami: *28 lipca. LE wychodzi od A o godz. 10.45. LE w GP. LE widziany w MSG. Restauracja z KL.*

Czeka mnie sporo pracy.

Szybko przejrzałam pozostałe dokumenty. Na pierwszy rzut oka same sprawy rozwodowe. Potem wzięłam do ręki skoroszyt z dużą czerwoną pieczętą – *sprawa zamknięta i opłacona w całości*. Okazało się, że takich teczek jest więcej. Dokumentacja dotycząca niezamkniętych śledztw była niewielka. Prawdopodobnie po zakończeniu prac Paddy przekazywał zainteresowanym wszystkie informacje i dowody. Jeśli – tak jak sugerował sierżant Wolski – chodziło o porachunki gangów, dlaczego morderca szukał czegoś w biurze? Szkoda, że Paddy mi nie zaufa!

Przejrzałam jeszcze raz pierwszą teczkę. Wśród różnych papierów znalazłam list. Na kopercie widniał adres – Eaton Square, Londyn, a nadawcą była Clarissa Edgemont. Prosiła Paddy’ego, by sprawdził, czym zajmuje się jej mąż, nicpoń i włóczęga, lord Edgemont. Przypuszczała, że aktualnie przebywa on w Nowym Jorku.

Prawdopodobnie właśnie jego dotyczyły obserwacje w Gramercy Park i notatka *LE w GP. Dom K*. Paddy miał chyba na myśli dom Kitty La Grange. To raczej nie będzie aż tak skomplikowane, jak przypuszczałam. Mam jakiś punkt zaczepienia! Mogłabym odwiedzić tę słynną Kitty i odszukać lorda włóczęgę. Chociaż nie sądzę, by tego rodzaju sprawa miała jakikolwiek związek z morderstwem. Czy angielski lord mógł posunąć się do wynajęcia płatnego zabójcy tylko po to, by informacja o jego romansie z aktorką nie dotarła do Londynu? Ich związek przecież nie był żadną tajemnicą; często pokazywali się razem. Niewierność spotyka się teraz na każdym kroku, jeśli wierzyć w to, co wypisują gazety – pomyślałam. Wystarczy spojrzeć choćby na księcia Walii, Edwarda. Cały świat wiedział o jego kochankach, ale żona się tym nie przejmowała. Trudno, od czegoś trzeba zacząć!

Obejrzałam drugą teczkę. Podobna do pierwszej, tyle że adres był nowojorski. Sprawa pana Angusa MacDonalda. Żona chce się z nim rozwieść. Nazwisko jakby znane... Pewnie z gazet. Zaraz, zaraz, czy to nie on jest magnatem kolejowym? Ale to chyba starszy pan. Z bródką i wąsami. Może więc raczej chodzi o kogoś z rodziny? Znów to samo. Łatwo będzie wszystko posprawdzać, trudniej powiązać o morderstwem. Milionerzy w Nowym Jorku żenią się i rozwodzą wielokrotnie.

Trzecia teczka była odrobinę bardziej obiecująca. Właściciel dużego przedsiębiorstwa importowo-eksportowego informował, że dochody firmy podejrzanie spadają, i oskarżał jednego ze swoich pracowników o malwersacje. To brzmiało ciekawie. Groźba utraty pracy i strach przed więzieniem mogły doprowadzić pracownika tej firmy do aktu desperacji. Jedyne pytanie, jakie się nasuwa – czy dałby radę zamordować tak profesjonalnie? Powinnam niezwłocznie przeanalizować zebrane w tej sprawie dowody.

Siedziałam na podłodze przy sekretarce i oglądałam wszystkie teczki po kolei, kiedy usłyszałam jakiś dziwny odgłos. Wstałam, omal się nie wywracając, bo buty zaczepiły o dół sukienki. Wyprostowałam się i czekałam w pogotowiu. To pewnie policjanci. Może po coś przyszli? Chociaż niekoniecznie. Ktoś mógł obserwować drzwi wejściowe i zobaczyć, jak wchodzę do środka. Mógł też czekać na dole na odpowiednią okazję. Do tej pory czułam żal i wściekłość po śmierci Paddy'ego, ale nie bałam się o swoje bezpieczeństwo. Teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem naiwna! Nie zamknęłam za sobą głównego wejścia i nie sprawdziłam, czy czasem okno nie jest otwarte. Zrobiłam z siebie łatwy cel!

To raczej nie policjant wchodził na górę, bo nie słyszałam na schodach odgłosu ciężkich butów. Czekałam. Chwila ciszy. Potem dźwięk przekręcanej gałki u drzwi. Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś do obrony. Żadnego kija ani nawet wazonu, który mogłabym roztrzaskać na głowie intruza! Nic prócz wiszących na kołkach ubrań. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie schować się za nimi, ale doszłam do wniosku, że to bez sensu.

Skrzypnęły drzwi. Przez szparę dojrzałam skradającą się ciemną postać. Słyszałam oddech intruza. Przytuliłam się do ściany. Nie widział mnie. Ostrożnie wyciągnęłam rękę i ściągnęłam z kołka długi płaszcz, którego Paddy używał czasem, kiedy musiał się przebrać. Teraz mogę tylko spokojnie stać i czekać – pomyślałam. Jeśli będę miała szczęście, a nieznajomy zostawi drzwi otwarte, spróbuję narzucić mu na głowę płaszcz, a potem uciec. A jeśli nie...

Starałam się oddychać bezgłośnie, ale brakowało mi powietrza. Usłyszałam kroki w pokoju, a potem szelest papierów. Najwyraźniej przeglądał stertę dokumentów, którą ułożyłam przy biurku. Usłyszałam, że podchodzi do okna i sprawdza, czy da się je otworzyć – przygotowywał sobie pewnie drogę ewentualnej ucieczki. Pomyślałam, że dla mnie to też jakieś wyjście. Ostatecznie co prawda, bo trzeba być bardzo zdeterminowanym, by skakać po dachach jak tamten młody człowiek. Co innego w domu, w Irlandii, tam zawsze biegałam na bosaka i razem z braćmi wspinałam się na drzewa. W Ameryce wyszłam z wprawy. Poza tym mam na sobie halkę i ciasne buty. Cóż, jeśli jednak nie będzie wyjścia...

Kroki skierowały się od okna w moją stronę. Wchodził do drugiego pokoju. Przygotowałam się do ucieczki. Stał w drzwiach. Na widok otwartej sekretary westchnął głęboko. Okazja nadarzyła się, kiedy sięgał po teczki. Zerwałam się. Zrzuciłam mu płaszcz na głowę, pchnęłam mocno i ruszyłam w stronę drzwi. Zaklął, zerwał się szybko i zaczął za mną biec. Złapał mnie za łydki i przewalił jak kłodę drewna. Nie zaatakował tak brutalnie jak zabójca Rileya, ale i tak leżałam na podłodze i nie mogłam się ruszyć. Dociskał mnie do ziemi z ogromną siłą.

– No to zerknijmy, kim jesteś, łobuzie – powiedział groźnym głosem, wykręcając mi ręce do tyłu i ciągnąc za włosy, by unieść moją głowę.

– Puść mnie, bo pożałujesz – zaryzykowałam. – Policja jest już w drodze, wiedzą, że tu jestem.

Siła, z którą mnie trzymał, natychmiast ustąpiła.

– Molly, to ty? – zapytał Daniel Sullivan.

Daniel pomógł mi wstać. Zauważyłam, że jest bardzo blady.

– Mogłem cię zabić – wymamrotał. – Dobrze się czujesz?

– Poczuję się lepiej, jak tylko wróci mi bicie serca.

– Co ty w ogóle sobie wyobrażasz? Po co tutaj przyszłaś? – Był naprawdę zły.

Poczułam wielką ulgę. To Daniel! Znów jest przy mnie! Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać.

– Przyszłam posprzątać biuro – odparłam.

– Posprzątać biuro? Założyłaś agencję Panna Molly Miotła? Kto ci tu kazał przychodzić?

– Policja, jeśli chcesz wiedzieć. – Zająłam się strzepywaniem ze spódnicy brudu i pyłu. Żeby nie patrzeć na Daniela, robiłam to bardzo dokładnie.

– A dlaczego właśnie ciebie poprosili?

Stanął bliżej. Czułam się niezręcznie, ale nie chciałam, żeby to zauważył.

– Pracowałam dla Paddy’ego – odparłam. – Pomagałam mu w biurze.

Daniel wydawał się zaskoczony.

– Pracowałaś dla Paddy’ego?

– Tak. Byłam jego prawą ręką.

– To absurd, dosyć tych bzdur. Paddy nienawidził kobiet. Nie dotknąłby cię nawet w rękawiczkach.

– Nie musiał mnie dotykać – odparłam. – Ale polubiliśmy się bardzo. Trochę mu pomagałam. Zaczął przyuczać mnie do zawodu.

Wreszcie dotarło do niego, że nie kłamię.

– A więc to Paddy ci pokazał, jak zarzucić napastnikowi płaszcz na głowę?

– Nie. Sama to wymyśliłam. Nie znalazłam niczego innego, czym mogłabym się obronić.

– Dobrze ci poszło.

– Nie do końca. Przecież mnie złapałeś.

Daniel rzucił mi wymowne spojrzenie, potem westchnął i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie żartowałaś, mówiąc, że zostaniesz prywatnym detektywem...

– Na ogół nie żartuję. Zwłaszcza kiedy chodzi o uczucia innych osób.

Wreszcie powiedziałam coś sensownego. Przecież nie powinnam się tak cieszyć na widok Daniela Sullivana!

– Molly, tak mi przykro. – Wyciągnął rękę i chciał mnie dotknąć. W porę się odsunęłam. – Wszystko, co do ciebie czułam, to znaczy czuję, jest prawdziwe. Nigdy nie udawałam.



– Ale przecież byłeś związany z inną kobietą. To na co czekałeś? Aż zarobisz pieniądze, za które kupisz mi mieszkanie? Sądziłeś, że będę twoją kochanką? Słyszałam, że to częsta praktyka wśród policjantów. Myślałeś, że jestem prostą dziewczyną ze wsi i nie domyślę się w czym rzecz? Tam, skąd pochodzę, są inne obyczaje. Jeśli ktoś zawrócił dziewczynie w głowie, proponuje jej małżeństwo.

– Do diabła, Molly. Wiesz dobrze, że nie chcę cię stracić...

Znów próbował złapać mnie za rękę, ale ją odsunęłam. W ostatniej chwili.

– To jakie masz propozycje? Może pojedziemy wszyscy na Zachód i zostaniemy mormonami? Oni mogą mieć kilka żon. Chociaż nie jestem pewna, czy panna Arabella Norton chętnie zamieszka w wozie drabiniastym.

Lekko się uśmiechnął.

– Czy dasz mi szansę, żebym ci wszystko wytłumaczył?

Wzruszyłam ramionami.

– Albo się z kimś jest, albo nie. To proste. Jeśli związałeś się kiedyś z inną kobietą, dla mnie nie ma miejsca w twoim życiu.

Próbował coś powiedzieć, ale go uciszyłam.

– Raczej wytłumacz mi, proszę, dlaczego się tutaj skradałeś jak złodziej nocą. Bardzo się przestraszyłam.

– Dobrze pytanie – odparł.

– A odpowiedź?

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– No dobrze. Przyłapałaś mnie. Chciałem coś sprawdzić. Paddy po kryjomu wykonywał dla mnie pewną robotę. Zdenerwowałem się na wieść o jego śmierci i postanowiłem, że przyjdę i sprawdzę, czy czegoś mi nie zostawił. Wolski nie byłby zadowolony, gdyby się o tym dowiedział.

– Ale przecież jesteś jego przełożonym. Dlaczego sam nie wzięłeś tej sprawy?

– Prowadzę teraz inne śledztwo, a na dodatek nie było mnie w pobliżu, kiedy doszło do morderstwa. Dlatego wyznaczono Wolskiego. Oficjalnie nie mogę deptać mu po piętach.

– Szkoda – powiedziałam.

Przysunęłam sobie krzesło i już chciałam usiąść, ale przypomniałam sobie, że na siedzeniu są wciąż ślady krwi.

– Sierżant Wolski twierdzi, że Paddy zasłużył sobie na śmierć, bo pracował na dwa fronty: dla policji i dla gangów. Uważa, że to była zemsta.

– Dziwne, że powiedział ci o swoich podejrzeniach. Jemu też pomagasz?

– Tak się składa, że to ja znalazłam Paddy’ego. Byłam tutaj, kiedy Wolski się zjawił.

– Ty znalazłaś ciało?!

– Paddy jeszcze żył. A morderca chował się w drugim pokoju. Tak jak ja teraz.

– Matko Boska! – wykrzyknął Daniel. – Przecież mógł cię zabić.

– Owszem. Myślałam, że Paddy śpi. Usłyszałam hałas, więc postanowiłam sprawdzić, skąd pochodzi. Napastnik przewrócił mnie na podłogę, zupełnie jak ty przed chwilą, tylko że on zrobił to bardzo brutalnie. Widzisz te zadrapania? Potem uciekł przez okno.

Zareagował tak, jakby dopiero teraz zauważył czerwone ślady na mojej twarzy. Podszedł bliżej i dotknął mojego policzka. Skrzywił się, kiedy ujrzał opuchnięcie przy wardze.

– Nie pierwszy raz spotykamy się w takiej sytuacji. Niebezpieczne życie prowadzisz, moja droga.

Wyrwałam się ze złością.

– Może w poprzednim wcieleniu byłam kotem i dlatego udaje mi się wyjść nawet z największych opałów – odparłam. – Mówi się przecież, że koty żyją dziewięć razy.

– Już kilka z tych wcieleń wykorzystałaś – odparł. – Lepiej uważaj.

Znów posłał mi czułe spojrzenie. Bardzo to było denerwujące.

– Nie martw się o mnie. Potrafię o siebie zadbać. – Zdjęłam ze spódnicy niewidoczny paproch i wygładziłam bluzkę. – To czego właściwie szukałeś?

– Nie wiem. Tak naprawdę chciałem tylko zajrzeć i sprawdzić, czy Paddy nie zostawił jakichś informacji na temat... – urwał w połowie zdania.

– Na temat czego?

– Na temat pewnej drobnej sprawy, o której z nim rozmawiałem.

– Wszystkie dokumenty są w sekreterze. Policja nie zadała sobie trudu, żeby ją otworzyć.

Spojrzał najpierw na wysuniętą szufladę, potem na teczki leżące na podłodze, w końcu na mnie.

– Tylko nie to – powiedział. – Chyba nie przyszło ci do głowy, żeby samodzielnie rozwiązywać zagadkę śmierci Riley'a?

– Pomyślałam, że sprawdzę, czy nie ma tu czegoś, na co policja nie zwróciła uwagi, a co może okazać się istotne. Tylko tyle.

Podszedł do mnie i obrzucił mnie ostrym spojrzeniem.

– Molly, trzymaj się od tego z daleka. To nie zabawa. Paddy był starym wyjadaczem. Wiedział, jak się bronić. Więc skoro ktoś go zlikwidował...

– Wolski twierdzi, że to był płatny zabójca – zauważyłam.

– Możliwe. – Daniel pokiwał głową.

Rozejrzałam się wkoło, przypominając sobie, jak wyglądał pokój zaraz po morderstwie. Panował w nim bałagan, sekretera była przewrócona.

– Ale to nie mogła być zemsta. Morderca nie uciekł od razu. Został w biurze i czegoś szukał.

– Sprawdzasz teraz, co to mogło być?

– Nawet jeśli tak, co w tym złego? Ktoś z głową na karku musi to zrobić. Ten niemrawy, pyszałkowaty Wolski sprawia wrażenie, jakby na niczym mu nie zależało. Nie można oddelegować do tej sprawy kogoś

innego?

– To nie takie proste. Odsunąć Wolskiego od śledztwa to jakby powiedzieć mu, że w ogóle nie nadaje się do policji. A przecież któregoś dnia może będzie musiał mnie osłaniać. Poza tym nie dam rady przekonać kolegów, by porządnie zaangażowali się w rozwiązanie tej zagadki. W centrali wszyscy się spodziewaliśmy, że któregoś dnia znajdziemy w rzece ciało Paddy’ego Riley’a. Nikogo by to nie zdziwiło.

– Ale ty chyba zgadzasz się ze mną, że trzeba znaleźć mordercę? Dlaczego tu jesteś?

– Już mówiłem. Paddy pracował dla mnie przy pewnej sprawie. Jeśli udało mu się zdobyć jakieś istotne informacje, muszą gdzieś tu być. Chciałbym je znaleźć.

– Jakiego rodzaju informacje?

– Ścisłe tajne i dużo warte. Przepraszam, ale nie mogę nic więcej powiedzieć. To były sprawy pomiędzy mną a Paddym – odparł i rozejrzał się po pokoju.

Nagle coś sobie przypomniałam.

– Dzień przed śmiercią powiedział mi, że chciałby z tobą porozmawiać.

– Dlaczego dopiero teraz to mówisz? – zapytał ze złością.

– Nie ujął tego tak dosłownie. Po prostu wspomniał o tobie, kiedy wychodziłam z pracy: „Powiedz swojemu przyjacielowi Sullivanowi, że Paddy chętnie zamieniłby z nim słówko”. Coś w tym stylu. Nie wiedział, że już się nie spotykamy. Wtedy w ogóle by mi nie przyszło do głowy, że wkrótce cię zobaczę.

– Cholera jasna – mruknął, potem odchrząknął. – Przepraszam. Czasem nie panuję nad językiem. Czyli jednak na coś wpadł.

– Tak mi się wydaje – odparłam. – Tego wieczoru śledził jakąś parę w Delmonico. A potem w drodze do domu usłyszał coś, co zrobiło na nim wielkie wrażenie. Opowiedział mi o tym, chociaż nigdy wcześniej nie rozmawiał ze mną o szczegółach.

– Wiesz, co dokładnie usłyszał?

Potrząsnęłam głową.

– Nie. Teraz nawet już nie pamiętam, jakich słów użył. Odniosłam wrażenie, że widział kogoś znajomego, ale ten ktoś go nie rozpoznał. Paddy był w przebraniu. A ta osoba myślała, że nikt jej nie słyszy. Chyba powiedział coś w rodzaju „nigdy nie traktowałem go poważnie”. Powiedział też, że dzieje się coś dziwnego i że będzie musiał dokładnie się temu przyjrzeć. Kazał mi wyjść. Nie chciał, żebym została w biurze.

– W takim razie chodziło o jakieś niebezpieczeństwo. – Daniel pokiwał głową, jakby potwierdziły się jego przypuszczenia. – Chciał, byś trzymała się od tego wszystkiego z daleka, i ja mówię ci to samo. Masz iść do domu i się stamtąd nie ruszać! Żadnego śledztwa na własną rękę, żadnego sprzątania w biurze, dopóki nie wyjaśnimy, co się za tym kryje.

– To znaczy, że zajmiesz się dochodzeniem?

– Nie. Przyjrę się temu dyskretnie, popytam tu i ówdzie, ale to sierżant Wolski będzie nadal prowadził śledztwo. On z pewnością nie życzyłby sobie, żeby ktoś mu się wtrącał. Zwłaszcza kobieta.

– Sierżant Wolski nie wpadnie na żaden ślad, choćbyś podał mu dowody na tacy. Nawet nie przeszukał dokładnie pokoju.

– Bo może nie było takiej potrzeby. Policja ma wtyczki w różnych środowiskach. Jeśli to rzeczywiście były jakieś porachunki, nasi ludzie w gangu wszystko nam przekażą.

– I co wtedy zrobisz?

– Prawdopodobnie nic. No, nie patrz tak na mnie. Po prostu wtedy nie uda się ustalić winnego.

– A jeśli się okaże, że żaden gang nie miał z tym zabójstwem nic wspólnego?

– Przyjrzymy się sprawie bliżej. Na swoich warunkach i w swoim czasie.

Nagle chwycił mnie za ramiona.

– Tak czy siak to jest sprawa policji! Masz się trzymać od tego z daleka. Rozumiesz?

Wyrwałam się z uścisku.

– Nie masz prawa mi rozkazywać! Pracuję tutaj. Mogę przyjść, kiedy zechcę, i posprzątać biuro, skoro policja zakończyła już czynności. Chociaż nie mogę powiedzieć, by przyłożyli się za bardzo. Nawet nie podnieśli dokumentów z podłogi. Danielu, oni nie mają zamiaru nikogo szukać!

– Ty też nie będziesz! – krzyczał coraz głośniejsze. – Wracaj do domu, Molly. To rozkaz! – Znowu złapał mnie za ramię. – Nie wybaczyłbym sobie, gdyby cokolwiek ci się stało.

– Przecież wcale cię nie obchodzę! – wrzasnęłam.

A potem, bez ostrzeżenia, przyciągnął mnie do siebie i namiętnie pocałował. Przez moment rozkoszowałam się dotykiem jego ust na swoich wargach, ale po chwili wróciła przytomność umysłu i wyrwałam się z objęć.

– Zostaw mnie w spokoju, Danielu. Potrafię o siebie zadbać!

O mały włos się nie rozplakałam. Uniosłam spódnicę i pobiegłam w stronę drzwi.

– Molly, proszę, wysłuchaj mnie! – zawołał za mną.

– Dzięki Bogu, że nigdy nie będę twoją żoną! – krzyknęłam. – Byłby z ciebie strasznie apodyktyczny mąż.

Zbiegając po schodach, czułam na plecach jego wzrok. Staralam się zachować spokój. Nie chciałam, by widział, jak bardzo jestem poruszona.

– Pamiętaj, żeby zamknąć drzwi, jak będziesz wychodził – rzuciłam tylko za siebie i wyszłam na podwórko.

Skreśliłam w Piątą Aleję, ale po paru krokach zatrzymałam się przy kawiarni obok hotelu Brevoort. I co teraz? Nie wrócę do domu jak grzeczna dziewczynka! Postanowiłam na wszelki wypadek zapisać sobie szczegóły spraw, którymi ostatnio zajmował się Paddy. Na razie wszystko dokładnie pamiętam, ale warto będzie przy okazji zrobić notatki. Teraz zaś powinnam zawrócić i poobserwować biuro. Dobre ćwiczenie na przyszłość! Kiedy Daniel sobie pójdzie, wejdę do środka i zorientuję się, którą teczkę zabrał ze sobą, a na co nie zwrócił uwagi.

Może dzięki temu wpadnę na jakiś trop? Tylko czy będę bezpieczna? Raczej tak; nawet jeśli napastnik kręci się w pobliżu, nie ośmieli się przecież wejść do biura, skoro przed chwilą był tu policjant – snułam rozważania, wędrując bocznymi uliczkami.

Na Washington Square stanęłam pod pięknym marmurowym łukiem triumfalnym, który dawał odpowiedni cień i stanowił idealny punkt obserwacyjny. Było bardzo gorąco. Miałam wrażenie, że czekam bez końca, ale w rzeczywistości minęło zaledwie trzydzieści minut – słyszałam, jak zegar gdzieś w oddali odmierza czas. Może jednak nie nadaję się do tej pracy? Chyba nie potrafiłabym tak jak Paddy stać przez trzy godziny w Gramercy Park. Matka często powtarzała, że jestem strasznie niecierpliwa. Oczywiście według niej miałam też wiele innych wad. Obok mnie dziewczynki skakały na skakance. Głośno wyliczały: *Ene, due, like, fake, torba, borba, ósme smake...* Słuchałam z uwagą. Wierszyk był równie nonsensowny jak te, które znałam z domu. Na szczęście w porę przypomniałam sobie, po co tu jestem, i zobaczyłam Daniela, który przecinał południową część skweru w kierunku University Place. Nie zauważyłam, by cokolwiek niósł w rękę. Poczekałam, aż zniknie mi z oczu, a potem udałam się do biura. Przez moment miałam wrażenie, że to jakaś zabawa, ale szybko wróciłam do rzeczywistości: Paddy nie żyje, a mężczyzna, którego przed chwilą śledziłam, był jeszcze niedawno moją wielką miłością.

Daniel pamiętał, by zamknąć drzwi. Przekreśliłam klucz i weszłam do środka. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Dokumenty leżały na podłodze. Podniosłam je i ułożyłam na biurku. Postanowiłam wszystko zabrać ze sobą do domu. Potem jeszcze raz przejrzałam zawartość sekretery. W głębi znalazłam parę teczek z pieczętką: *Sprawa zamknięta. Informacje przekazane*. Na innych była data i adnotacja: *Rachunek wystawiony*, ale nie znalazłam komentarza: *Zapłacone*.

Najwyraźniej ci wszyscy bogacze nie palą się do szybkiego regulowania rachunków – pomyślałam. Ale zaraz! Przecież wciąż tu pracuję. Kto temu zaprzeczy? Czy jest jakiś powód, dla którego dłużnicy mają nie zapłacić? Tylko dlatego, że Paddy nie żyje? Nonsens. Firma Paddy Riley Biuro Prywatnych Usług Detektywistycznych wciąż istnieje. Moim obowiązkiem jest odzyskanie należności.

Zanim wzięłam się do pracy, spróbowałam wyczyścić krzesło przy biurku, ale bez powodzenia. W końcu położyłam na nim ręcznik. Siedząc na krwawych plamach, czułam się niezręcznie, ale w całym biurze nie było innego krzesła. Znalazłam czyste kartki papieru i bardzo starannie napisałam: *Uprzejmie*

informujemy, że trzy miesiące temu zakończyliśmy zlecenie. Mimo to dotychczas nie otrzymaliśmy należnej kwoty. Prosimy o niezwłoczne uregulowanie płatności. Złożyłam podpis: M. Murphy, P. Riley i Partnerzy, Biuro Prywatnych Usług Detektywistycznych. Przygotowałam siedem takich kopert i odłożyłam je na biurko do wysłania. Byłam z siebie bardzo zadowolona. Jeśli odzyskam choć część tych należności, ocalę firmę. Chyba że o śmierci Paddy'ego dowie się cały świat i klienci stwierdzą, że nie warto już płacić ani grosza.

Kiedy robiłam porządki, na samym dole jednej z szuflad czekała na mnie przyjemna niespodzianka – wąska skórzana saszetka przypominająca piórnik. Wyjęłam ją, otworzyłam i zamarłam z wrażenia. Nigdy w życiu nie widziałam tyle pieniędzy! Parę srebrnych monet, ale w większości same banknoty. Kilka setek albo nawet tysiąc dolarów zwiniętych w ruloniki. Co powinnam z tym zrobić? Zanieść na posterunek? Nowojorska policja nie słynie z uczciwości. Oficer, który weźmie ode mnie saszetkę, uprzejmie podziękuje, a następnie schowa ją do własnej kieszeni. W Nowym Jorku jest tylko jeden policjant, któremu mogę zaufać, ale on przed chwilą kazał mi wracać do domu i nie zajmować się więcej sprawą Rileya.

Rozmyślałam dalej. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, ale był tak zuchwały, że aż się przeraziłam. Paddy nie miał chyba rodziny ani spadkobierców. Jeśli się jacyś pojawią, mogą oczywiście domagać się zwrotu majątku. Ale do tego czasu jako pracownik firmy powinnam zabezpieczyć wartościowe rzeczy i zabrać je do domu. Wsunęłam saszetkę do torebki i zamknęłam sekreterę.

Po drodze wstąpiłam do krawcowej przymierzyć kostium, a potem postanowiłam, że udzielę sobie małej podwyżki i kupię Seamusowi coś zdrowego. Wybrałam winogrona, brzoskwinie, jajka oraz małą butelkę brandy. Cieszyłam się na samą myśl, jaką radość mu tym sprawię. Kiedy weszłam do domu, panował w nim okropny chaos. Trzech synów Nuali przyszło z wizytą i zamieniło nasze pokoje w wesołe miasteczko.

– Okropnie za nimi tęskniłam – powiedziała Nuala, kiedy jej przypomniałam, że Seamus potrzebuje ciszy i spokoju. – Poza tym dzieci bardzo chciały odwiedzić wujka, a chłopcy przecież zawsze się tak głośno zachowują.

– Głośno mogą się zachowywać na ulicy – zauważyłam. – No dalej, zabierajcie się stąd. Proszę – sięgnęłam do torebki – macie tu parę monet na wodę sodową.

Dzieciaki wyrwały mi z ręki pieniądze i uradowane wybiegły na zewnątrz.

Nuala popatrzyła na mnie podejrzliwie.

– Dostałam podwyżkę w pracy. Są ze mnie bardzo zadowoleni – wyjaśniłam natychmiast, zanim zaczęła robić aluzje do nieistniejącego kochanka.

Wysłałam ją po mleko i chleb, zapewniając tym samym Seamusowi chwilę odpoczynku. Widać było, że jest słaby i zmęczony, ale ożywił się, kiedy zaproponowałam mu winogrona i napój z gorącego mleka, żółtek i odrobiny brandy.

– Jesteś taka dobra, Molly – powiedział. – Szkoda, że nie ma przy mnie mojej Kathleen. Tak bardzo za nią tęsknię. Leżę tutaj i całe dni rozmyślam o powrocie do domu. Powiedz mi, co się stanie z dziećmi,

jeśli umrę?

– Nie umrzesz – zapewniłam go. – Wkrótce będziesz zdrow jak ryba.

– Może tym razem wywinę się śmierci, ale moja praca jest niebezpieczna. Czterech kolegów zginęło w tym wypadku. Kto wie, ilu zginie w kolejnym? Rodzinom nie wypłacają żadnego odszkodowania. Nawet na lekarza nie chcieli dać, dopóki jeden z nas się nie upomniał. Dzielny młody chłopak! Podobno próbuje nawet założyć związek zawodowy. To trudne zadanie. Wiem coś o tym. Robotnicy boją się angażować, bo nie chcą stracić pracy. Jeśli stanę na nogi, chyba mu pomogę. Mam doświadczenie z Irlandii. Wiem to i owo na temat związków.

– Urodzony z ciebie buntownik – zauważyłam ze śmiechem.

– I kto to mówi? – odparł. – Dostałem list od Kathleen. Jakoś sobie radzi. Jej stan się nie pogorszył. Píše, że najlepiej się czuje na świeżym powietrzu. Kto wie, może nawet wyzdrowieje.

– Na pewno wyzdrowieje. – Poglądziłam jego dłoń, usiłując sprawiać wrażenie osoby przekonanej, że gruźlica nie jest śmiertelną chorobą.

– Spróbuj teraz szybko zasnąć. Ja postaram się powstrzymać tę hałaśliwą gromadkę. Nie chcemy chyba, żeby wtargnęła do twojego pokoju?

Zakaszła, a potem opadł na poduszki.

Kiedy znalazłam się sama, wyjęłam saszetkę i obejrzałam ją dokładnie. Nawet nie śmiałam policzyć pieniędzy. Wzięłam igłę z nitką i ze starej halki uszyłam specjalną kieszeń, którą następnie przyczepiłam do wewnętrznej strony spódnicy. Tutaj, przynajmniej przez jakiś czas, saszetka będzie bezpieczna – pomyślałam.

W nocy włożyłam ją pod poduszkę. Ale nie mogłam zasnąć. Myśli nie dawały mi spokoju. Wszystko przez to katolickie wychowanie! Wróciły wspomnienia z dzieciństwa, kiedy często obrywałam od ojca za kłamstwa i oszustwa, a podczas spowiedzi umierałam ze wstydu. Przecież to nie są moje pieniądze! Nie powinnam ich zabierać do domu. Oczywiście pensję mogę sobie wypłacić, ale nic więcej. A jeśli Paddy ma spadkobierców, tylko ja nic o tym nie wiem? Może na te pieniądze czeka biedna kaleka córka? Może potrzebuje funduszy na operację nóg? Może Paddy miał zdolnego bratanka, który pragnie zostać lekarzem, ale nie stać go na naukę i pracuje jako służący?

Następnego ranka poszłam od razu na posterunek policji przy Mulberry Street i oznajmiłam, że muszę rozmawiać z sierżantem Wolskim.

Nie ucieszył się zbyt wiele na mój widok.

– O co chodzi, panno Murphy? Jestem zajęty.

– Chciałam zapytać, czy dotarliście już do spadkobierców Paddy’ego. Dzisiaj będę sprzątała biuro, więc może znajdę jakieś precjoza, które trzeba przekazać rodzinie.

Czyżbym dojrzała błysk w tych bladych oczkach?

– Jeśli znajdzie pani coś, co wyda się wartościowe, proszę przynieść. Zadbam, by trafiło do właściwej osoby, jeśli taka się oczywiście pojawi.

– To znaczy, że jeszcze nie znaleźliście żadnych spadkobierców?

– Nie tutaj. Jedynie w Irlandii mógł zostawić jakąś rodzinę.

– Przed przyjazdem do Ameryki mieszkał w Anglii. W Londynie. Nie zwrócił pan uwagi na jego akcent? Może urodził się w Irlandii, ale dorastał gdzie indziej.

– Aha. Teraz rozumiem. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego tak dziwnie mówi.

– W wieku kilku lat został sierotą...

– Sporo pani o nim wie – przerwał. – A nie zwierzył się przypadkiem z tego, że ktoś chce go zabić?

– Nie, jeśli chodzi o tematy związane z pracą, był bardzo dyskretny. Milczał jak grób – odparłam. – Nie mam pojęcia, komu zależało na jego śmierci. Sądziłam raczej, że może wy wpadliście już na jakiś trop.

– Pytamy tu i tam – powiedział. – Jeśli to porachunki gangów, w końcu się dowiemy. – Utkwił we mnie spojrzenie zmijowatych oczu. – Nie sądzę, by mężczyzna pokroju Paddy’ego mógł mieć jakieś precjoza. Co dokładnie miała pani na myśli?

– Na przykład kieszonkowy zegarek. Pewnie już go zabraliście. I aparat fotograficzny. Ale nie mogłam go nigdzie znaleźć.

– No tak.

– Zastanawiałam się, czy wywołaliście zdjęcia. Zawsze to jakieś dowody. Może istotne.

– Nic nie znaleźliśmy.

Nie potrafiłam wyczytać z jego twarzy, czy mówi prawdę. Może to morderca zabrał aparat? Nie mogłam sobie przypomnieć, czy trzymał coś w ręku, kiedy wyskakiwał przez okno. Może miał czymś wypełnione kieszenie albo plecak? Nie pamiętam. Wiem tylko, że był szczupły i zwinny. Nie zauważyłam wypchanych kieszeni. Ale czy mogę polegać na swojej pamięci? Pobił mnie, byłam oszołomiona.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan swój cenny czas – powiedziałam w końcu. – Nie będę już panu zwracała głowy. Chyba że znajdę coś ciekawego.

Czy rzeczywiście dostrzegłam rozczarowanie na jego twarzy, kiedy zbierałam się do wyjścia? Jakby wyczuł te dolary w saszetce ukrytej pod spódnicą.

W takim razie mogę przejąć opiekę nad pieniędzmi – postanowiłam. Nie chciałam się cały czas denerwować, że noszę je przy sobie, więc wstąpiłam do publicznej toalety przy Washington Square Park, wyjęłam saszetkę, a następnie weszłam do dużego banku. Minęłam strażnika przy drzwiach i po marmurowych schodach wspierałam się do wielkiej sali z błyszczącą podłogą. Czułam się tak, jakbym odwiedzała pałac Buckingham. Po chwili zorientowałam się, że wszyscy na mnie patrzą, i uświadomiłam sobie, że jestem jedyną kobietą w całym budynku.

W okratowanym okienku siedział nadęty młody urzędnik z wypomadowanymi włosami i starannie przyciętym wąsikiem.

– Chce pani u nas otworzyć rachunek? – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Nie sądzę...

– A w czym rzecz? Czy moje pieniądze są gorsze od innych?



Wyjęłam zwitki banknotów.

– Bo jeśli tak, pójdę gdzie indziej. Jest sporo banków w tym mieście, które z chęcią przyjmą mnie jako klientkę.

Zauważyłam, jak ze zdenerwowania przełyka ślinę.

– Proszę wybaczyć. Pani wygląd mnie zmylił. Myślałem, że...

– Jestem kobietą interesu – powiedziałam, ciesząc się na myśl, że wkrótce będę już odpowiednio ubrana. Oczywiście jeśli krawcowa skończy dzisiaj kostium. – Chcę otworzyć rachunek firmowy.

– Jakiego rodzaju działalność pani prowadzi, jeśli mogę wiedzieć? – zapytał niemiłym tonem.

Co on sobie myśli? Sądzi, że pracuję na ulicy?

– Ogólnie szanowaną – odparłam. – I odnoszącą sukcesy – dodałam.

– Tutaj jest osiemset pięćdziesiąt dolarów – oznajmił. – Zgadza się?

Pokiwałam głową, zbyt zaskoczona, by coś powiedzieć. Prawie tysiąc dolarów! W Irlandii o takiej sumie mogłam tylko marzyć.

Czy Riley zginął z powodu tych pieniędzy? Kto mógł wiedzieć, że ukrywa je w biurze? A może Paddy się komuś zwierzył? Niemożliwe. Przecież nawet mnie, swojej asystentce, o niczym nie wspominał. Ale niewiele wiem o prywatnym życiu Paddy'ego! Czy w ogóle jakieś miał? Nawet posiłki jadał w biurze... Może wieczorami chodził do baru i po jednym czy dwóch kieliszkach robił się bardziej wylewny. Muszę to sprawdzić.

Cierpliwie czekałam, aż urzędnik wszystko zapisze. Podałam mu adres biura oraz nową nazwę: P. Riley i Partnerzy.

– Jestem Molly Murphy. Zastępuję właściciela firmy.

Rety, ale awans! Zauważyłam, jakie wrażenie zrobiłam na urzędniku. Zapisał wszystko dokładnie, na koniec z ukłonem wręczył mi pokwitowanie.

– Życzę powodzenia w pani działalności. Jakakolwiek by ona była! – Obdarzył mnie przymilnym uśmiechem.

Skłoniłam głowę, przechodząc obok umundurowanego strażnika.

Byłam z siebie dumna! Uznałam, że zasługuję na nagrodę. Wstąpiłam więc do francuskiej cukierni przy Bleecker Street i zamówiłam filiżankę kawy z mlekiem oraz croissanta, czyli rogalika z rozwarstwowanego ciasta. Powoli odkrywałam, że na świecie istnieje wiele przepysznych rzeczy, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Kiedy wyjmowałam pieniądze z torebki, zauważyłam, że na jej dnie wciąż leży czarny notes Paddy'ego. Powinnam go była oddać policji. Może jakiś wykształcony człowiek na Mulberry Street rozszyfrowałby, w jakim języku są te notatki. Chociaż niekoniecznie; sierżant Wolski mógłby po prostu wyrzucić zeszyt do najbliższego kosza na śmieci. Pociągnęłam łyk kawy i zaczęłam przeglądać zapiski. Dlaczego nie potrafiłam rozpoznać tego języka? Znałam podstawy francuskiego i łaciny, a nawet parę słów po niemiecku. Te notatki nie wyglądały znajomo. Spojrzałam na ostatnią stronę. Zamaszyste gryzmoły, a zaraz obok zdania pisane w pośpiechu. Na samej górze litery były staranniejsze, tak jakby

autor dla odmiany kreślił je powoli: *LK + EL mezar kilots OLED*. Nawet tutaj używał inicjałów. Będę musiała odwiedzić wydział lingwistyczny na uniwersytecie i znaleźć jakiegoś profesora, który rozszyfruje te zdania. Ale na razie są inne ślady, którym należy się przyjrzeć. Otworzyłam notes na samym końcu i wykorzystałam pustą kartkę na własne notatki. Najpierw muszę się dowiedzieć, co dokładnie robił Paddy ostatniego wieczoru. Wiem, że poszedł do Delmonico, a potem, w drodze do domu, gdzieś jeszcze się zatrzymał. Zapisałam wszystko w notesie: pójść do Del, prześledzić drogę do domu, odwiedzić mieszkanie Paddy'ego. Może tam zostawił jakąś wskazówkę? Ciekawe, czy policja zadała sobie trud i przeszukała jego pokój.

Chciałam już zacząć działać, ale postanowiłam poczekać, aż kostium będzie gotowy. Wyglądam jak robotnica z fabryki, więc ludzie traktują mnie z wyższością – pomyślałam. Tak jak ten urzędnik w banku. Zamówiłam jeszcze jedną kawę i zanotowałam wszystkie nazwiska z ostatniej sprawy Paddy'ego: Kitty La Grange – wiem, gdzie jej szukać, to przecież sąsiadka panny Van Woekem; lord Edgemont – jego również z łatwością odnajdę; żona lorda, Clarissa Edgemont – wiem, że mieszka w Anglii i że to ona napisała list do detektywa. Nie może mieć nic wspólnego z zabójstwem, bo nie otrzymała jeszcze informacji o wynikach śledztwa.

Notowałam dalej: państwo MacDonaldowie. Nie byłam pewna, jak do tej pary dotrzeć. Tak naprawdę nie wiedziałam nawet, jak zwrócić się do lorda Edgemonta i do Kitty La Grange. Przecież nie mogę ich, ot tak, poprosić o spotkanie i beczelnie zapytać, czy przypadkiem nie zabili mojego pracodawcy. Przede wszystkim dlatego, że jeśli którekolwiek z nich zleciło zabójstwo, to także i ja za chwilę znajdę się w niebezpieczeństwie. Szczęście mnie na razie nie opuszcza, ale nie będzie mi zawsze towarzyszyć. Muszę wszystko bardzo starannie zaplanować! Dopiliśmy kawę, zapłaciłam rachunek i poszłam się przejść.

Od dawna uważałam, że spacer na świeżym powietrzu oczyszcza umysł. Znalezienie w Nowym Jorku czystego powietrza nie było jednak takie proste. Zwłaszcza w sierpniu panował tu zaduch nie do opisania. Nawet na eleganckich ulicach, takich jak Piąta Aleja, smród ścieków i końskich odchodów unosił się w powietrzu i utrudniał swobodne oddychanie. Mogłabym wsiąść do tramwaju albo z Szóstej Alei pojechać [elką](#) do Central Parku, ale nie bardzo miałam ochotę. Zostawiłam w tych okolicach za dużo miłych wspomnień związanych z Danielem. W końcu poszłam brzegiem rzeki Hudson w stronę portu, do którego właśnie wpływał ogromny statek. Na jego powitanie wyruszył mały holownik.

– To ten nowy statek z Niemiec. Przepłynął Atlantyk w rekordowym tempie – usłyszałam. – Anglicy muszą się teraz postarać, jeśli nadal chcą mieć najszybszą flotę na świecie.

Zaledwie parę miesięcy temu płynęłam przez ocean podobnym statkiem. Miałam wrażenie, że to całe wieki temu. Czuję, że jestem już częścią tego gwarnego, tętniącego życiem miasta, a spokojne lata spędzone w Irlandii wydawały się jak sen. Wciągnęłam głęboko w nozdrza słony zapach morza i nagle ogarnęła mnie dojmująca tęsknota za domem. Na szczęście tylko na chwilę. Do roboty – powiedziałam sobie.

W jaki sposób mam się jednak dowiedzieć czegoś więcej o ludziach, których nazwiska zapisałam w notesie? W jaki sposób do nich dotrzeć? I nagle olśnienie! Panna Van Woekem! Nikt lepiej niż ona nie zna nowojorskiej socjety. Przecież prosiła, bym od czasu do czasu złożyła jej wizytę. Arabella Norton

dawno wyjechała do White Plains, więc nie grozi mi żadne krępujące spotkanie. Nadarzyła się doskonała okazja, by odwiedzić dom przy Gramercy Park.

Następnego ranka wyszłam wystrojona w nowy kostium i nowe buty. Włosy starannie upięłam i przykryłam nowym beżowym kapelusikiem, kupionym pod wpływem chwili w sklepie Wanamakera. Wręczyłam służącej panny Van Woekem swoją wizytówkę. Zostałam zaproszona do holu, a wkrótce potem do salonu na pierwszym piętrze.

– Cóż za miła niespodzianka! – powitała mnie starsza pani. – Ledwo cię poznaję. Jaka niesłychana odmiana! Ostatni raz, kiedy się widziałyśmy, miałaś na sobie okropne ubranie. Rozumiem, że udało ci się odnaleźć w świecie interesów. Brawo! – Z uznaniem pokiwała głową i obejrzała dokładnie moją wizytówkę.

– No proszę! I od razu wysokie stanowisko!

Wyczułam w jej głosie powątpiewanie. Może przeczuwała, że w opis na wizytówce włożyłam zbyt wiele własnej inwencji?

– Niezwykłe uprzejmie z twojej strony, że znalazłaś czas, by odwiedzić starszą panią. Napijesz się herbaty, prawda?

Wniesiono tacę. Po raz pierwszy w życiu siedziałam w eleganckim domu i byłam traktowana jak osoba z towarzystwa.

– Powiedz mi... – Pochyliła się w moją stronę. – Pracujesz przy interesujących sprawach?

– Tak, bardzo ciekawych. – Przysunęłam się do stołu i ściszyłam głos. – Bardzo. Jedna z nich dotyczy pani sąsiadki.

– Tej kobiety? W ogóle mnie to nie dziwi. Przedstawia się jako aktorka! – prychnęła panna Van Woekem. – Aktorka, akurat! Z powodu procesji mężczyzn do jej mieszkania co rok trzeba wymieniać dywan na schodach. O którego teraz chodzi? Powiedz, proszę.

– Nie mogę – odparłam. – Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– Szkoda, że tej kobiety nie obowiązuje jakakolwiek tajemnica. Afiszuje się na mieście z kolejnymi absztyfikantami. W zeszłym tygodniu, kiedy byłam w teatrze, siedziała w pierwszym rzędzie z pewnym angielskim lordem. Rozmawiali i chichotali tak głośno, jakby chcieli zwrócić na siebie uwagę.

– Czy był to przypadkiem lord Edgemont? – spytałam mimochodem.

– Tak, właśnie on. Są siebie warci. Ten z kolei ugania się za wszystkim, co nosi spódnicę. Podobno przepuścił cały rodzinny majątek. Bardzo rzadko dogląda swoich włości w Anglii. A jego ojciec był takim dobrym człowiekiem! W każdej rodzinie znajdzie się jakaś czarna owca.

– Czy lord cały czas przebywa w Nowym Jorku? – Ugryzłam mały kęs kanapki z rzeżuchą.

– Słyszałam, że wynajął apartament w hotelu Waldorf Astoria. Podejrzewam, że wkrótce każą mu się stamtąd wynosić z powodu niezapłaconych rachunków. A kiedy zostanie bankrutem, panna Kitty natychmiast go rzuci jak kawałek rozżarzonego węgla. Idę o zakład! – odparła z satysfakcją.

Dobrze, że tu przyszłam. Po kolejnym kęsie ośmieliłam się zapytać:

– Czy wie pani coś na temat Angusa MacDonalda?

Była zaskoczona.

– Jego nazwisko chyba nie pojawia się w kontekście Kitty La Grange?

– O nie, to zupełnie inna sprawa.

– Dzięki Bogu. Stary MacDonald dostałby ataku serca, gdyby się okazało, że jego syn spotyka się z tą kobietą.

– Stary MacDonald?

– Angus jest synem J.P. Nie wiedziałaś? J.P. MacDonald, ten magnat kolejowy. Na mnie to nie robi wrażenia. Może jest bogaty jak Krezus, ale to tylko syn szkockich wieśniaków, bardzo dumny, że przybył tu bez grosza i dzięki ciężkiej pracy doszedł do takiej fortuny. Wyznaje zresztą te dziwaczne, kalwinistyczne zasady. Alkoholu nie bierze do ust. W niedziele nie przyjmuje żadnych zaproszeń. Więc młody Angus jest niegrzeczny, tak? Tatuś nie będzie zadowolony!

Minęło jeszcze pół godziny i wyszłam z domu przy Gramercy Park ze wszystkimi niezbędnymi informacjami oraz potencjalnym motywem zabójstwa.

Skoro Angus MacDonald był jedynym synem surowego kalwinisty, a jednocześnie spodziewał się sprawy rozwodowej, mógł zamordować Paddy'ego, by kompromitujące wieści nie dotarły do ojca.

Zastanawiałam się, od czego teraz zacząć. Powinnam chyba najpierw pójść do Delmonico, a następnie prześledzić drogę, którą Paddy wracał do domu. Przystanąłam na Gramercy Park; słońce przyjemnie grzało w twarz. Z ogrodu dochodził śpiew ptaków i ciężki kwiatowy zapach. Przypomniałam sobie swoją rozpacz, kiedy poprzednim razem wychodziłam z domu panny Van Woekem. Po utracie Daniela i śmierci Paddy'ego odzyskałam już siły, nie bałam się, że znów dopadnie mnie przejmujący smutek. Świat jest piękny – pomyślałam. Dziarskim krokiem ruszyłam przed siebie Dwudziestą Pierwszą Ulicą. Czułam się jak nowo narodzona.

Było jeszcze bardzo wczesnie, więc w Delmonico trwały dopiero przygotowania na przyjęcie klientów. Jakiś człowiek w brudnym fartuchu mył schody, a sprzątaczką polerowała mosiężne okucia u drzwi. Od strony kuchni dobiegało pobrzękiwanie talerzy.

Mężczyzna podniósł na mnie wzrok.

– Jeszcze zamknięte – powiedział.

– Czy jest ktoś, z kim mogłabym porozmawiać? Na przykład przełożony kelnerów?

– Nieprędko przyjdzie.

– A ktoś, kto pracował tutaj na początku tygodnia? Mam bardzo ważną sprawę.

Uśmiechnął się złośliwie.

– A w czym rzecz? Zostawiła coś panienka w zarezerwowanej sali, tak? Proszę się nie martwić, w Delmonico wszyscy jesteśmy dyskretni. – Odstawił wiadro. – Sprawdzę, czy pan Carlo jest w pobliżu.

Weszliśmy do środka, po czym mój rozmówca zniknął w kuchni. Cieszyłam się, że mogę zostać sama i rozejrzeć się dokładnie. O tej porze dnia restauracja sprawiała wrażenie ciemnej jaskini. Jedyne światło dochodziło tutaj z otwartych drzwi wejściowych i z przejścia do kuchni. Po chwili moje oczy przyzwyczyły się do ciemności i mogłam docenić wnętrze, w którym się znalazłam. Cóż za elegancja! Polerowane drewno, błyszczące świeczniki, palmy w doniczkach i plusz na kanapach w sali, do której drzwi stały otworem. Tak się żyje w wielkim świecie! Kiedyś muszę tu zjeść kolację. Oczywiście pod warunkiem, że znajdę odpowiedniego towarzysza. Wyobraźnia natychmiast podsunęła mi obrazek Daniela i panny Norton, siedzących przy stoliku. Przeszłam się po sali, by popatrzeć na kwiatowe dekoracje i tym samym odsunąć od siebie nieprzyjemne myśli.

– Słucham, panienko? W czym mogę pomóc? – zapytał siwy mężczyzna o zmęczonej twarzy. Wyglądał, jakby nie spał od paru dni.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Pewnie jest pan zajęty. – Podałam mu swoją wizytówkę. – Mój wspólnik prowadził pewne śledztwo. Dotyczyło pary, która prawdopodobnie jadła tutaj kolację w poniedziałek. Czy mają może państwo książkę rezerwacji?

Spojrzał na mnie tak, jakbym zapytała, jakiego koloru jest jego bielizna.

– Mam ujawnić nazwiska naszych gości? Droga pani, te informacje są więcej warte niż moja praca.

Sugerował, że powinnam mu wręczyć łapówkę? Akurat na to nie powinnam żałować pieniędzy Paddy’ego. Szkoda jednak, że na swoje wydatki nie przeznaczyłam większej kwoty.

– Co mogłabym zrobić, żeby zmienił pan zdanie? – zapytałam. Niestety, nie znałam jeszcze zasad dotyczących wręczania łapówek. Otworzyłam torebkę.

– Za żadne skarby na świecie! – odparł zdecydowanie.

– A czy w takim razie może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę książkę z rezerwacjami? Tylko do niej zajrzę.

– Droga pani...

– Proszę mnie zrozumieć. To bardzo ważne. Inaczej by mnie tu nie było – powiedziałam. – Mój wspólnik został zamordowany. Wiem, że był w waszej restauracji w poniedziałek wieczorem.

– Pani wspólnik?

Czyżbym wyczuła nutę zainteresowania?

– On... – Już chciałam powiedzieć „prowadził tutaj dochodzenie”, ale zorientowałam się w porę, że pan Carlo nie będzie zachwycony, jeśli się dowie, że jeden z jego kelnerów był w rzeczywistości detektywem w przebraniu. – Miał tu spotkanie – dokończyłam. – W sprawie służbowej – dodałam. – Ten drugi mężczyzna jadł kolację z pewną młodą damą. Więc tak sobie pomyślałam, że...

Jeszcze raz potrząsnął głową.

– Strzeżemy nazwisk naszych gości jak ksiądz tajemnicy spowiedzi. Nikomu ich nie zdradzamy i nie zamierzam robić teraz wyjątku. Miłego dnia, panienko. Za godzinę zaczyna się pora lunchu.

Nie udało się! Wyszłam z Delmonico bardzo przygnębiona. Czy powinnam wrócić i przycisnąć kelnerów? Oni pewnie też pilnie strzegą nazwisk gości. Przecież nie wejdę tam i nie zabiorę książki z rezerwacjami! Może wszystkie potrzebne informacje są w czarnym notesie Rileya? Należy teraz pójść do biblioteki albo na uniwersytet i znaleźć kogoś, kto rozpozna ten dziwny język. Czy w soboty odbywają się jakieś wykłady? Raczej nie. Muszę poczekać do poniedziałku. Tak więc mam wolne. Jedyne, co mogę zrobić, to prześledzić drogę Paddy’ego do domu.

Delmonico znajduje się na rogu Dwudziestej Szóstej Ulicy i Piątej Alei. Paddy raczej nie wzięt taksówki. Nie trwonił pieniędzy na zbędne wydatki. Jednakże to długa droga i raczej nie mógł jej pokonać pieszo. W takim razie pewnie pojechał kolejką. Zajrzałam do notatek: detektyw mieszkał w pensjonacie na Barrow Street – portowej ulicy o niezbyt dobrej reputacji. Wiedziałam, że to peryferie Greenwich Village. Najważniejsza – zdecydowałam – jest teraz odpowiedź na pytanie, na którym przystanku wysiadł Paddy. Gdzieś po drodze do domu wstąpił do baru i usłyszał coś, co nim wstrząsnęło, a może nawet w jakiś sposób przyczyniło się do jego śmierci.

Kiedy szłam Dwudziestą Szóstą Ulicą, usłyszałam, jak zegar na ratuszu wybija jedenastą. Przystanęłam i pomyślałam. To idealna pora na składanie wizyt, więc może rozsądniej będzie najpierw udać się do

hotelu Waldorf Astoria i porozmawiać z tym nieszczęsnym lordem?

Odwrociłam się na pięcie i poszłam w stronę Piątej Alei. Kojarzyłam ten hotel. Kiedyś, podczas jednego z niedzielnych spacerów, pokazał mi go Daniel i powiedział: „To tu zatrzymują się prawdziwi bogacze”. A potem dodał: „Trudno normalną pracą zarobić przez rok na tygodniowy pobyt w tym hotelu”.

Nie powinnam wracać myślami do tych wspomnień. Panna Murphy, młodszy partner w biurze detektywistycznym, kobieta interesu, musi się teraz skupić na przygotowaniu strategii rozmowy z lordem Edgemontem!

Trzeba działać ostrożnie. Niewykluczone, że idę właśnie na spotkanie z zabójcą. Czy to możliwe? Czy lord Edgemont okaże się mordercą Paddy'ego? Młody mężczyzna, który mnie uderzył, a potem uciekł przez okno, w niczym nie przypominał człowieka z wyższych sfer. Wiem, bo w dzieciństwie obracałam się wśród takich osób. Ludzi pokroju lorda Edgemonta stać jednak na wynajęcie płatnego zabójcy, który wykona za nich brudną robotę. Panna Van Woekem powiedziała mi, że kłopoty finansowe lorda i tak prędzej czy później przyczynią się do rozpadu jego związku z Kitty La Grange, więc – czy tego chce, czy nie – będzie musiał wrócić do żony.

W takim razie lord nie ma chyba poważnych motywów zabójstwa – pomyślałam. Nawet jeśli żona zamierza z niego wycisnąć wysokie alimenty. Odkąd zaczęłam pracować z Paddym, zrozumiałam, jak funkcjonuje świat ludzi zamożnych. Małżeństwa wśród wyższych sfer stanowiły rodzaj układu biznesowego, a kobiety dzięki rozwodom z kolejnymi mężami stawały się coraz bogatsze. Dziwne! Ja zdecydowałabym się wyjść za mąż jedynie z miłości.

Dotarłam w końcu na miejsce i przystanąłam w cieniu wysokiej kolumnady. Czy dobrze robię? Szybko doszłam do wniosku, że nie ma sukcesu bez ryzyka. W hotelu będę przecież bezpieczna – jeśli tylko krzyknę, zleci się cała obsługa.

Z podniesionym czołem minęłam portiera.

– Przykro mi, ale lord Edgemont u nas nie przebywa – dowiedziałam się od recepcjonisty.

Czyżby chciał mnie spławić? Tego bardzo nie lubię! Staralam się mówić z wyraźnym angielskim akcentem, który miał uzmysłwić mężczyźnie, że sroce spod ogona nie wypadłam.

– No cóż! Poinformowano mnie, że jego wysokość właśnie tutaj rezyduje. Czyżby z jakiegoś powodu to miejsce przestało mu odpowiadać?

– Szanowna pani, to jest Waldorf, pani pewnie chodzi o hotel Astoria – odparł zdenerwowany recepcjonista.

– A to nie jest jeden hotel?

– Nie, proszę pani. To są dwa odrębne hotele. Każdy należy do innego członka rodziny Astorów.

– Mam rozumieć, że dwaj panowie Astor prowadzą dwa różne hotele w tym samym budynku?

Skinął głową.

– Tak. Dwa hotele. Panowie Astor nie są w najlepszych stosunkach.

No, tego już było za wiele. Ciekawe, czy Daniel o tym wie? Następnym razem, kiedy go spotkam...

Znów niepotrzebnie o nim pomyślałam.

Podziękowawszy recepcjoniście, wyszłam na ulicę i skierowałam się do identycznych drzwi obok, w których znów powitał mnie taki sam portier.

– Do lorda Edgemonta? – zapytał podejrzliwie młody człowiek w recepcji. – A można wiedzieć, o co chodzi?

– O pewne sprawy służbowe, które prowadził mój przełożony. Pragnę przedstawić jego lordowskiej mości aktualny stan rzeczy – wyjaśniłam, zadowolona z trafnego doboru słów. Zaczynam przechodzić samą siebie!

– Nie jestem pewien, czy obecnie przebywa w swoim apartamencie. Dziś sobota. Czy była pani umówiona?

– Nie. Już powiedziałam. Mój przełożony, który, niestety, jest niedysponowany, prowadził sprawy jego lordowskiej mości. Akurat dostałam z Anglii wiadomość. Nie chcę czekać do poniedziałku, żeby ją przekazać.

Zadziałało.

– Oczywiście, proszę pani. Zawołam chłopaka, by zaprowadził panią do apartamentu jego lordowskiej mości. Frederick!

Pstryknął palcami i zaraz pojawił się chłopiec o włosach tak rudych jak moje i twarzy całej w piegach.

Kiedy tylko wyszliśmy z windy na pluszową wykładzinę, posłał mi znaczący uśmiech.

– Do lorda Edgemonta? Raczej nie jest pani w jego typie.

– A ty nie jesteś zbyt bystry, skoro masz czelność robić takie uwagi. Możesz stracić pracę – odparłam ostro, ale z uśmiechem.

– Przecież widzę – powiedział. – Żadna z pani elegantka. Lord zwraca na takie rzeczy uwagę.

Czyżby kostium za dwa dolary nie wyglądał tak dobrze, jak sądziłam? Będę musiała bardziej wczuć się w swoje nowe „ja”, jak to ujął Paddy. Nie ma sensu przebierać się za kogoś innego, jeśli w środku cały czas jestem dawną Molly. Jeden fałszywy gest, a całe przebranie na nic. Muszę się jeszcze wiele nauczyć. Szkoda, że nie ma obok mnie Paddy’ego. Poszłoby szybciej.

Zuchwały chłopak hotelowy zapukał do drzwi na samym końcu korytarza.

Mężczyzna, który nam otworzył, wyglądał inaczej, niż to sobie wyobrażałam. Był stary, z łysiną otoczoną kępkami białych włosów. Miał delikatną, niewinną twarz mnicha i w żadnym calu nie przypominał donżuana.

– Młoda dama, by omówić sprawy biznesowe z jego lordowską mością – powiedział rezolutnie chłopak.

Starszy mężczyzna omiół mnie spojrzeniem z góry na dół.

– Jego lordowska mość właśnie je śniadanie – powiedział. A więc to służący, nie lord! – Czy młoda dama była umówiona?

– Nie, ale sprawa jest najwyższej rangi. – Tym razem starałam się mówić i myśleć jak osoba bardzo



zrozumiała.

Zmęczonym, choć łagodnym wzrokiem ocenił mój kostium i zapewne zauważył, że nie został on uszyty z irlandzkiej bawełny dobrego gatunku, lecz z taniego materiału kupionego w pierwszym lepszym sklepie.

– Proszę tu poczekać. Powiadomię jego lordowską mość. – Skłonił się i zniknął, zostawiając nas w korytarzu.

Usłyszałam donośny głos:

– Kto, mówisz, że przyszedł, Carstairs?

– Młoda kobieta, wasza wysokość.

– Znamy ją?

– Chyba nie, proszę pana.

– Ładna?

– Raczej tak, ale nie w typie jego lordowskiej mości.

Chłopak hotelowy uśmiechnął się złośliwie.

Popatrzyłam na niego wyniośle.

– Chyba możesz już iść – powiedziałam. – Pewnie jesteś potrzebny na dole, a ja dam sobie radę.

Chwilę się ociągał, ale pod naporem surowego spojrzenia dał za wygraną i w końcu poszedł.

– Dobrze, wprowadź ją, Carstairs. Może ten ponury ranek nieco się rozchmurzy, kiedy zerknę sobie na zgrabną łydkę.

Drzwi się otworzyły.

– Jego lordowska mość prosi. Panna?

– Murphy – odparłam.

Poprowadził mnie przez bogato zdobiony salon z pluszową kanapą i dwoma skórzanymi fotelami. Kolejny pokój był sypialnią, a więc miejscem niestosownym, by przyjmować w nim kobietę, ale odniosłam wrażenie, że jego lordowska mość nie przejmuje się zbyt konwenansami. Siedział przy małym stoliku u okna, przed sobą miał srebrną tacę, a na niej jajko w kieliszku. Kiedy weszłam, był akurat zajęty maczaniem w żółtku tosta z masłem. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest angielskim dżentelmenem – długi, tyczkowaty, z wąską smutną twarzą, haczykowatym nosem i włosami w trudnym do określenia kolorze. Kiedy weszłam, podniósł głowę, popatrzył przeciągle, wystawił ocenę, a następnie z aprobatą pokiwał głową.

– Panna Murphy, proszę pana – zaanonsował mnie Carstairs.

– Panno Murphy, proszę spocząć. Zaproponowałbym kawę, ale przysłali na górę tylko jedną filiżankę. Jeśli głód panią przyciśnie, proszę śmiało częstować się chlebem i maczać go w żółtku.

Carstairs podał mi krzesło, więc przysiadłam na krawędzi.

– Każdy dzień zaczynam od jajka na miękko i tostów pokrojonych w paseczki. Bona zawsze mi powtarzała, że mam delikatny żołądek. Proszę sobie wyobrazić, że te paseczki chleba nazywała

żołnierzami. – Na potwierdzenie swoich słów pomachał mi przed oczami podłużnym kawałkiem pieczywa, potem zanurzył go w jajku i włożył do ust.

– Czemu zawdzięczam tę przemiłą wizytę? – zapytał.

– Drobną sprawą, wasza wysokość. Najmocniej przepraszam, że niepokoję w sobotni poranek, ale chciałam szybko przekazać delikatną wiadomość.

– Ach, naprawdę? O jakiej delikatnej wiadomości mówimy? – Zanurzył w jajku kolejny paluszek chleba z masłem.

– Przejęłam właśnie niewielkie biuro...

– Jeśli chodzi o pieniądze, będzie pani musiała poczekać w kolejce, jak wszyscy inni. – Popatrzył na mnie wyzywająco.

– Zapewniam waszą wysokość, że to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Jak już wspomniałam, przejęłam niewielkie biuro. Mój wspólnik zmarł niedawno. Przeglądając sprawy, które ostatnio prowadził, dowiedziałam się, że jedną z naszych klientek jest pańska żona, lady Clarissa.

– Dobry Boże, Clarissa?! A czego ona, u diabła, chce?

– Rozvodu, wasza wysokość. Myślałam, że pan wie.

Przez chwilę wydawał się zaskoczony, potem parsknął śmiechem.

– Och, znowu bawi się w kotka i myszkę. Głupia kobieta.

– Znowu?

– Za każdym razem, kiedy długo przebywam poza domem. Oczywiście tak naprawdę wcale nie chce rozvodu. Przecież wyszła za mnie dla tytułu. Znów zostałaby zwyczajną Aggie Sugg, bo tak się nazywała przed rozpoczęciem kariery scenicznej. A to byłoby jej bardzo nie na rękę. Proszę więc nie zwracać sobie tej ślicznej główki moją małżonką. Wyślę zaraz telegram i obiecuję w nim, że przyślę do domu kolejnym statkiem, jak posłuszny chłopiec. Wszystko mi wybacz.

Pochylił się w moją stronę.

– Tak między nami... Obawiam się, że troszkę przeciągnąłem swój pobyt w Nowym Jorku. Zbyt wielu wierzycieli zaczyna pukać do drzwi, jeśli rozumie pani, o czym mówię.

– Tak więc mogę uznać pańską sprawę za zamkniętą i nie prowadzić już żadnego dochodzenia? – Wstałam z krzesła.

– Ależ oczywiście! Synuś mamusi wraca do domku! – Posłał mi przymilny uśmiech.

– Czy mogę jeszcze zadać waszej lordowskiej mości ostatnie pytanie? Proszę nie uznać go za impertynencję z mojej strony.

Kiwnął głową i wielką blad różową serwetką wytarł żółtko z brody.

– Czy wasza lordowska mość może potwierdzić, że w zeszły poniedziałek wieczorem towarzyszył pani Kitty La Grange w zarezerwowanej sali w Delmonico? Proszę się nie martwić, zachowam tę wiadomość dla siebie.

Zmienił się na twarzy. Wstał. Był wysoki – miał chyba ze dwa metry. Podszedł blisko.

– Czego ty, u diabła, chcesz? To szantaż? Jeśli tak, trafiłaś pod zły adres. Po pierwsze dlatego, że nie miałbym ci czym zapłacić, po drugie – o mojej znajomości z panną Kitty La Grange wiedzą wszyscy plotkarze w Nowym Jorku.

– Zapewniam, że nie jestem szantażystką – powiedziałam. – Przyszłam tutaj, by oszczędzić panu wstydu, nie żeby go przysporzyć.

– W takim razie czego, do diaska, chcesz? – Wciąż nie rozumiał.

– Próbuję ułożyć kawałki większej historii, która tylko przypadkowo dotyczy również waszej lordowskiej mości i panny Kitty. Mój wspólnik obserwował jakąś parę w Delmonico w zeszły poniedziałek. Zdarzyło się coś bardzo dziwnego, kiedy opuścił to miejsce. Zidentyfikowanie osób, które wtedy widział, bardzo by mi pomogło.

Przeciągnął ręką po rzadkich włosach.

– Nie pamiętam dokładnie, czy rzeczywiście byliśmy tam w zeszły poniedziałek, ale jest to miejsce, w którym często jadamy kolacje. Możemy więc uznać, że to nas obserwował. I co z tego?

– Jeden rozdział tej historii mam zamknięty. Bardzo przepraszam za całe zamieszanie. Dziękuję, że wasza lordowska mość zechciał mi poświęcić czas.

– Ależ nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie. – Dość sztywno skłonił głowę. – Carstairs odprowadzi panią do wyjścia.

Zjeżdżając windą, doszłam do wniosku, że mogę skreślić lorda Edgemonta z listy podejrzanych. Nie miał powodów, by zabić Paddy'ego. Mówił prawdę – jego stosunki z Kitty La Grange były doskonale znane w nowojorskim towarzystwie. Przepuścił w Ameryce już wszystkie pieniądze i zaraz z podwiniętym ogonem wróci do Anglii. Tak więc nic, co odkrył Paddy, nie było dla lorda kwestią życia lub śmierci. Chyba że udawał, a ja, jako nowicjuszka w zawodzie, nie potrafiłam go zdemaskować. Za późno – pomyślałam, kiedy winda znalazła się na parterze, a boy odsunął przede mną żelazną kratę. Ja swoje karty wyłożyłam na stół. Teraz kolej na ruch jego lordowskiej mości.

Poszłam Trzydziestą Czwartą w stronę przystanku kolejki. Wspięłam się po schodach i stanęłam na peronie. W porównaniu z tłumem kłębiącym się na Manhattanie tutaj było cicho i spokojnie. Nic dziwnego, mało kto z mieszkańców tej okolicy korzysta z transportu publicznego, większość ma własne powozy, a jeśli nie – zamawiają taksówkę. Oprócz mnie i starszego mężczyzny ukrytego za szpalta „New York Timesa” czekała na pociąg jeszcze grupka kobiet w eleganckich kostiumach z jedwabiu. Parasolkami osłaniały się przed słońcem. Pewnie jadą do Ladies’ Mile na sobotnie zakupy – pomyślałam. Peron zadrżał, oznajmiając zbliżanie się pociągu. Lokomotywa o ciężale wtoczyła się na tory. Linia na Szóstej Alei była jedną z tych, które przeszły w tym roku na zasilanie elektryczne. Cóż za wspaniały wynalazek! Czarny dym z komina już nie brudził podróżnych, a węglowy pył nie osadzał się na ubraniach przechodniów.

Weszłam do wagonu i ruszyliśmy na południe. Szczerze powiedziawszy, zawsze czułam się niezręcznie, podróżując elką. Dziwnie było zaglądać do okien obcych ludzi, kiedy pociąg znajdował się na poziomie drugiego piętra. W jednym z mieszkań widziałam dziecko na nocniku, w innym matkę karmiącą piersią niemowlę. Żadne z nich nawet nie spojrzało w naszą stronę, kiedy wagony przetaczały się im przed nosem. Podczas podróży znów wróciłam myślami do tego, co powiedział Paddy, kiedy zastałam go w złym humorze, robiącego zapiski w czarnym zeszytcie. Czy to możliwe, że zauważył coś niezwykłego w jednym z okien, podróżując pociągiem? Raczej nie. Chyba mówił o jakimś barze i raczej usłyszał coś, a nie zobaczył.

Dojechałam do Jefferson Market, zaraz na północ od Washington Square i Greenwich Village. To pierwsza z możliwych stacji, na których mógł wysiąść Paddy. Zeszłam z peronu i znalazłam się w samym środku gwarne sobotniego targu. Tuż obok przeszła kobieta z żywą kurą w rękach. Ptak wyrywał się i trzepotał skrzydłami na znak protestu. Jakiś mężczyzna ciągnął wózek z bananami i pomarańczami. Takie przysmaki można tu było kupić za grosze! W Irlandii egzotyczne owoce były luksusem; dzieci dostawały je w prezencie pod choinkę. O istnieniu bananów wiedzieli w moim kraju tylko nieliczni.

Przeszłam przez targ, unosząc nową spódnice, by jej nie pobrudzić, i stanęłam na rogu. Zaczęłam rozmyślać, którą drogę mógł wybrać Paddy, jeśli rzeczywiście wysiadł na tej stacji. Wydawało się, że w stronę portu najszybciej dojdę Christopher Street, choć wcale nie byłam pewna. W przeciwieństwie do prawie całego Nowego Jorku, gdzie aleje prowadziły z północy na południe, a ulice ze wschodu na zachód, ten mały fragment miasta był jednym wielkim bałaganem. Wąskie uliczki biegingy tu we wszystkich możliwych kierunkach. A na każdej z nich była jakaś kawiarnia lub bar. Muszę do tego podejść metodycznie i zbadać to miejsce kawałek po kawałku – pomyślałam. W tym momencie tuż nad moją głową rozległ się dzwon. Myślałam, że wybija godzinę, ale usłyszałam za sobą komentarz:

– Sześć uderzeń. Jadą na Bleecker Street.

Zanim zdążyłam zapytać, co to oznacza, z jednego końca targu wyłonił się wóz strażacki i głośnym dzwonieniem oraz galopem końskich kopyt przepędził z drogi przestraszony tłum.

Kiedy zniknął z pola widzenia, ruszyłam dalej. Najpierw poszłam Szóstą Aleją i dotarłam aż do Czwartej Ulicy. Zaraz będzie rzeka – pomyślałam. Szłam i szłam, ale nie było jej widać. W końcu zauważyłam, że słońce wskazuje kierunek północny. Zgubiłam się!

Nie wpadłam jednak w panikę. Gdzie indziej, owszem, pewnie bym się zdenerwowała. Ale tutaj było raczej cicho i spokojnie. Wokół znajdowało się mnóstwo kawiarenek i cukierni, a domy wyglądały tak, jakby ktoś zbudował je w zupełnie innym mieście. Nie było tu identycznych anonimowych szeregowców. Każdy budynek miał swój indywidualny styl – widziałam zarówno balkoniki z kutego żelaza, jak i ściany pokryte malowanymi deskami. Pomiedzy ulicami były wąskie alejki, przy których stały większe kamienice. Ciekawa okolica, ale jak niby mam znaleźć akurat ten bar, w którym tamtego wieczoru zatrzymał się Paddy w drodze do domu? – rozmyślałam.

Postanowiłam najpierw znaleźć pensjonat, gdzie mieszkał detektyw, a bar odszukać w drodze powrotnej. Może gospodyni albo sąsiedzi Paddy'ego opowiedzą mi choć trochę o jego zwyczajach i życiu prywatnym. Mijałam kolejne ulice, aż w końcu całkiem przypadkowo trafiłam na Barrow Street i kierując się na zachód, poszłam w stronę rzeki. Droga wiła się pomiędzy budynkami, dopóki słona bryza nie oznajmiła mi, że dotarłam na miejsce.

Budynek pensjonatu był wyjątkowo brzydki, zupełnie nie miałam ochoty zaglądać do środka. Kiedy podchodziłam do drzwi, te otworzyły się i wyszedł z nich marynarz, trzymając pod rękę wyzywająco umalowaną dziewczynę. Aż zatrzymałam się, by sprawdzić, czy trafiłam pod odpowiedni adres. Riley wymienił kiedyś nazwisko właścicielki, pani O'Shaunessey, i rzeczywiście widniało ono na wyblakłej tabliczce nad wejściem. A poniżej było napisane: PENSJONAT Z MOŻLIWOŚCIĄ TYGODNIOWEGO I MIESIĘCZNEGO ZAKWATEROWANIA. Nacisnęłam dzwonek i czekałam cierpliwie, aż ktoś otworzy. Drzwi uchyliła potężna kobieta o niechlujnym wyglądzie, z brudną ścierką w ręku.

- Tak?
- Czy pani O'Shaunessey? – zapytałam uprzejmie.
- A kto pyta?
- Jak rozumiem, mieszkał tu pan Paddy Riley? – powiedziałam.
- Owszem, mieszkał. Panie świeć nad jego duszą. – Przeżegnała się, wymachując ścierką.
- Nazywam się Molly Murphy. – Wyciągnęłam rękę na powitanie, choć wcale nie miałam ochoty dotykać wilgotnej i tłustej dłoni. – Pracowałam dla Paddy'ego. Chciałabym zamienić z panią słowo, jeśli można.

– Zmywam po śniadaniu. Trochę jestem dzisiaj spóźniona, jeśli chodzi o porządki. Musiałam zajść na policję i poprosić o pomoc w eksmisji pewnego pijaka, ale niech wejdzie, jeśli chce.

Poprowadziła mnie najpierw ciemnym wąskim korytarzem, w którym pachniało gotowaną kapustą, a potem weszłyśmy do zatęchłej małej kuchni na tyłach budynku.

- Skąd zna pana Rileya? – zapytała, wycierając dużą patelnię.

– Przyuczał mnie do zawodu.

– Młodą kobietę? – Zaśmiała się nieprzyjemnie. – Przecież nie znosił towarzystwa kobiet. No, może oprócz mojego.

– Musiał darzyć panią wielkim szacunkiem.

Rozpogodziła się i powiedziała:

– Tak. Bardzo o niego dbałam. Prałam, szykowałam codziennie śniadanie. Sprzątałam mu w pokoju. Kiedyś powiedział mi, że nie pamięta własnej matki, ale ja zapewniam mu prawdziwie matczyną opiekę.

– Chyba długo u pani mieszkał?

Zmarszczyła czoło.

– Będzie ze dwadzieścia pięć lat. Ja byłam jeszcze młoda, a mój mąż pracował w porcie. Wtedy Paddy się do nas wprowadził. Mąż już od dawna nie żyje. Panie świeć nad jego duszą.

– Bardzo ceniłam pana Rileya – zaczęłam, zastanawiając się, jak dobrać słowa, by to, co powiem, zostało odpowiednio odebrane. – Policja prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa. Rozumiem, że pewnie już u pani byli.

– Tak, przyszedł tu jakiś zarozumiały pętał. Nie wiem, czego szukał, wiem, że nic nie znalazł. Spędził u mnie zaledwie parę minut. Powiedział, żebym niczego nie ruszała w pokoju Paddy’ego, bo mogą jeszcze wrócić. Ale kiedy? Tego już nie powiedział. A ja muszę szybko uprzątnąć wszystkie rzeczy, bo inaczej nie wynajmę pokoju.

Przybrana matka! A niech mnie! – pomyślałam.

– Przypuszczam, że zapłacił za wynajem do końca miesiąca, tak? – Nie mogłam nie zadać tego pytania.

– Zawsze płacił na czas. Prawdziwy dżentelmen.

– Więc pokój oficjalnie należy jeszcze do niego.

Obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem. Poczułam się jak miłe szczenię, które właśnie zniecka ugryzło swoją panią.

– Właściwie... racja – przyznała. – Ale sprzątanie zajmie mi dobrych parę dni.

– Z chęcią pomogę, jak tylko policja zakończy dochodzenie – odparłam. – A jeśli pani pozwoli, chciałabym teraz zerknąć na ten pokój.

– Po co?

– Zostałam sama w biurze. Robię porządki i nie mogę znaleźć pewnych dokumentów – wyjaśniłam. – Zastanawiam się, czy pan Riley mógł je tutaj trzymać. Choćby rachunki. Muszę przecież je opłacać.

– Nie przypominam sobie żadnych dokumentów, ale proszę, może wejść i poszukać. Dokończę tylko zmywać i zaprowadzę.

Zaoferowałam pomoc, ale pani O’Shaunessey jej nie przyjęła. Cierpliwie poczekałam, aż ostatni kubek zawiśnie na kołku nad kuchenką. Potem podążyłam za gospodynią, która posapując i postępując, zaczęła wdrapywać się po wąskich ciemnych schodach.

Pokój Paddy'ego okazał się równie ponury jak kuchnia. Jedyne okno wychodziło na małe podwórko. Ogromna szafa zajmowała prawie całą ścianę. Po przeciwnej stronie stało niewielkie biurko; łóżko było niepościelone i brudne. Stałam na środku, przyglądając się wszystkiemu dokładnie, i ze smutkiem stwierdziłam, że Paddy wybrał to miejsce ponad dwadzieścia lat temu, kiedy z pewnością stać go było na lepsze lokum. Może więzy łączące go z panią O'Shaunessey były prawdziwe? A może – pozwoliłam sobie na dalej idące przypuszczenia – w relacji tych dwojga istniała jakaś forma pocieszenia? Przecież pan O'Shaunessey, Panie świeć nad jego duszą, nie żył od dawna. Musiał być jakiś powód, dla którego Paddy tutaj został.

Kiedy przypatrywałam się szczegółom, coś jeszcze zwróciło moją uwagę. W pokoju nie było żadnych przedmiotów osobistych. Żadnych fotografii, żadnych pamiątek, nawet obrazka na ścianie. Paddy Riley mieszkał tutaj przez ponad dwadzieścia lat i nawet nie zadbał o to, by zaznaczyć w pokoju swoją obecność. Musiał być bardzo samotny! Bez rodziny i przyjaciół... Zaraz potem uświadomiłam sobie coś jeszcze. Nie ma gwarancji, że śledztwo w sprawie tego morderstwa zostanie uczciwie i dokładnie poprowadzone. Kto dopilnuje, by sprawiedliwości stało się zadość? Chyba tylko ja mogę to zrobić.

Bez konkretnego celu zaczęłam otwierać szuflady. W pierwszej znajdowały się starannie poukładane skarpetki, w drugiej bielizna. Ponieważ Riley nie był osobą zbyt schludną, to pani O'Shaunessey dbała najwyraźniej o porządek w jego ubraniach. W takim razie nic dziwnego, że całe swoje oszczędności Paddy trzymał w biurze.

– I co, znalazła jakieś dokumenty? – zapytała, patrząc podejrzliwie, jak zamykam szufladę, w której nie mogło być przecież żadnych rachunków.

– Jeszcze nie – odparłam. – Proszę mi powiedzieć... Z pewnością wie pani, co Paddy trzymał w domu? Błąd. Trochę się zdenerwowała.

– Jeśli sugeruje, że mam czas, by węszyć w pokojach swoich gości...

– Ależ nie, nie to miałam na myśli. Prała pani jego rzeczy, chyba więc często tu pani zaglądała.

– Owszem, nawet często. Staralam się dbać, najlepiej jak potrafię, o schludny wygląd pana Riley'a. On sam nie zwracał na to zbyt wiele uwagi.

– Szkoda, że nie widziała pani bałaganu w jego biurze, kiedy weszłam tam po raz pierwszy. – Uznałam, że muszę się jej trochę podliznąć. – Cały tydzień tylko zbierałam papierzyska. Proszę mi powiedzieć, czy policja znalazła tutaj coś ciekawego i wzięła jakieś materiały?

Zastanawiała się przez chwilę, ale zaraz pokręciła głową.

– Raczej nie. Oni tutaj spędzili zaledwie parę minut, a ten młody oficer chyba niczego stąd nie zabrał.

– Wszystko jest na swoim miejscu? Dokładnie tak wyglądał zawsze pokój pana Riley'a?

– Oprócz tego, że w wolnej chwili codziennie starałam się pościelić łóżko. Ale teraz policjant powiedział mi, żeby niczego nie ruszać, więc nie ruszam.

Obejrzałam biurko. Zauważyłam rolkę zdjęć i sporo negatywów. Jak tylko będę mogła, zabiorę je ze sobą. Aparatu ani śladu! Nic nie zwróciło mojej uwagi. Znalazłam tylko paragon z pralni, nieaktualny

kalendarz, kilka pocztówek i mapę Manhattanu. Chętnie ją wezmę przy okazji – pomyślałam.

Zamknęłam biurko i podeszłam do szafy. Czułam na plecach świdrujący wzrok pani O'Shaunessey. Ciemny garnitur dobrej jakości, ciepły płaszcz zimowy i parę sztuk garderoby potrzebnej do przebrań, między innymi długa peleryna i wysoki kapelusz. Ściągnęłam z górnej półki niewielki kufer, w którym znalazłam peruki i przybory do charakteryzacji. Muszę pamiętać o tych skarbach, kiedy tu wrócę!

Zamknęłam w końcu szafę i wręczyłam gospodyni swoją wizytówkę.

– Jak policja pozwoli już pani posprzątać ten pokój, proszę kogoś do mnie wysłać z informacją. Przyjdę i pomogę. To za duża robota dla jednej osoby. Część rekwizytów, na przykład te peruki, powinna trafić do biura, ale pewnie znajdziemy też jakieś rzeczy, które mogłaby pani sprzedać i zarobić parę groszy.

Na twarzy gospodyni Riley'a wyraźnie malowały się wszystkie emocje.

– O rety! Rzeczywiście! Nigdy o tym nie pomyślałam – odparła zadowolona, a jej policzki nabrały rumieńców.

– Czy pan Riley miewał gości? – zapytałam, kiedy schodziłyśmy po schodach.

– Gości? Nigdy nie widziałam żadnych gości. Pan Riley był spokojną osobą. Mało towarzyską. Praca zajmowała mu całe dni. Zgodzi się ze mną, prawda?

– Ma pani rację. Ale to smutne życie.

– Można tak powiedzieć.

Zeszliśmy na dół.

– To pewnie nie wie pani, czy w ogóle się z kimś spotykał, na przykład w jakimś barze albo tawernie? Miał swoje ulubione miejsca?

– Pan Riley nie był, jak to się mówi, człowiekiem, który często zagląda do kieliszka – odparła. – Ale od czasu do czasu wstępował na jednego. Najczęściej do baru O'Connorów, w drodze z pracy.

– O'Connorów? – spytałam, a serce mi przyspieszyło. – A gdzie dokładnie jest ten bar?

– Tu zaraz obok. Na rogu Greenwich i Christopher.

– A może pamięta pani, czy zaszedł tam też na dwa dni przed zabójstwem?

Potrząsnęła głową.

– Zarówno dzień, jak i dwa dni przed śmiercią wrócił bardzo późno. Leżałam już w łóżku, kiedy usłyszałam, jak przekręca klucz w zamku. Zawołałam: „Czy to pan, panie Riley?!”, a on odparł, że tak.

– Miał normalny głos?

– Jeśli pyta, czy był pijany, to powiem, że pan Riley nigdy nie nadużywał. Ale muszę przyznać, że tej pierwszej nocy nie był zbyt wylewny. Zwykle miło sobie pogadaliśmy, jak mijał mój pokój w drodze do siebie na górę. A tamtego wieczoru, kiedy zapytałam: „Czy to pan, panie Riley?”, rzucił tylko: „Co? Tak, tak, to ja”. Ni słowa więcej. Żadnego „dobranoc”, nic. To nie było normalne. Wobec mnie zawsze zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen.

Otworzyłam drzwi wejściowe.



– Dziękuję, pani O’Shaunessey. Bardzo mi pani pomogła. Chętnie się odwdzięczę i pomogę pani posprzątać pokój, żeby można go było szybko wynająć.

– Dziękuję, moja droga. To miło z twojej strony.

Wyszłam, a ona pomachała jeszcze w moim kierunku w iście matczynej sposób. Powoli uczyłam się, jak trzymać niewyparzoną gębę na kłódkę. Najwyraźniej robiłam postępy.

Dotarłam do końca budynku i skręciłam w lewo w Greenwich. Nad ulicą biegły tory kolejki, a przejeżdżający pociąg zagłuszał hałasy na ulicy. Minęłam sklepy i na rogu znalazłam bar O’Connorów. Mimo że zbliżało się dopiero południe, w środku było bardzo gwarno. Przy wejściu się zawahałam. Żadna kobieta o dobrej reputacji nie powinna samotnie wchodzić do takich przybytków. Ostatni raz, kiedy składałam wizytę w barze – potrzebne mi były pewne informacje – spotkałam się w środku z wieloma nieprzyzwoitymi komentarzami, a żeby wydostać się na zewnątrz, musiałam kilku panów poczęstować kopniakiem w łydkę. Wcale nie chciałam doświadczać tego wszystkiego ponownie. Wyprostowałam się i przygotowałam na atak. Szkoda, że nie mam przy sobie szpilki do kapelusza, którą w razie czego można by wykorzystać do obrony! W małym pomieszczeniu było aż czarno od dymu. Ledwo dostrzegłam grupki gości, siedzące przy stolikach.

Przy barze stało dwóch młodzieńców, pewnie studentów, na co wskazywał ich oryginalny ubiór. Jeden miał na sobie kaftan w orientalny wzór, drugi zwykłą roboczą kurtkę. Poczekalam, aż właściciel ich obsłuży, a kiedy już chciałam podejść i zadać mu parę pytań, po prawej stronie rozległ się donośny głos:

– Ależ, mój drogi, byłem pewien, że o tym wiesz!

Zgromadzeni wokół parsknęli donośnym śmiechem.

Spojrzałam w ich kierunku i zobaczyłam tego samego pięknego mężczyznę, którego kiedyś widziałam na Washington Square.

– Paddy Riley? – Uśmiech zniknął z twarzy właściciela baru, kiedy w końcu zapytałam go, czy pamięta detektywa.

Słyszał również o jego śmierci. Taka szkoda! Stary Paddy był częstym gościem; wpadał tu prawie codziennie wieczorem i zamawiał szklaneczkę whisky. Zawsze tylko jedną. Czasem przysiadł się do kogoś, a czasem pił w samotności. Zapytałam o ostatni poniedziałek, ale mężczyzna bezradnie pokręcił głową.

– Tutaj wszystkie dni wyglądają podobnie. Jak pani widzi, odwiedza nas wiele osób, głównie młodzież. Pracujemy w pocie czoła od rana do wieczora i nie mamy czasu, by przyglądać się wszystkim gościom.

Zadałam mu pytanie o przyjaciół i znajomych Paddy’ego.

– Czasem włączał się do rozmowy, ale z nikim się nie przyjaźnił.

Doskonałe podsumowanie życia, jakie wiódł Paddy – pomyślałam.

– A przychodził tu czasem w przebraniu?

– Być może. Nie wiem.

Właściciele barów są na ogół dobrymi obserwatorami, ale ten człowiek stanowił wyjątek.

– Jeśli Paddy Riley był tu w poniedziałek, prawdopodobnie miał na sobie strój kelnera.

Zmarszczył czoło.

– Możliwe. Proszę jednak pamiętać, że stary Paddy nie należał do osób, które lubią zwracać na siebie uwagę.

– Czy tego dnia coś mogło zdenerwować pana Rileya?

– Nasi goście nie lubią awantur. Powtarzam, panienko, przychodzi do nas wielu, czasem jest bardzo głośno, ale zawsze bezpiecznie. Rozumie pani, co mam na myśli? Rzadko kiedy muszę kogoś wypraszać.

Odwróciłam się, by zerknąć jeszcze raz na pięknego młodzieńca. Akurat coś opowiadał, żywo gestykulując; zebrani przy stoliku śmiali się głośno. Zauważyłam, że towarzystwo składa się z mężczyzn i kobiet. To ciekawe! Płeć piękna nie jest na ogół mile widziana w barach. Jak na ironię Paddy Riley wybrał sobie miejsce, do którego przychodzą kobiety. A przecież tak bardzo ich nienawidził!

– Wśród gości są również damy. Nie przeszkadza panu, że piją alkohol? – zapytałam.

– Nie. To szanowane obywatelki, artystki i intelektualistki, które mieszkają w sąsiedztwie. Umalowane lale prosto z ulicy nie mają tu wstępu.

Popęłniłam błąd, znów rozglądając się dookoła. Przypadkiem napotkałam spojrzenie tajemniczego mężczyzny. Zaparło mi dech, kiedy puścił do mnie oko. To było cudowne uczucie, miałam wrażenie, że

jesteśmy na sali zupełnie sami – tylko on i ja. Niestety, jak pensjonarka oblałam się rumieńcem i szybko spuściłam wzrok.

Pochyliłam się w stronę barmana.

– Ten mężczyzna przy stoliku w rogu... Ten, który tak głośno mówi. Kto to jest?

Właściciel uśmiechnął się szeroko.

– Nie zna pani Ryana O’Hare? Niemożliwe! To sławny dramaturg. Musiała pani o nim słyszeć, on też pochodzi z Irlandii.

Żeby nie wyjść na idiotkę, uśmiechnęłam się i powiedziałam:

– Ryan O’Hare. Oczywiście.

– Zawsze do nas wpada, kiedy jest w Village. Mówią, że wystawia nową sztukę w Daley. Podobno premiera miała się odbyć w teatrze Victoria, ale pan O’Hare wolał zmienić miejsce, bo uznał, że imię królowej to zła wróżba.

– Dlaczego?

– Przecież musiał wyjechać z Anglii.

Barman patrzył na mnie z politowaniem, więc postanowiłam nie zadawać więcej pytań. Jeśli Ryan O’Hare jest rzeczywiście sławny, na ostatnich stronach nowojorskich gazet bez trudu odnajdę informacje na jego temat. I tak wybieram się do biblioteki w poniedziałek – pomyślałam.

Jak wszyscy porządni chrześcijanie potraktowałam niedzielę jako dzień wolny od pracy. Powód był prosty – musiałam odłożyć śledztwo aż do poniedziałku. Miałam przed sobą perspektywę długiego dnia, bez żadnych miłych wydarzeń w rodzaju przechadzki po parku z Danielem. Przed wypadkiem Seamusa towarzyszyłam zawsze całej jego rodzinie w wyprawie do kościoła, choć wcale nie byłam najbardziej religijną osobą pod słońcem.

Postanowiłam, że tym razem sama zabiorę maluchy na mszę, a potem być może na lody. Musiałam jednak zmienić plany. Kiedy wróciłam do domu w sobotę wieczorem, okazało się, że panuje tam harmider nie do opisania. Piątka dzieci z piórami we włosach – Szelma, Bridie oraz ich kuzyni: Malachy, Thomas i James – okupowała mój pokój.

– Na litość boską, co się tutaj dzieje?! – krzyknęłam, klaszcząc w ręce.

Dzieci zamarły.

– Bawimy się w Indian. Ciocia Nuala patroszyła kurę i dała nam pióra – odparła Bridie z niewinnym uśmiechem.

– Jeśli chcecie się bawić w dzikusów, proszę stąd wyjść i poszukać najbliższego parku. – Pogroziłam im palcem. – Dobrze wiecie, że mój pokój to nie jest odpowiednie miejsce na takie zabawy.

– Przepraszamy, Molly – mruknął Szelma nieśmiało.

Gdy wychodzili, usłyszałam jeszcze, jak na korytarzu jeden z chłopców mówi:

– Ale hetera! Zawsze taka jest?

Uśmiechnęłam się do siebie, wygładzając pościel na łóżku i podnosząc poduszki, które dzieci pozrzuciły na podłogę. Właśnie zaczęłam zdejmować nowy kostium, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i stanęła w nich Nuala.

– Słyszałaś już, co się stało? – zapytała.

– Prosiłam, żeby pukać – zauważyłam. Dobrze, że nie wparowała tu dwie minuty później! – O co chodzi? Mam nadzieję, że nie mówisz o Seamusie. Chyba mu się nie pogorszyło?

– Dzięki Bogu i Matce Przenajświętszej Seamus ma się coraz lepiej. Za tydzień wstanie. Nie, tym razem chodzi o mnie i Finbara. Przytrafiło się nam nieszczęście. Kiedy nie było mnie w domu, pewne sprawy wymknęły się spod kontroli. Krótko mówiąc, Finbar stracił pracę w barze, czemu trudno się dziwić, bo to kawał lenia, a chłopcy tak zaczęli rozrabiać, że w końcu gospodyni wyrzuciła nas na bruk.

– To straszne. Mam nadzieję, że już znaleźliście sobie coś nowego.

Zerknęła na mnie spode łba.

– Całymi dniami opiekuję się tym chorym biedakiem. Kiedy niby mam szukać pokoju? Poza tym Seamus to człowiek o wielkim sercu. zaproponował, żebyśmy się do niego na razie wprowadzili i pomieszkali razem, dopóki całkiem nie wyzdrowieje, a Finbar nie znajdzie nowej pracy.

– Wszyscy? Tutaj? – zapytałam. – Pani O’Hallaran nigdy się na to nie zgodzi.

– Ależ właśnie się zgodziła. Sama z nią rozmawiałam. Rozumiemy się doskonale. Powiedziała, że uważa mnie za świętą, bo porzuciłam własne szczęście, by zająć się chorym kuzynem. Poza tym ona wie, że to tylko przejściowa sytuacja. Kiedy staniemy na nogi, znajdziemy sobie inne lokum.

I co mogłam powiedzieć? To nie było moje mieszkanie. Wynajęłam je, a potem zaprosiłam Seamusa z dziećmi. Nie potrafiłabym teraz pójść do pani O’Hallaran i poprosić, żeby zabroniła tej koszmarnej rodzinie się tutaj wprowadzać. Sama sobie wydałabym się wówczas osobą bez serca.

– W takim razie niech Seamus i Bridie śpią ze mną.

– Pomyślałam, że ja też... – Obdarzyła mnie czymś w rodzaju przyjacielskiego uśmiechu. – Wtedy jeden pokój będzie dla dziewczynek, drugi dla chłopców. Mały Seamus wybierze, w którym woli spać. Może zechce zostać z siostrą i z tobą?

– Przyjmę cię tutaj tak samo serdecznie, jak kiedyś ty przyjęłaś mnie w swoim domu – odparłam natychmiast. Chyba zrozumiała, co mam na myśli.

– To nie potrwa długo – zapewniła. – Dobre jedzenie, które kupowałaś Seamusowi, bardzo go wzmocniło. Ani się obejrzymy, jak wróci do pracy.

Zauważyłam, że zamykając za sobą drzwi, uśmiechnęła się z satysfakcją. Stałam jak wryta. Chytre, przebiegłe babsko! Na pewno dokładnie to wszystko zaplanowała! Zazdrościła mi porządnego i przyjemnego mieszkania. Niełatwo będzie się jej pozbyć. Mogłam się jedynie modlić, by synowie Nuali i Finbara jak najszybciej doprowadzili panią O’Hallaran do granic wytrzymałości.

W tej sytuacji niedziela nie zapowiadała się już tak przyjemnie. Na dodatek Nuala postanowiła, że ona i Finbar zabiorą wszystkie maluchy na mszę, i zaproponowała, że mogę do nich dołączyć. Nie miałam

ochoty nigdzie chodzić z Nualą. Zrobiłam sobie parę kanapek, zapakowałam je starannie i wybrałam się w podróż na Coney Island. Podobnie zresztą jak połowa Nowego Jorku. Pociąg był pełen ludzi – zakochanych par, wrzeszczących maluchów i hałaśliwych włoskich rodzin. Kiedy wreszcie dotarliśmy na miejsce, musiałam całkowicie porzucić nadzieję na przyjemną chwilę samotności. Plaża była tak przepełniona, że z trudem można było dojrzeć ziarenka piasku. Poszłam na spacer promenadą. Dochodziły do mnie krzyki z lunaparku Steeplechase. Dziwne, że ludzie płacą za coś takiego – pomyślałam. Widziałam, jak śmiałkowie jeździli na karuzeli, która wirowała wysoko w powietrzu, a kiedy opadała na sam dół, podbiegali do niej kłowni i dla zabawy okładali nieszczęśników kijami.

W końcu pokusa zanurzenia się w chłodnym morzu była zbyt silna. Wiem, że nie powinnam była wydawać pieniędzy Paddy'ego na własne przyjemności, ale wypożyczenie kostiumu kąpielowego i miejsce w przebieralni kosztowało naprawdę grosze. Strój miał całą masę falban i ważył chyba z tonę. Wyglądałam w nim jak ogromny kurczak. Ale gdy tylko zanurzyłam stopy w chłodnych wodach Atlantyku, pomyślałam, że było warto. W kąpielisku zamontowano liny. Na wszelki wypadek przytrzymałam się jednej z nich i zaczęłam wchodzić głębiej do wody. W Irlandii podczas kąpieli w morzu nigdy nie musiałam się niczego trzymać, ale też nie musiałam się tam kąpać w tak dziwnym i strasznie ciężkim stroju. Kiedy dotarłam do końca liny, zauważyłam, że w tym miejscu jestem już tylko ja i silni mężczyźni. Odepchnęłam się i zaczęłam płynąć. Woda ochlapywała mi twarz, poczułam radość unoszenia się na falach. Odwróciłam się na plecy i zastygłam w bezruchu. Nie istniał świat, byłam tylko ja, niebieskie niebo i chmury.

– Wszystko w porządku, panienko? – Poczułam czyjąś rękę na ramieniu. Należała do ratownika w biało-czerwonym uniformie.

– Tak. Wszystko w porządku. Odpoczywam.

– Nigdy nie widziałem, żeby kobieta wypłynęła tak daleko od brzegu.

– Dziękuję za troskę, ale potrafię sobie radzić w wodzie. Możemy się ściągać do brzegu, jeśli pan chce.

– Uśmiechnęłam się do niego zalotnie.

– W porządku. Na miejsca, gotowi, start!

Płynęliśmy zamaszystymi ruchami. Wygrał, ale z małą przewagą.

– Świetna z pani pływaczka – powiedział, pomagając mi stanąć wśród fal. – Pewnie byłby remis, gdyby nie ten kostium. Szkoda, że nie jest pani mężczyzną. Przydałby się nam jeszcze jeden ratownik na tej plaży.

– Ma pan rację – zauważyłam. – Szkoda, że nie jestem mężczyzną.

Uśmiechnął się, popatrzył, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz wzruszył tylko ramionami i odparł:

– Miło było panią poznać.

A potem odwrócił się na pięcie i odszedł.

Czyżby chciał mi zaproponować randkę? To spotkanie nastroiło mnie pozytywnie na cały dzień. Na świecie jest masa młodych mężczyzn, którzy chętnie się ze mną umówią! Poza tym kąpiel w oceanie

sprawiła mi ogromną przyjemność. Kiedy zobaczyłam miny innych kobiet na widok moich splątanych mokrych włosów, zachciało mi się śmiać.

Do domu wróciłam odświeżona i pełna energii. Gotowa stawić czoło poniedziałkowym planom i hałasującym dzieciom, które zawładnęły moim mieszkaniem.

Następnego dnia ubrałam się w nowy kostium, a na głowę włożyłam kapelusz z brązową wstążką. To ważny dzień! Bardzo prawdopodobne, że już dzisiaj wieczorem będę o krok od rozwiązania zagadki śmierci Paddy’ego Rileya. Ale muszę zachować ostrożność. Jedna z osób, które dzisiaj odwiedzę, może okazać się mordercą. Nie zawaha się, by i mnie uciszyć.

Nie było sensu przed dziesiątą rano składać wizyty ani Angusowi MacDonaldowi, ani jego żonie Elizabeth. Ludzie z wyższych sfer nie wstają zbyt wcześnie. Tak więc swoje pierwsze kroki tego dnia skierowałam do Berger i DeBose, firmy handlującej produktami delikatesowymi oraz winem. Biuro mieściło się w wysokim budynku z cegły nad rzeką Hudson. Był pochmurny poranek, zanosilo się na deszcz. Poszłam pieszo, bo potrzebowałam przewietrzyć głowę przed trudnymi rozmowami, które mnie czekały. Postanowiłam, że nie wspomnę o żadnych podejrzeniach w stosunku do kogokolwiek i będę sprawiała wrażenie nowicjuszki, która porządkuje sprawy rozpoczęte przez szefa. Nie powinnam też nikogo informować o śmierci Paddy’ego, chyba że moi rozmówcy będą już o niej wiedzieli.

Wręczyłam wizytówkę szczupłemu chłopakowi; ten przekazał ją komuś w głębi biura, a następnie wrócił i zaprowadził mnie do pokoju, w którym czekał postawny brodaty mężczyzna. Na mój widok wstał i przedstawił się jako pan DeBose.

– Panna Murphy? – Ton nie był zbyt przyjazny.

– Panie DeBose, jestem nowym pracownikiem firmy Riley i Partnerzy. Ponieważ pan Riley jest niedysponowany, zajęłam się kilkoma sprawami i próbuję je uporządkować. Zobaczyłam pańskie nazwisko w naszej dokumentacji i przyszłam zapytać, czy nie potrzebuje pan mojej pomocy.

– Można powiedzieć, że trochę się pani spóźniła – powiedział i aż poczerwieniał ze złości. – Proszę przekazać swojemu zarozumiałemu wspólnikowi, że gdyby działał wtedy, kiedy go o to prosiłem, młody Hofmeister nie uciekłby z kraju z moimi pieniędzmi.

– Kiedy to zrobił?

– Kiedy? W ubiegły piątek. Poszedł do banku wpłacić utarg z całego tygodnia i już nie wrócił. Policja przekazała nam, że wcześniej zarezerwował sobie miejsce na statku do Montevideo, który wypływał z Nowego Jorku w piątek wieczorem. O tym, że zniknął, dowiedzieliśmy się oczywiście dopiero w poniedziałek rano, a wtedy było już za późno.

– Czyli to on odpowiadał za przekręty w pańskiej firmie?

– Przekręty? To zbyt delikatne określenie, proszę pani. To był rozbój w biały dzień! On nas okradał! Kiedy zwróciliśmy się o pomoc do tego pani detektywa Rileya, nie znaliśmy jeszcze skali działań Hofmeistera. Teraz okazało się, że wystawiał rachunki za nieistniejące towary, brał zaliczki, a pieniądze zgarniał do własnej kieszeni. I co pan Riley na to wszystko powie? Za co weźmie honorarium, skoro

siedział na tyłku i palcem nie kiwnął w naszej sprawie?

– Muszę poinformować pana, że Paddy Riley nie żyje – powiedziałam cicho.

– Ach, tak... – wymamrotał. – Proszę przyjąć kondolencje. Chorował, czy była to nagła śmierć?

– Został zamordowany, panie DeBose. W bardzo brutalny sposób.

Pobladł. Wszystkie emocje miał wyraźnie wypisane na twarzy.

– A to co innego. Mam nadzieję, że udało się złapać łajdaka.

– Jeszcze nie, ale liczę, że wkrótce trafi za kratki. Życzę miłego dnia. Nie wystawimy rachunku.

Pokiwał głową.

– Jestem wdzięczny.

– Przykro mi z powodu pańskiego pracownika. Przeżył pan wielki zawód.

– W rzeczy samej. Zawiódł moje zaufanie. Dwa razy się teraz zastanowię, zanim kogokolwiek zatrudnię.

Wyciągnął do mnie masywną dłoń.

– Dziękuję za wizytę.

Wychodząc z biura pana DeBose, uznałam, że mogę skreślić ze swojej listy kolejnego podejrzanego. Kiedy Paddy jeszcze żył i miał się całkiem dobrze, ten przebiegły Hofmeister był już w drodze do Ameryki Południowej.

Zostali mi MacDonaldowie. Angus był jedynym synem bardzo bogatego człowieka, na dodatek kalwinisty. Jeśli Paddy odkrył coś, co mogłoby zdenerwować starszego pana i spowodować zmianę testamentu, a może nawet doprowadzić do wydziedziczenia syna marnotrawnego, kto wie, czy Angus nie posunąłby się do morderstwa? A więc motyw jest. Bogaty człowiek ma również fundusze na wynajęcie płatnego zabójcy. Muszę uważać, bo może mi grozić niebezpieczeństwo.

Zdecydowałam, że zacznę od pani MacDonald, bo to w końcu ona zatrudniła Paddy'ego. Wydaje się naturalne, że powinnam jej złożyć wizytę i powiadomić o sytuacji. Wsiadłam do tramwaju i pojechałam do Central Parku. Przechodząc obok miejsc, które przywoływały miłe wspomnienia, starałam się skupić na swojej misji i nie wracać pamięcią do chwil spędzonych z Danielem w cieniu drzew. Zdziwiłam się, że MacDonaldowie, ci milionerzy albo w każdym razie przyszli milionerzy, mieszkają w kamienicy, a nie we własnym domu. Ale kiedy zobaczyłam, jaka to kamienica, zmieniłam zdanie. Wzdłuż całej ulicy stały imponujące budynki z wieżyczkami, dorównujące pałacom w Europie, ale Dakota przy Siedemdziesiątej Drugiej była najbardziej okazała. To właśnie tutaj mieścił się apartament pani MacDonald.

Do środka wpuścił mnie portier o wyglądzie europejskiego księcia, ubrany w uniform ociekający złotem.

– Sprawdź, czy jaśnie pani jest u siebie – powiedział, oglądając moją wizytówkę. – Proszę usiąść.

Poprowadził mnie w kierunku fotela otoczonego palmami w doniczkach, a potem zniknął w niewielkim biurze.

Usiadłam i z zaciekawieniem obserwowałam wnętrze. Po chwili portier wrócił.



– Pani MacDonald oczekuje. Proszę powiedzieć windziarzowi, by zatrzymał się na ósmym piętrze. Wejście do apartamentu będzie na wprost.

Winda bez wysiłku wjechała na górę. Wyszłam na korytarz wyłożony grubym dywanem. Na piętrze było tylko jedno mieszkanie. Prowadziły do niego wielkie podwójne drzwi. Zanim zdążyłam zapukać, otworzyły się i służąca wpuściła mnie do wspaniałego salonu, którego okna wychodziły wprost na Central Park. Meble miały kolor kości słoniowej i złota, a całość sprawiała wrażenie przestronnej i dobrze oświetlonej. Drobna, delikatna kobieta spoczywała na leżance. Obok niej stała taca z resztkami śniadania, co przypomniało mi, że wyższe klasy jedzą posiłki znacznie później niż reszta ludzkości.

Dama spojrzała na mnie wyczekująco.

– Są dla mnie jakieś wieści od pana Riley'a?

– Niestety, nie mam dobrych wiadomości, pani MacDonald. Pan Riley zmarł w zeszłym tygodniu. Postanowiłam poinformować wszystkich jego klientów tak szybko jak to tylko możliwe, by mogli podjąć odpowiednie kroki.

Posmutniała.

– Tak mi przykro. Jego śmierć bardzo mnie martwi – powiedziała. – Czy zdobył dla mnie informacje?

– Niestety, nic nie wiem na ten temat.

– Nie zebrał żadnych dowodów?

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia. Pan Riley z nikim nie omawiał spraw swoich klientów. Przestrzegał etyki zawodowej.

– To okropnie denerwujące – oznajmiła ze złością. – Myślałam, że tym razem zduszę romans Angusa w zarodku. Tolerowałam jego zachowanie i wszystkie związki wystarczająco długo, ale tracę cierpliwość. Robię to dla siebie i dla niego. W końcu należy bronić dobrego imienia tej rodziny. Mój teść byłby oburzony, gdyby się o wszystkim dowiedział.

Nic nie odrzekłam.

Popatrzyła na mnie ze złością.

– Dziwne, że pan Riley nie informował swoich współpracowników. Chwileczkę. A może ty pracujesz dla jednego z tych wścibskich dziennikarzy? Już kiedyś pod byle pretekstem próbowano wyciągnąć ode mnie informacje.

– Zapewniam panią, pani MacDonald, że nie jestem dziennikarką. Wykonuję swoją pracę. Gdyby pan Riley żył, na pewno byłby ze mnie zadowolony.

Straciła zainteresowanie rozmową i anemicznie machnęła w moim kierunku ręką.

– W takim razie do widzenia. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci pana Riley'a.

Kiedy zjeżdżałam windą na dół, pomyślałam, że nie poszło mi tak dobrze, jak bym sobie tego życzyła. Szkoda, że nie wiedziałam, jak zagaić, jak dobrać odpowiednie słowa, zadać mądre pytanie! Może wtedy wszystko by mi powiedziała? Wyznała chociaż, jak ma na imię ten nowy związek Angusa? Wiem jedno. Zamierza o wszystkim powiedzieć teściowi. Muszę uważać podczas wizyty u młodego MacDonald'a.

Dowiedziałam się, że ma biuro w dzielnicy finansowej, na Wall Street, w budynku należącym do jego ojca. Znów pojechałam na południe elką. Po wyjściu z kolejki starannie wygładziłam ubranie. Sekretarz przekazał mi, że pan MacDonald jest na spotkaniu i nie może się ze mną zobaczyć. Zapytałam, kiedy mam wrócić, ale odpowiedź sugerowała, że nigdy. Postanowiłam działać zdecydowanie. Poprosiłam o kartkę papieru, napisałam na niej wiadomość i kazałam sekretarzowi natychmiast zanieść ją do pana MacDonalda.

Już po chwili zaproszono mnie do biura. Angus był przystojnym młodym mężczyzną, szczupłym, o ciemnych włosach. Ruchy miał równie dystyngowane jak małżonka. Wstał, kiedy weszłam.

– Panno Murphy? Rozumiem, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Coś, co ma związek z moją rodziną, tak?

Przytaknęłam.

– Tak, to bardzo delikatna sprawa... Wolałabym ją omówić... – Spojrzałam w stronę sekretarza.

Angus uczynił gest ręką.

– Dziękuję, Biggs, to wszystko.

Wskazał mi skórzany fotel. Usiadłam.

– Proszę mówić. Zamieniam się w słuch.

– Nie jestem pewna, czy pan wie, ale żona zbiera przeciwko panu dowody. Wkrótce zażąda rozwodu.

Był autentycznie zaskoczony. Takiej reakcji się nie spodziewałam.

– Elizabeth chce rozwodu? A skąd pani to wie, panno Murphy?

– Pańska żona wynajęła prywatnego detektywa, pana Rileya. Niestety, zmarł w zeszłym tygodniu. Poproszono mnie o przejrzanie wszystkich dokumentów i uporządkowanie jego biura, zanim wprowadzi się tam kolejny najemca.

Podczas podróży na Wall Street zdecydowałam, że dla własnego bezpieczeństwa nie powiem, iż pracowałam dla Paddy'ego.

– Pańska żona była jedną z klientek tego biura.

– Dlaczego mi to pani mówi?

– Żeby pana ostrzec.

– Szlachetnie z pani strony – odparł, ale jego spojrzenie wyrażało co innego. – A nie oczekuje pani przypadkiem drobnej zapłaty za fatywę? Nie ma pani jakiejś szczególnie ważnej informacji, która jest wiele warta?

– Nie znalazłam żadnych dowodów, jeśli o to pan pyta – odparłam lodowatym tonem. – I nie mam też intencji, które pan sugeruje. Po prostu staram się powiązać pewne fakty. Wiem, że pana ojciec jest człowiekiem wyjątkowo pryncypialnym, więc może chciałby pan poczynić odpowiednie kroki, by informacje o skandalu do niego nie dotarły.

– W takim razie jestem pani dłużnikiem – odparł. – Rzeczywiście ojciec nie pochwaliłby mojego stylu życia. Ale nie rozumiem, dlaczego Elizabeth zadała sobie tyle trudu, by wynająć prywatnego detektywa.

Gdyby tylko poprosiła mnie o rozwód, nie czyniłbym jej żadnych wstrętów. Nigdy do siebie nie pasowaliśmy. Zeswatano nas ze sobą dawno temu, kiedy byliśmy jeszcze zbyt młodzi, by się sprzeciwić. Byłbym szczęśliwy, gdybyśmy mogli się rozejść.

– Ale pański ojciec z pewnością nie zaakceptuje rozwodu?

Angus popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Trochę się podenerwuje, ale szybko mu przejdzie. Mówiąc szczerze, nigdy nie lubił Elizabeth. Nie podobało mu się, że w tak nonszalancki sposób wydaje pieniądze, poza tym do tej pory nie dała mu wnuka. – Wstał i wyciągnął dłoń na pożegnanie. – Dziękuję, że się pani tutaj pofatygowała, panno Murphy. A teraz przepraszam, muszę wracać do pracy. Ojciec co chwila mnie upomina, żebym poprawił wydajność. Liczy, że przynajmniej w tej sferze swojego nędznego życia postaram się osiągnąć jakiś sukces.

Podszedł do drzwi i otworzył je przede mną.

– Do widzenia.

Wyszłam na ulicę i zobaczyłam, że zaczął padać deszcz. W oddali słychać było solidną ulewę z piorunami. Nie miałam parasolki, a nie chciałam tak szybko zniszczyć swojego nowego stroju, więc weszłam pod zadaszenie najbliższego banku i czekałam, aż burza minie. Po chwili zauważyłam, jak z budynku MacDonaldów wyłania się jakaś postać i szybko podbiega do samochodu, który czekał na ulicy. Mimo że mężczyzna miał wysoko podniesiony kołnierz płaszcza, poznałam od razu, że to Angus MacDonald. Kiedy samochód odjechał, uświadomiłam sobie jedną istotną rzecz. Angus MacDonald miał ciemne włosy, był szczupły i zwinny.

Ulewny deszcz ciągle padał, więc spokojnie mogłam się zastanowić nad tym, co przed chwilą zobaczyłam. Czy możliwe, żeby Angus MacDonald wyskoczył z okna w biurze Riley'a? W zasadzie na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżnia i nie wygląda na syna milionera. Czemu jednak sam miałby wykonywać brudną robotę, skoro mógł do tego kogoś wynająć? W Nowym Jorku nietrudno o płatnego mordercę. I kolejne pytanie: dlaczego Angus MacDonald miałby zabić Paddy'ego? Na wiadomość, że żona myśli o rozwodzie, zareagował szczerym zaskoczeniem. Co więcej, wydawał się zasmucony, że Elizabeth niepotrzebnie zbiera jakieś dowody przeciw niemu. Chętnie zgodziłby się na rozstanie, gdyby tylko o to poprosiła. Nie poruszyła go nawet informacja, że o wszystkim może się dowiedzieć ojciec.

Kiedy tak stałam, obserwując gęstniejący deszcz, dotarło do mnie, że do tej pory jako detektyw nie odniosłam żadnych sukcesów. Postanowiłam przyjrzeć się tylko trzem sprawom, nad którymi ostatnio pracował Paddy, i za każdym razem brnęłam w ślepy zaułek. Lord Edgemont powiedział, że zamierza wrócić do żony, oszust z firmy eksportowej był już dawno na statku, kiedy dokonano zabójstwa, a Angus MacDonald nie zmartwił się wcale, usłyszawszy, że Elizabeth chce się z nim rozwieść. Albo te wszystkie przypadki nie miały nic wspólnego ze śmiercią Paddy'ego, albo nie potrafiłam swoim rozmówcom zadać odpowiednich pytań. Byłam zła, że brakuje mi umiejętności śledczych. Szkoda, że Paddy zginął tak szybko; z pewnością czegoś jeszcze bym się od niego nauczyła. Jeśli nie zdołam rozwiązać tej zagadki, trzeba będzie pomyśleć o zmianie profesji – postanowiłam.

Tuż przy mnie stanęła taksówka, z której wysiadł pasażer. Bez namysłu wskoczyłam do środka.

– Dokąd jedziemy, proszę pani?

No właśnie, dobre pytanie! Co powinnam teraz zrobić, dokąd się udać? Chyba żadna z tych trzech spraw nie ma nic wspólnego ze śmiercią Paddy'ego. Zaczęłam nawet podejrzewać, że sierżant Wolski ma rację. Detektyw zadarł z jakimś niebezpiecznym gangiem i musiał za to zapłacić. W końcu uznałam, że najrozsądniej będzie wrócić do biura i sprawdzić, czy przypadkiem coś mi nie umknęło. Jeśli tak – obiecałam sobie – informacje przekażę policjantom. Niech oni wezmą śledztwo w swoje ręce.

Gdy jechaliśmy Broadwayem, poczułam wyrzuty sumienia, że lekką ręką wydaję pieniądze Paddy'ego. Tym bardziej że on sam żył niezwykle skromnie. Kiedy więc na chwilę przestało padać, poprosiłam kierowcę taksówki, by się zatrzymał, i wyskoczyłam. To był błąd. Wpadłam prosto w wielką kałużę błota i wyszłam z niej ubrudzona aż po kostki, z dołem mojej nowej spódnicy włącznie. Ostatnio wszystko, co robię, kończy się jakąś katastrofą!

Ogarnęły mnie ponure myśli.

Kiedy dochodziłam do Washington Square, z głównych drzwi uniwersyteckiego budynku wysypała się gromada studentów i wkrótce na placu zrobiło się gwarno od śmiechu i rozmów. Przypomniałam sobie, że wciąż mam w torebce czarny notes i że powinnam znaleźć jakiegoś profesora, który pomoże mi

w tłumaczeniu zapisków. Zaczęłam iść pod prąd, przepychając się do wejścia, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że skoro studenci mają teraz przerwę na lunch, to nikogo w środku nie zastanę. A wykładowca też człowiek i musi czasem coś zjeść. Sama zresztą od dawna nie miałam nic w ustach! Postanowiłam zrobić sobie przerwę w pracy i zawróciłam. Po krótkim marszu znalazłam w jednej z bocznych uliczek przytulny francuski bar, a w nim wolne miejsce. Ściany były wyłożone kawałkami lustra, a całą salę okrężał wysoki kontuar, przy którym można było usiąść. Wspięłam się na barowy stołek i zamówiłam danie dnia za osiem centów. Czekając, aż kelner je przyniesie, z zainteresowaniem przysłuchiwałam się rozmowom. Studenci prowadzili zażarte dyskusje na temat polityki, literatury, a nawet prawa wyborczego dla kobiet. Na chwilę ich rozmowy przerwał dźwięk syreny wozu strażackiego.

– W porządku, Freddie, nie udało ci się wysadzić w powietrze naszej pracowni chemicznej, pojechali dalej – zażartował jeden z chłopców. Trochę się pośmiali, a potem wrócili do przerwanego wątku.

Kelner właśnie przyniósł moje danie. Gęsty wołowy gulasz byłby wprawdzie bardziej odpowiedni w chłodny zimowy dzień niż latem, ale okazał się niezwykle smaczny, więc podobnie jak wszyscy studenci dokładnie wylizałam talerz. Potem skusiłam się jeszcze na kawę z mlekiem, by jak najdłużej posiedzieć w tym miłym miejscu. Gdy sięgałam po pieniądze, moja ręka dotknęła notesu, więc wyjęłam go z torebki i otworzyłam. Rozejrzałam się po sali, zastanawiając się, czy któraś z tych młodych wykształconych osób nie mogłaby mi przypadkiem pomóc. Na ostatniej stronie napisane było: *OR + CL mezar CO*.

Nie rozumiałam z tego ani słowa, podobnie jak z pierwszego zdania w notesie: *LK + EL mezar kilots OLED*.

Słowo *mezar* pochodzi pewnie z jakiegoś wschodniego języka – pomyślałam. Ale co oznacza ostatni skrót *CO*? Może pierwszą literę należy przeczytać jak „k”? Kiedy kelnerka podawała mi kawę, musiałam odłożyć notes. Pociągnęłam pierwszy łyk, rozkoszując się bogatym smakiem i pianką z mleka. Mój wzrok powędrował w stronę lustra, a potem padł na lustrzane odbicie kartki w notesie i wszystko stało się jasne. Słowo *mezar* zamieniło się w znajome *razem*. Olśniło mnie. Paddy nie robił notatek w żadnym obcym języku! Uprawiał tylko popularną w Londynie zabawę słowną. Kiedyś czytałam o niby-języku, w którym wyrazy wymawia się wspak. Używali go chętnie londyńscy czeladnicy i chłopcy na posyłki, gdy chcieli ukryć treść swoich rozmów. To prosty, a jednocześnie bardzo sprytny szyfr, który sprawdza się nie tylko w Londynie, ale najwyraźniej również tutaj, w Nowym Jorku. Jeśli ktoś ukradłby Paddy’emu zeszyt, nie mógłby zrobić z niego użytku. Pierwsze zdanie brzmiało teraz: *KL + LE razem stolik Delo*, czyli Kitty La Grange i lord Edgemont razem przy stoliku w Delmonico. Przewróciłam kartkę. Na następnej stronie były zwykłe bazgroły, a na marginesie po lewej stronie jakieś esy-floresy. Paddy próbował chyba narysować byka. Zdanie *RO + LC razem OC* nic mi nie mówiło. W żadnej sprawie Paddy’ego nie było inicjałów L.C. ani R.O., ale OC pewnie oznacza bar O’Connorów. Tak więc rzeczywiście Paddy właśnie w tym barze zatrzymał się w drodze do domu i właśnie tam usłyszał coś, co go zaniepokoiło. Kolejne zaszyfrowane zdanie brzmiało: *Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem. Może to zwykłe przechwałki? Dałby radę czy nie? Nie ten typ człowieka. Trzeba to sprawdzić i komuś*

*opowiedzieć.*

Co jest w tym wszystkim istotne? Przypomniałam sobie, że Paddy prosił mnie, bym przekazała Danielowi, że ma się pojawić w umówionym miejscu. A kiedy umierał na moich rękach, wyszeptał „za duże dla mnie”. Zamknęłam notes, schowałam go do torebki i szybko dopiłam kawę. Powinnam teraz jeszcze raz zerknąć na dokumenty w biurze i sprawdzić, czy któreś z nich nie zawierają inicjałów R.O. albo L.C.

Podczas mojej wizyty w barze niebo zdążyło się roz pogodzić, a z mokrych chodników zaczęła się unosić para. Przecięłam plac, skierowałam się w stronę Piątej Alei i stanęłam pod biurem. Na kocich łbach bawili się mali chłopcy. Na mój widok znieruchomieli i nienaturalnie zamilkli. Zauważyłam, że bacznie mi się przyglądają.

– Nie wolno tam wchodzić – powiedział jeden z nich.

– Dlaczego?

– Niebezpiecznie. Podłoga może się zawalić.

– Strażak powiedział, żeby nikogo nie wpuszczać – dodał inny.

– Wybuchł pożar?

Zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego, z wrażenia zaróżowiły im się policzki.

– Szkoda, że pani nie widziała. Z okien buchały płomienie, przyjechał wóz strażacki, miał węże i syczało, jak lała się z nich woda. Potem było dużo dymu.

– Kiedy to się stało? – zapytałam, a serce podeszło mi do gardła.

– Dopiero co odjechali. Jakies pół godziny temu.

Pół godziny temu! A więc słyszałam ten wóz. Przejechał obok baru, kiedy jadłam lunch! Zignorowałam ostrzeżenia chłopców i pchnęłam drzwi do środka. W powietrzu unosił się dym. Na szczęście strażacy zostawili otwarte okno, więc do pomieszczenia dostawało się dużo świeżego powietrza. Pierwszy pokój nie został bardzo zniszczony, choć na ścianach widniały ciemne smugi, a po teczkach z dokumentami została sterta popiołu. Pamiętając o ostrzeżeniu strażaków, powoli stawiałam kroki. Drugi pokój wyglądał znacznie gorzej. Podłoga była zupełnie czarna i rzeczywiście w każdej chwili mogła się zawalić. Tutaj ogień strawił wszystko. W miejscu sekretery zobaczyłam stos zwęglonego drewna.

Rozglądałam się bezradnie dookoła. Niewiele zostało z królestwa Paddy’ego. Przez moment byłam na siebie zła. Dlaczego wysiadłam z taksówki? Straciłam tyle czasu! Gdybym przyszła tu wcześniej, może udałoby się przestraszyć podpalacza? Jednakże tylko dlatego, że się spóźniłam – żyję! Nie dałabym rady pokonać mordercy Paddy’ego, bo kto inny niż on mógł za tym wszystkim stać? Nie znalazł wcześniej tego, co go interesowało, więc postanowił spalić zawartość sekretery, tak by żadne dowody nie trafiły w niepowołane ręce.

Ale jakie dowody? Przecież zabrałam stąd jedyne trzy teuczki z dokumentacją bieżących spraw, które i tak okazały się mało istotne. W biurze zaś zostały tylko materiały dotyczące zamkniętych zleceń, a te nie mogły skrywać żadnej tajemnicy, bo Paddy przekazywał klientom pełne informacje z wynikami śledztwa.

To wszystko nie miało sensu, ale szkoda, że nie mogłam jeszcze raz przejrzeć zawartości sekretery. Niewykluczone, że wcześniej coś przeoczyłam. Na przykład jakąś tajemniczą teczkę ukrytą wśród innych papierów. Trudno, stało się. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Biuro Paddy'ego zostało doszczętnie zniszczone.

– Co pani tu robi? – przeciął ciszę ostry głos.

Podskoczyłam jak oparzona. Nawet nie słyszałam kroków na schodach. A przecież dobry detektyw powinien zawsze zachowywać czujność. Wciąż brakowało mi podstawowych umiejętności. W drzwiach stał sierżant Wolski i patrzył na mnie surowo. Nigdy jeszcze nie widziałam go w dobrym humorze, ale teraz był wyjątkowo ponury.

– Usłyszałam, że wybuchł tutaj pożar, i przyszedłam zobaczyć, co się stało – odpowiedziałam. – A pan?

– To chyba oczywiste, że nie można tu wchodzić – odparł. – Proszę natychmiast stąd wyjść. Nikt nie ma tutaj wstępu, dopóki nie znajdzie się właściciel budynku i nie postanowi, co zrobić z tą ruderą. Ma pani klucz?

Przytaknęłam.

– W takim razie proszę go natychmiast oddać. Wzmocnię dodatkowo drzwi wejściowe, na wypadek gdyby przyszły pani do głowy jeszcze jakieś głupie pomysły.

Oddałam mu klucz.

– Jak idzie śledztwo? – zapytałam. – Macie jakieś ślady?

– Nie pani sprawa – odparł, kierując mnie w stronę drzwi. – Na nic szczególnego nie trafiliśmy.

– Chwila. – Strząsnęłam z ramienia jego dłoń. – Skoro budynek zostanie zburzony, wezmę to, co zostało z rzeczy pana Rileya.

Zawróciłam do drugiego pokoju i zabrałam ubrania wiszące na ścianie – długą pelerynę, płaszcz przeciwdeszczowy, parasol, wysoki kapelusz i elegancką kamizelkę. Po pożarze były w kiepskim stanie – brudne i wilgotne. Nie wiedziałam jeszcze, czy do czegokolwiek mi się przydadzą, ale nie chciałam, by wziął je ktoś inny.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda? – zapytałam Wolskiego.

Popatrzył na mnie z odrazą.

– Proszę bardzo, może pani zabrać te stare łachy. Chociaż nie sądzę, że uda się je sprzedać.

Moja kolej, by potraktować go z pogardą.

– Nie zamierzam niczego sprzedawać. To jest wyposażenie firmy, którą mam zamiar dalej prowadzić.

Uśmiechnął się wyniośle.

– W takim razie życzę powodzenia.

W końcu złapał mnie za ramię i poprowadził w stronę schodów.

– I proszę tu nie wracać.

– Nie muszę – odparłam. – Niczego już w tych zgłiszczach nie znajdę.

Zbiegłam ze schodów i wyszłam na ulicę. Ledwo doniosłam do domu pelerynę i płaszcz. Co chwila wyslizgiwały mi się z rąk i tylko cudem nie wylądowały w błocie.

Na korytarzu w domu państwa O'Hallaran panowała cisza i spokój. Gospodyni nie przywitała mnie tak jak zwykle przy schodach i nie zapytała, co u mnie słychać; z piętra nie dochodziły wrzaski upiornych dzieci Nuali. Weszłam na palcach na górę i wślizgnęłam się do swojego pokoju. Opuściłam zdrętwiałe ramiona i położyłam ubrania Riley'a na wolnym krześle. Już miałam usiąść i odpocząć, kiedy z łóżka doszło mnie tak głośne chrapanie, że aż podskoczyłam. W mojej pościeli leżeli na wznak Nuala i Finbar. Najpierw wtargnęli do mieszkania, potem do mojego pokoju, a teraz do łóżka. Tego już za wiele!

Podeszłam i dotknęłam ramienia Nuali. Usiadła gwałtownie i zaczęła wymachiwać rękami. Musiałam wyrwać ją z głębokiego snu.

– Co wy sobie, u licha, wyobrażacie? Kto wam pozwolił spać w moim łóżku? – zapytałam ostro.

– Przecież cię nie było, więc go nie potrzebowałaś, prawda? – powiedziała ze złością. – Dzieci wyszły się bawić, to pomyśleliśmy, że mamy dobrą okazję, by uciąć sobie drzemkę. Ciągłe jestem niewyspana przez tę opiekę nad naszym biednym kuzynem.

– Jak najbardziej należy ci się drzemka, ale nie tutaj – odparłam. – No, dalej, ruszać się. Proszę stąd wyjść!

Nuala mocno szturchnęła męża. Obudził się w końcu i wybełkotał:

– O co chodzi?

– Wyrzucają nas, Finbar. Pani Niewdzięczna, która była kiedyś na naszym utrzymaniu i nie płacąc ani grosza, spała u nas w pokoju, teraz nie może znieść, że ucieliśmy sobie u niej półgodzinną drzemkę.

Nic nie powiedziałam. Po prostu z założonymi rękami czekałam cierpliwie, aż wstaną i wyjdą. Finbar wyglądał odrażająco w szarej bieliźnie.

– A pościel? Nie wypadaloby jej wyprać?! – krzyknęłam jeszcze.

– Dobre sobie! – zawołała Nuala. – Słyszysz, Finbar? Można by pomyśleć, że mamy wszy. Nie jesteśmy tu mile widziani.

Zatrzasnęła za sobą drzwi. Chciało mi się płakać ze złości. Już nie ma miejsca, które mogłabym nazwać swoim! Domyślałam się, że kiedy wychodzę, Nuala przegląda moje rzeczy, ale świadomość, że również śpi w moim łóżku, była nie do zniesienia. Nie wiedziałam, co teraz robić. Mogłabym poskarżyć się pani O'Hallaran i doprowadzić do tego, że cała rodzina, w tym również Seamus i jego dzieci, wyląduje na bruku. A tego nie mogłam zrobić. Nieważne, jak często sobie powtarzałam, że los tych dwojga to nie moja sprawa; wciąż czułam się odpowiedzialna za małego Seamusa i jego siostrę.

Podeszłam do okna i otworzyłam je szeroko, żeby przewietrzyć pokój i pozbyć się zapachu niemytych ciał. Muszę zrobić coś, co pozwoli mi stąd odejść! Powinnam znaleźć porządną, dobrze płatną pracę, dzięki której wynajmę inne mieszkanie. Mam wprowadzić w banku pieniądze Riley'a, ale nie mogę użyć ich na cele inne niż firmowe – rozmyślałam.

Zebrałam z łóżka pościel i położyłam się na materacu. Na dodatek nie ma postępów w śledztwie. Co



za rozczarowanie! Wszystkie możliwe ślady morderstwa strawił ogień, zabójca Paddy'ego pozostaje na wolności, a ja okazałam się raczej kiepskim detektywem. Dlaczego ten pożar nie dał mi do myślenia? Dlaczego nie przyjrzałam się odciskom palców na parapecie ani nawet nie poszukałam śladów tego, co wywołało płomienie? Jesteś beznadziejna – powiedziałam do siebie. Beznadziejna dziewczucha, która zabiera innym powietrze – powtórzyłam. Niepotrzebnie. Wróciły wspomnienia. Tak mawiała moja matka.

Po chwili uświadomiłam sobie, że pożar potwierdza moje przypuszczenia, a sierżant Wolski z całą pewnością się myli. Gdyby chodziło o porachunki gangów, komu zależałoby na podpaleniu biura? Ogień podłożył morderca, bo chciał zniszczyć dowody! Uklękłam i wyciągnęłam spod łóżka walizkę, w której trzymałam zabrane z biura teczki. Otworzyłam je i zaczęłam uważnie studiować.

Lord Edgemont i Kitty – co takiego mógł odkryć Paddy, że któreś z nich postanowiło go zabić? Jeszcze raz zerknęłam do czarnego zeszytu. Inicjały LE i KL widniały w wielu miejscach. Paddy zanotował, że lord odwiedził dom Kitty i że byli widziani w teatrze we wspólnej łoży. Wszystko dosyć niewinne.

Riley niewiele zrobił w sprawie Hofmeistra, który zabrał pieniądze panu DeBose, więc ta teczka była prawie pusta. Poza tym jeśli ten człowiek rzeczywiście na cztery dni przed zabójstwem popłynął do Ameryki Południowej, raczej nie mógł zawrócić i zamordować Riley'a. Na wszelki wypadek postanowiłam to jeszcze sprawdzić w porcie, ale byłam pewna, że pan DeBose miał bardzo dokładne informacje. W końcu starał się odzyskać własne pieniądze.

Zostaje mi jedynie sprawa MacDonaldów. Elizabeth MacDonald nie była uprzejma. Podejrzewała, że jestem dziennikarką, która szuka sensacji. Czyżby miała coś do ukrycia? Ale to ona naciskała w sprawie rozwodu. Usiadłam i pomyślałam. Może chciała pogrążyć Angusa i wrobić go w morderstwo? Zaskoczony, nie miałby czasu zadbać o alibi. Warto przemyśleć taką wersję wydarzeń.

A potem coś jeszcze sobie przypomniałam. Widziałam przecież, jak Angus pospiesznie opuszcza swoje biuro. A chwilę później w biurze Paddy'ego wybuchł pożar. Ciekawe! Ponownie kartka po kartce przejrzałam informacje na temat sprawy MacDonaldów. Były tam szczegóły pierwszej rozmowy Paddy'ego z Elizabeth, potem relacje z tego, co robił Angus, z opisem wizyt w pewnych klubach oraz weekendu w Newport na Rhode Island włącznie. Nic aż tak podejrzanego, by się tym przejmować. Zamknęłam teczkę i nagle zauważyłam, że coś leży na podłodze. Z kieszeni walizki wysunęła się mała fotografia. Podniosłam ją i popatrzyłam uważnie. Typowy obrazek wakacyjny przedstawiający dwóch mężczyzn na plaży. W strojach kąpielowych stoją wśród fal. Śmieją się i obejmują serdecznie.

Znów nic takiego, gdyby nie fakt, że rozpoznałam ich obydwu. Jednym był Angus MacDonald, a drugim ten piękny dramaturg z Irlandii, Ryan O'Hare.

Schowałam walizkę pod łóżko, a fotografię wsunęłam do czarnego notesu, który z powrotem wsadziłam do torebki. Ryan O'Hare był przyjacielem Angusa MacDonalda oraz częstym gościem w barze O'Connorów. Co więcej, ostatnie zaszyfrowane zdanie w notesie Rileya brzmiało: *RO + LC razem OC*. Najwyraźniej powinnam przyjrzeć się temu niezwykłemu panu O'Hare!

Popołudnie spędziłam w bibliotece, czytając kolumnę towarzyską w najnowszych wydaniach „New York Timesa”. Ryan O'Hare okazał się rzeczywiście bardzo interesującą i barwną postacią. Dowiedziałam się, że kiedyś był pupilkiem angielskiej publiczności, ale potem podpadł jej satyrą na temat królowej Wiktorii i księcia Alberta. Nie użył w sztuce ich imion, ale zabawnie opisał w niej pewną parę: arcyksiężną i arcyksięcia fikcyjnego kraju w Europie Środkowej. Oczywiście wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Trudno nie zgadnąć, jeśli arcyksiężna domaga się pościeli w szkocką kratę i często powtarza: „W ogóle mnie to nie bawi”. Nawet najbardziej tępa publiczność wiedziała, o kogo chodzi. To, że sztuka była na dodatek wyjątkowo zabawna, tylko pogorszyło sytuację. Ryan musiał uciekać z Anglii i teraz nie jest tam mile widziany.

Od tego czasu zdążył już sobie wyrobić nazwisko w Nowym Jorku. Ale nie wyciągnął żadnych wniosków z angielskiej lekcji. Sztuki, które tu wystawiał, też były satyryczne. O nowym kraju wiedział już wystarczająco dużo, by komentować pewne zjawiska z ironią i sarkazmem.

Szczerze mówiąc, nie mogłam się wprost doczekać, kiedy go poznam. Nie byłam jeszcze pewna, w jaki sposób doprowadzić do spotkania, ale przynajmniej wiedziałam, gdzie zacząć. Oczywiście w barze O'Connorów! Postanowiłam, że będę regularnie odwiedzać to miejsce. Na samą myśl zrobiło mi się słabo. Samotne kobiety, które chodzą do barów, są traktowane jednoznacznie. Ale miałam też wrażenie, że w okolicy Greenwich Village panują inne zasady. Widziałam w barze damy, które wyglądały zupełnie normalnie, wcale nie jak kobiety lekkich obyczajów. Muszę ubrać się trochę inaczej niż zwykle, a będzie dobrze.

Uznałam, że nie ma co czekać. Jeszcze tego wieczoru się tam wybiorę! Miałam jednak wątpliwości, co na siebie włożyć. Skoro chcę zawrócić w głowie panu O'Hare, powinnam ubrać się ładnie i kobieco, ale jeśli mam się wmieszać w tłum i nie zwracać na siebie uwagi, chyba lepsze będzie artystyczne „byle co”. Zapamiętałam, że w barze wszystkie kobiety miały ciemne stroje, w poważnym, trochę jakby męskim stylu. Z tym jednak miałam pewien kłopot. W mojej garderobie brakowało czarnych ubrań. Pozbyłam się ich, ponieważ przez rok po śmierci mamy musiałam nosić żałobę. Doszłam więc do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie mój nowy kostium, mimo że ucierpiał nieco po ostatnim spacerze. Pod żakiet włożyłam białą koszulę, tę podarowaną Szelmie przez panią O'Hallaran, a do niej krawat, również ze sterty chłopięcych ubrań po synu gospodyni. Szelma nie będzie w najbliższym czasie potrzebował ani koszuli, ani krawata – pomyślałam. Trzeba zrobić użytek z tych rzeczy, bo jeśli choć na chwilę zostaną

w pokoju bez opieki, Nuala zabierze je dla któregoś ze swoich synów.

Jeśli chodzi o fryzurę, to zdecydowałam, że surowy kok nie będzie pasował ani do ubioru, ani do miejsca, i rozpuściłam włosy, delikatnie związując je z tyłu zieloną wstążką. Mogę wyglądać poważnie, ale należy zachować własny styl!

Wyszłam z domu około siódmej wieczorem. Czuję się wciąż trochę niepewnie, przestraszona tym, co może mnie spotkać. Dobrze, że przynajmniej znam właściciela baru – podniosłam się na duchu. Jeśli znajdę się w tarapatkach, będę mogła poprosić go o pomoc. Poszłam Czwartą Ulicą, a potem zgubiłam się w labiryncie wąskich uliczek i dopiero po dłuższym marszu znalazłam szeroką Greenwich Street i bar O'Connorów na rogu. W środku było jeszcze pusto i cicho. Zdałam sobie sprawę, że artyści zjawiają się tu pewnie trochę później, ale nie zamierzałam ryzykować i wracać przez Broadway nocą. Przyszłam tu tylko po to, żeby zrobić rekonesans.

Właściciel skinął głową na powitanie. Najwyraźniej mnie rozpoznał. Poprosiłam o napój imbirowy, bo nie byłam jeszcze tak odważna, by zamówić sobie piwo albo szklanekę wina. Wybrałam stolik w kącie sali. Obserwowałam bar i wolno popijałam napój, mając nadzieję, że starczy mi na cały wieczór. Mimo młodej godziny wewnątrz było dość zadymione; zaczęły mnie szczypać oczy. Obok siedziały dwie kobiety; z przerażeniem zauważyłam, że jedna z nich pali cygaro! Pożałowałam, że nie usiadłam po przeciwnej stronie sali, bo wtedy mogłabym się im przyglądać bez konieczności odwracania głowy raz po raz. Zerknęłam ponownie i zobaczyłam, że kobieta z cygarem ma włosy przycięte krótko na wysokości ucha i jest ubrana w czarny żakiet, który przypomina górę od męskiego smokingu.

Kiedy tak siedziałam i rozmyślałam nad tym, co widzę, z kuchni wypchnięto na środek sali bladego młodzieńca w fartuchu. Przez chwilę stał nieruchomo, chyba bardzo zawstydzony. Zaczęłam się zastanawiać, jakiego rodzaju występek mógł popełnić, lecz wtedy podszedł do niego właściciel i położył mu na ramieniu swoją wielką dłoń.

– Przedstawiam państwu Johnny'ego Masefielda. To jego ostatni dzień w pracy przed powrotem do domu, do Anglii. Na koszt firmy zapraszam cię, Johnny, na pożegnalną szklaneczkę.

Chłopak nieśmiało się uśmiechnął i poprosił o małe piwo.

– Piwo się nie nadaje – odparł właściciel. – Na rozłękę najlepsza jest whisky. Prawdziwa, najdroższa whisky dla Johnny'ego na mój koszt! Zatęsknisz za nią, chłopcze, w tym pogańskim kraju, gdzie ciągle pada deszcz.

Młodzieniec pociągnął łyk, wykrzywił się, a potem ku uciesze wszystkich gości wychylił szklanekę do dna.

– A co ty tam będziesz robił w tej Anglii, Johnny? – zapytał ktoś z sali.

– Ja wam powiem – odpowiedział właściciel, zanim chłopak zdołał otworzyć usta. – Zamierza pisać wiersze. Mówiłem mu już, że nikt jeszcze nie zbił fortuny na poezji, ale nie chce mnie słuchać.

– A ja widziałem kilka jego wierszy i muszę przyznać, że są całkiem dobre – powiedział inny mężczyzna. Wstał i podszedł do chłopaka; był pyzaty i potężny, ubrany oryginalnie w luźne spodnie i marynarkę, co sprawiało, że wyglądał na jeszcze większego niż w rzeczywistości. – Powodzenia,

Johnny. Trzymam kciuki, żeby stary George musiał odwołać to, co przed chwilą powiedział. Wznieśmy toast za Johnny'ego!

Kieliszki i szklanki poszły w górę.

– Szanowni państwo, pożegnajmy chłopaka serdecznie!

Wszyscy wstali ze swoich miejsc, więc ja również. Utworzyliśmy krąg; ktoś po prawej stronie objął mnie w talii, potem to samo zrobiła osoba po lewej. W końcu i ja nieśmiało wyciągnęłam rękę. Zaczęliśmy kołysać się i śpiewać na wiele głosów: „Pójść ma w niepamięć stary druh, wspomnienie zgasnąć w nas? Za dawny, bracie, czas, za dawny czas”<sup>[4]</sup>.

Tak wspaniale się czułam wśród tych wszystkich ludzi! Zrobiło mi się smutno, kiedy piosenka dobiegła końca. Właśnie miałam wrócić do stolika, kiedy usłyszałam:

– Widzę, że nie nosisz gorsetu. Czy to oznacza, że jesteś jedną z nas?

To była ta kobieta z cygarem. Uświadomiłam sobie, że właśnie jej ręka obejmowała mnie w talii.

– Nie bardzo wiem, co oznacza „jedna z nas” – odparłam. – Ale rzeczywiście nie noszę gorsetu i nie zamierzam go nigdy w życiu włożyć.

– Wspaniale – powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie. – W takim razie nie przestrzegasz zasad społecznych.

– Po prostu uważam, że to, w czym chodzę, nie powinno nikogo interesować. To wyłącznie moja sprawa.

Klasnęła w ręce i radośnie krzyknęła:

– Więc jednak jesteś jedną z nas! Proszę, przysiądź się do naszego stolika. Chyba że czekasz na swojego towarzysza.

– Nie, nie czekam na nikogo.

– Ach, więc również nienawidzisz mężczyzn! Jeszcze lepiej.

– Nie mogę powiedzieć, żebym nienawidziła mężczyzn – odparłam ostrożnie. – Ale istotnie ci, których ostatnio spotkałam, nie dali mi powodu, by ich lubić ani by im zaufać.

– Ładnie to ujęłaś. Chyba świetnie się dogadamy. Chodź, przedstawię cię Gus.

Pozwoliłam, by wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do swojego stolika.

– Poznaj nową interesującą dziewczynę, moja droga – powiedziała do koleżanki. – Usiądź z nami i powiedz nam, jak się nazywasz.

– Molly – odparłam. – Molly Murphy.

– Molly. Cóż za piękne imię! – wykrzyknęła osoba o imieniu Gus.

Nie mogłam oderwać od niej oczu! Była drobną kobietą o ślicznej twarzy otoczonej niesfornymi lokami. Miała na sobie prostą czarną sukienkę, ozdobioną jedynie egzotycznym szalem zarzuconym niedbale na jedno ramię.

– Czyżbym była odrażająca, że wpatrujesz się we mnie, panno Murphy, tak intensywnie? – zapytała.

Głos miała surowy, ale w jej oczach pobłyskiwały radosne iskierki.

– Najmocniej przepraszam – wyjąkałam. – Po prostu kiedy usłyszałam imię Gus, spodziewałam się...

– Otrzymałam na chrzcie imiona Augusta Mary. Pochodzę z rodziny Walcottów z Bostonu – odparła ze śmiechem. – To Sid nazwała mnie Gus.

– Sid? – Zerknęłam na drugą kobietę, tę w smokingowym żakiecie.

– Tak, Sid-Jid. – Uśmiechnęła się szelmowsko, widząc moje zdziwienie. – Parę lat temu wydawano komiks, w którym występowała młoda Żydówka Sid-Jid. Postanowiłam przyjąć to imię, by kiedy się przedstawię, od razu było wiadomo, jakie mam pochodzenie. Wprawdzie nie zostałam ochrzczona, ale rodzice nazwali mnie Elena Miriam Hepsibah, więc, jak widzisz, imię Sid to duża zmiana. – Rozłożyła szeroko ramiona i dodała: – Jesteśmy Sid i Gus, kobiety zadowolone z życia.

Spoglądałam to na jedną, to na drugą. Obie uśmiechały się do mnie szeroko i szczerze, patrząc tak, jak patrzy się na przyjaciela. Po raz pierwszy w życiu odjęło mi mowę. Wychowałam się w małej wiosce na zachodnim wybrzeżu Irlandii i miałam niewielkie pojęcie o relacjach, jakie łączą ludzi poza rodzinnym gronem. Zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak się zachowywać w towarzystwie tych kobiet.

– Przepraszam was najmocniej, jestem tu zupełnie nowa – powiedziałam. – Dopiero co przyjechałam z Irlandii, gdzie...

– Nienoszenie gorsetu to poważny grzech – zaśmiała się Sid. – Właśnie dlatego lubimy Amerykę. Tutaj nie trzeba przejmować się konwenansami. Pozwól, że powiem ci, czym się zajmujemy. Ja piszę skandalizujące artykuły na temat praw kobiet, a Gus jest malarką.

– Staram się być malarką – poprawiła przyjaciółkę Gus.

– Nie bądź taka skromna. Dobrze wiesz, że twoje obrazy są świetne.

– Mówisz tak dlatego, że to są moje obrazy – odrzekła Gus.

Uśmiechnęły się do siebie.

– A ciebie co sprowadza do Village? – zapytały.

Ani miejsce, ani czas, by opowiadać im o prawdziwych motywach – pomyślałam.

– Pragnę zostać pisarką.

Bezpieczna strategia. Gdybym powiedziała, że malarką, pewnie chciałyby zobaczyć moje prace.

– A co konkretnie zamierzasz pisać? – Obydwie pochyliły się w moją stronę.

Zastanowiłam się szybko.

– Przede wszystkim poezję. Ale też chętnie spróbowałabym swoich sił w pisaniu dramatów – odparłam, specjalnie nawiązując do Ryana O’Hare.

– Poezja. Uwielbiam poezję – westchnęła Gus. – Będziesz nam musiała przeczytać jakieś fragmenty.

– Nie występowałam jeszcze przed publicznością – powiedziałam pospiesznie. – Muszę popracować nad swoimi wierszami, zanim je pokażę.

– Wcale nie. Poezja musi być naturalna i świeża. Surowa. Taką lubię najbardziej. – Sid pstryknęła

palcami, kiedy przechodził koło nas barman. – George, przynieś nam jeszcze po jednym, prosimy. Molly, czego się napijesz?

Nie chciałam przy nich zamawiać piwa imbirowego.

– A co wy pijecie? – zapytałam.

– U O’Connorów zamawia się wyłącznie guinnessa! – zawołała Sid. – W Rzymie najlepsze jest wino Marsala, u O’Connorów piwo Guinness.

Jako dziecko raz czy dwa spróbowałam guinnessa; nie smakował mi, ale nie byłam na tyle głupia, by teraz zamówić coś innego.

– Dla mnie też guinness.

– Gdzie się zatrzymałaś, Molly? Już znalazłaś sobie jakiś pokój?

– Dzielę z pewną rodziną mieszkanie na poddaszu przy Czwartej Wschodniej – odparłam. – Ale nie jestem zadowolona. Powoli przejmują całe moje życie. To najbardziej hałaśliwa irlandzka rodzina na świecie. Dzisiaj po południu nawet we własnym łóżku miałam niepowołanych gości.

– A to interesujące. Jakiej płci? – zapytała Gus. Kiedy zakładała nogę na nogę, zauważyłam, że nosi męskie spodnie.

– Różnej – zaśmiałam się, lekko zażenowana. – Małżeństwo. Po prostu spali w moim łóżku, nic więcej. Ale dlaczego akurat u mnie? To irytujące!

– Wcale się nie dziwię, że jesteś zła – oznajmiła Sid, a potem zwróciła się do Gus: – Jak ma pisać, skoro nie może liczyć na odrobinę spokoju?

Znowu popatrzyły na siebie porozumiewawczo, ale nie potrafiłam odczytać znaczenia ich spojrzeń.

– Molly – odezwała się Gus. – Prosimy, odwiedź nas jutro. Mieszkamy w takim niepozornym domku przy Jefferson Market. Wiesz, gdzie to jest?

– Chyba tak – odparłam.

– Z łatwością znajdziesz nasz dom. Stoi przy uliczce na tyłach targu – wyjaśniła. – Możesz przyjść, kiedy zechcesz. Rano nigdzie nie wychodzimy. Sid nie wstaje zbyt wcześnie.

– Nie jestem rannym ptaszkiem, tak to można ująć. Swego czasu prawie wyrzucili mnie z Vassar<sup>[5]</sup>, bo nigdy nie mogłam zdążyć na pierwszą lekcję.

– Potem na szczęście spotkała mnie, a ja postawiłam sobie za punkt honoru wyciągać ją z łóżka – dodała Gus. – Ma wobec mnie dług wdzięczności za to, że skończyła Vassar z całkiem dobrymi wynikami.

Nie wiedziałam, co to Vassar, ale nie zamierzałam się z tym zdradzać, by nie pokazać własnej ignorancji.

– Poznałyście się, pobierając nauki w Vassar, tak? – zapytałam, podejrzewając, że to jakaś szkoła.

Kiwnęły głowami.

– Znasz Vassar? – zapytała Sid. – Dobrze się tam bawiłyśmy. Naprawdę raj na ziemi, pomijając te wykłady o dziwnych porach. To szczególne miejsce. Wyobraź sobie, że studiują tam kobiety, które

postanowiły wykorzystać podarowaną im przez Boga inteligencję. Wykładowcy natomiast przekazują im coś więcej niż tylko informacje o inhalacjach zdrowotnych i najnowszych ściegach krawieckich.

– Moi rodzice byli strasznie zawiedzeni – wtrąciła Gus. – Myśleli, że Vassar to doskonałe miejsce, by zdobyć wykształcenie i przeczekać tych parę lat, kiedy jeszcze jest za wcześnie na małżeństwo.

– Ale się rozczarowali. Niestety, na swojej drodze spotkała takiego dziwoląga jak ja – oznajmiła Sid. – I już nigdy nie wróciła do domu.

– Ani nie znalazła odpowiedniego męża – dodała Gus.

– Na to z pewnością jeszcze przyjdzie czas – zauważyłam.

Znów wymieniły spojrzenia, których nie zrozumiałam.

– A ty, Molly, gdzie się uczyłaś? – zapytała Gus.

– Śmierć mamy przerwała moją edukację – odparłam.

– Powinnaś w takim razie nadrobić straty. – Gus popatrzyła na Sid, jakby szukała u niej potwierdzenia.

– Jesteś we właściwym miejscu. Wystarczy się tylko tutaj pokręcić, a od razu spotkasz intelektualistów, malarzy i pisarzy. Tych najbardziej znanych. Każdy z nich prędzej czy później przewinie się przez Village.

– Bardzo bym chciała poznać Ryana O’Hare – zaryzykowałam. – Chyba często tu przychodzi. Znacnie go?

– Wszyscy znają Ryana – odrzekła Sid. – I na odwrót: Ryan zna wszystkich.

– Jaki on jest?

– Potrafi cię rozbawić do łez albo doprowadzić do szału. Wspaniały kompan, ale zupełnie nie można na nim polegać.

– Jest jak duże dziecko – dopowiedziała Gus. – Bawi się jedną zabawką, a potem ją zostawia, bo znalazł lepszą. Ale Sid ma rację, jest bardzo zabawny. Nikt cię nie rozśmieszy tak jak Ryan.

– Rozumiem, że często przychodzi do baru – ciągnęłam. – Czy myślicie, że może się tu pojawić również dziś wieczorem?

– Kto wie... – westchnęła Sid. – On nigdy niczego nie planuje, więc trudno przewidzieć.

– Mieszka w Village?

– Ma swój pokój w hotelu Lafayette przy University Place – zaczęła Gus.

Sid skończyła za nią:

– Czasem się zdarza, że śpi we własnym łóżku.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Nie byłam przyzwyczajona do rozmów o sprawach, które stanowią pewne tabu. Tak bardzo chciałabym nauczyć się sztuki swobodnej konwersacji! Wydawało się, że Gus i Sid są w stanie rozmawiać na każdy temat i nic ich nie zawstydza. Jeżeli zamierzam być detektywem, muszę pozbyć się onieśmienia i przyswoić sobie parę zasad, które rządzą tym światem.

– Czy teraz jest z kimś związany?

– Trudno powiedzieć. Żaden jego związek nie trwa długo – powiedziała wesoło Gus. – Tak jak już mówiłam, Ryan to mały chłopiec, który ciągle szuka nowych doznań.

Sid wyciągnęła cygaro i profesjonalnie ucięła jego koniec.

– Ale słyszałam, że w końcu zabrał się porządnie do pracy. Powiedział wczoraj Lenniemu i Hodderowi, że mają mu nie przeszkadzać.

– Premiera już za miesiąc – zaśmiała się Gus. – Trudno sobie wyobrazić, że odbędzie się bez ostatniego aktu.

– Ryan twierdzi, że najlepiej mu się pisze pod presją czasu, ale założę się, że dłużej niż na dzień lub dwa nie potrafi narzucić sobie dyscypliny. Najpóźniej w środę tu przyjdzie i jak zawsze będzie naciągał wszystkich na alkohol i papierosy.

– À propos, gdzie moje maniery? – powiedziała Gus, wyciągając z torebki srebrną papierośnicę. – Palisz, Molly? Poczęstuj się, proszę. Tureckie, wspaniałe!

Wzięłam cienkiego brązowego papierosa i wsadziłam do ust, a Gus podała mi ogień. Potem zaciągnęłam się i poczułam gorzki smak dymu. Ledwo powstrzymałam kaszel.

– Doskonały – powiedziałam.

Uśmiechnęły się szeroko, zupełnie jak rodzice, którzy właśnie sprawili dziecku niespodziankę.

Nie minął wieczór, a zdążyłam wypalić dwa papierosy, wypić prawie litr piwa i poznać przyjaciół Gus i Sid, między innymi tego pyzatego mężczyznę w luźnym ubraniu. Miał na imię Lennie i był malarzem. Przedstawiono mi również Rosjanina o imieniu Wład, mówiącego po angielsku z silnym wschodnim akcentem, oraz gadatliwego pisarza, którego imienia nie zapamiętałam.

Po powrocie do domu czułam się osłabiona, ale bardzo podekscytowana. Miałam wrażenie, że ktoś otworzył przede mną drzwi do świata, o którego istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia. Świata bez zbędnych konwenansów, jak to określiła Sid. Kiedy przed zaśnięciem przywoływałam w pamięci chwile spędzone w barze O’Connorów, stwierdziłam, że był to jeden z najmielszych wieczorów w moim życiu. Trudno sobie wyobrazić, że właśnie tam Paddy usłyszał coś, co go tak bardzo zdenerwowało, a być może również doprowadziło do jego śmierci.



Następnego ranka, o godzinie, którą uznałam za stosowną, stanęłam pod drzwiami domu przy Patchin Place numer 9. Zdziwiłam się, że Sid i Gus mieszkają w tak ustronnym miejscu, z dala od zgiełku miasta. Uliczka była wąska, cicha i pusta. Za ogrodzeniem rosły drzewa rzucające przyjemny cień na chodniki. Niektóre domy miały żaluzje w oknach. Panował tu europejski klimat. Numer 9 ozdabiały ustawione po dwóch stronach wejścia donice z krzewami wawrzynu; w oknach kwitły petunie. Nacisnęłam dzwonek. Drzwi otworzyła Sid w jedwabnym szlafroku i kapciach.

– Tak mi przykro! – krzyknęłam. – Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

– Ależ skąd! Nie śpię prawie od wschodu słońca albo przynajmniej od dziewiątej rano.

– Rozumiem. Kiedy zobaczyłam twój szlafrok, przestraszyłam się...

Sid się roześmiała.

– Zawsze w nim chodzę po domu. Uważam, że ubrania to głupi wymysł. Są po prostu niewygodne! Żałuję, że nie możemy biegać na golasa tak jak zwierzęta. Oszczędziłoby to nam sporo kłopotów!

– Ale tylko w lecie – zauważyłam.

– Masz rację, w Nowym Jorku zimy bywają nieprzyjemne, choć wystarczyłoby porządne futro i grube buty. Indianie nie potrzebują niczego więcej i są zawsze bardzo zdrowi.

Popatrzyłam na nią z uśmiechem.

– To świetny pomysł, który bardzo ułatwiłby mi życie. Mam niewiele ubrań, które można nosić w mieście.

– Gus chętnie ci coś odda – odparła Sid, prowadząc mnie jasnym korytarzem aż do ostatnich drzwi.

Weszliśmy do pomieszczenia, które musiało być kiedyś kuchnią. Po prawej stronie znajdował się piecyk i zlew. Zewnętrzna ściana została zlikwidowana, a szklana dobudówka zamieniła pokój w przyjemną oranżerię z krzewami i kwiatami w doniczkach. Siedziała tam Gus w wiklinowym fotelu i czytała „New York Timesa”. Miała na sobie szlafrok z jaskrawofioletowej satyny.

– Przyszła, tak jak obiecała – oznajmiła Sid przyjaciółce i wskazała mi krzesło. – Przyniosę więcej kawy. To biedne dziecko skarży się, że nie ma co na siebie włożyć. Możemy jej coś podarować, prawda, Gus?

Poczułam, jak rumienię się ze wstydu.

– Nie, przecież nie mogłabym... – powiedziałam.

Gus się zaśmiała.

– Droga Molly. Na górze mam szafę pełną ubrań, których w ogóle nie noszę. Rodzice zadbali o moją garderobę. Myśleli, że będę prowadziła życie towarzyskie w ich stylu. Kiedy tu przyjechałam,

postanowiłam nie ubierać się jak słodkie dziewczę. Chcę czuć się dobrze w tym, co mam na sobie. Proszę, weź to, co ci się spodoba, bo przysięgam, ja już nigdy tych rzeczy nie włożę. Niektóre z nich nawet tobie mogą się wydać zbyt cukierkowe.

Znowu nie byłam pewna, jak zareagować. Usiadłam wygodnie.

– Prześlicznie tutaj. Nie wiedziałam, że w centrum miasta może być tak spokojnie i zielono.

– Dlatego zakochałyśmy się w tym miejscu. Tam, gdzie się wychowałam, był wielki ogród.

– Nie mogła żyć bez swoich kwiatów i krzewów – dodała Sid, wnosząc tacę z dzbankiem i filiżankami. – Więc nalegałam, by kupiła właśnie ten dom.

– Jest wasz? – spytałam i od razu pożałowałam swojej śmiałości. To zdanie po prostu mi się wypnęło.

Ale Gus nie wyglądała na obrażoną.

– Miałam szczęście, że moja babcia była osobą o wielkim sercu – odparła. – Kiedy rodzice mnie wydziedziczyli, przyszła mi z pomocą i zostawiła spory spadek.

– Dlaczego rodzice cię wydziedziczyli?

Popatrzyła zdziwiona.

– Nie zaakceptowali mojego stylu życia.

– A co złego w tym, że chcesz być malarką i że jesteś niezależna? – odparłam.

– Dla mnie nic. Ale w ich kręgach jest tylko jedna droga, którą powinny obrać młode dziewczęta: małżeństwo z odpowiednio zamożnym kandydatem.

– Jej rodzina mnie nie akceptuje, to też ma znaczenie – dodała Sid, nalewając do maleńkich filiżanek gęsty ciemny napar. – Mam nadzieję, że lubisz kawę po turecku? W zeszłym roku byłyśmy niesłychanie zafascynowane Turcją. Przez chwilę nosiłyśmy nawet szarawary i paliłyśmy fajkę wodną. Teraz jesteśmy uzależnione tylko od tej kawy, no i oczywiście od papierosów.

Wzięłam małe naczynko. Kawa była prawie tak gęsta jak krem, a przez to bardzo mocna. Nie sądzę, bym kiedykolwiek mogła się od niej uzależnić, ale po pierwszym łyku zdobyłam się na promienny uśmiech.

– Jadłaś już śniadanie? – zapytała Gus i wskazała koszyk z pieczywem. – Najlepsza piekarnia w mieście dostarcza nam codziennie rano te cuda.

Wzięłam chrupiącą bułeczkę, posmarowałam ją masłem i dżemem morelowym. Od razu zniknął gorzki smak kawy w ustach.

– A teraz musisz wszystko obejrzeć – powiedziała Sid i wzięła Gus pod ramię. – Wstawaj, leniwa dziewczyno. Jesteś panią domu, więc to ty powinnaś pełnić tu honory.

– Przyjaciółko moja – odparła Gus, podnosząc się z fotela. – Kiedy wreszcie zrozumiesz, że ten dom należy tak samo do mnie, jak i do ciebie?

– Został kupiony za twoje pieniądze. No dalej, zaczynaj oprowadzanie.

Gus z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Jesteś cholernie uparta – mruknęła pod nosem i poprowadziła nas korytarzem.

Zdążyłam już przyzwyczać się do tego, jak mieszkają nowojorczyki. Zwiedziłam wiele wnętrz – byłam w slumsach, w wytwornej kamienicy, w okazałym pałacu oraz w mieszkaniu kawalera. Ale czegoś podobnego jeszcze nie widziałam. Wszystkie znane mi miejsca były umeblowane dość klasycznie. Dom przy Patchin Place wyglądał zupełnie inaczej. W salonie było kilka niskich stolików, a na podłodze leżały tureckie dywany i dużo aksamitnych poduszek. W jednym kącie stała wprawdzie kanapa, ale nie wyglądała na używaną i trochę tu nie pasowała.

– Ten pokój to pamiątka po naszej tureckiej fascynacji – wyjaśniła Gus. – Spodobały się nam te siedziska na podłodze i postanowiłyśmy to tak zostawić.

Jadalnia miała bardziej klasyczny wystrój. Jediną oryginalną ozdobą była wielka rzeźba chińskiej bogini i nowoczesne obrazy na ścianach.

– To ostatnie dzieła Gus. Czyż nie są wspaniałe? – zapytała Sid.

Jeden z obrazów przedstawiał chyba kobietę z psem, ale nie byłam pewna.

– Bardzo interesujące – powiedziałam uprzejmie.

Weszłyśmy na górę. Gus i Sid poprowadziły mnie do pokoju, w którym królowało wielkie łóżko z baldachimem i stosem poduszek. Ściany ozdobiono fioletowym aksamitem i amorkami. To była najbardziej dziwaczna sypialnia, jaką kiedykolwiek widziałam, więc o mały włos nie krzyknęłam: „Jezusie, Maryjo i Józefie święty!”

Pozostałe pokoje na piętrze wyglądały zupełnie normalnie – gabinet z półkami pełnymi książek, jeszcze jeden dosyć zwyczajny pokój oraz łazienka z ogromną wanną. Tak wielką wannę zobaczyłam pierwszy raz w życiu!

– Uwielbiam pracować podczas kąpieli – oznajmiła Sid, jakby nie było w tym niczego nadzwyczajnego.

Potem poprowadziły mnie na kolejne piętro, gdzie były już tylko dwa pokoje. Ten we frontowej części domu okazał się pracownią malarską, z surową podłogą i sztalugą, na której stał niedokończony obraz. Drugi, z oknem wychodzącym na ogród, był graciarnią pełną starych mebli i kartonów.

– Jaka szkoda, że nie używacie tego pokoju! Stąd jest najlepszy widok!

– Ciągłe sobie powtarzamy, że coś z tym pomieszczeniem trzeba zrobić, ale jesteśmy za bardzo leniwe – powiedziała Gus. – Poza tym, jak widzisz, trzymamy tu niepotrzebne rzeczy.

– Tak naprawdę przydałby się jakiś impuls, który by nas skłonił do uprzątnięcia tego bałaganu – oświadczyła Sid, patrząc na mnie uważnie. – A jeśli chciałabyś nam pomóc...

– Z przyjemnością pomogę – odparłam szybko.

Podniosła rękę.

– Nie dałaś mi dokończyć zdania. Chciałam powiedzieć, że jeśli nam pomożesz, chętnie ci ten pokój odstąpimy.

– Odstąpicie?

Gus zaśmiała się, widząc zdziwienie na mojej twarzy.

– Tak, chcemy, żebyś z nami zamieszkała.

– Przecież nie mogę was zmuszać...

– Do niczego nas nie zmuszasz – powiedziała Sid. – W nocy omówiliśmy to wszystko szczegółowo.

Bardzo cię polubiłyśmy. Ty potrzebujesz spokojnego miejsca, a u nas jest wolny pokój, którego nie używamy. Trzeba go tylko posprzątać. Przecież nie jest nam potrzebny.

– Przykro mi, ale nie mam teraz regularnych dochodów, więc nie stać mnie na czynsz, którego pewnie oczekujecie.

– Czy ktoś mówił coś o czynszu? – zapytała Gus. – Przyniesiesz nam od czasu do czasu butelkę chianti i będziemy zadowolone.

– Nie, nie mogę – zaprotestowałam już nieco ciszej niż poprzednio.

– Popatrz na to z innej strony – zaproponowała Gus. – Szukamy pretekstu, by wysprzątać ten pokój. Czy jest jakiś lepszy powód niż pomoc koleżance, która chce zamieszkać w Village?

– Możemy chociaż spróbować – dodała Sid. – Jeśli taki układ się nie sprawdzi, zawsze będziesz mogła poszukać sobie innego miejsca.

– Macie wielkie serca. – Okropnie się zarumieniłam. – To oczywiste, że bardzo bym chciała tutaj zamieszkać! Własny pokój bez intruzów? Nawet nie wiecie, jaka to będzie dla mnie ulga!

Sid i Gus znów popatrzyły na mnie z rodzicielską czułością.

– Wspaniale. W takim razie możemy zacząć sprzątać nawet dziś, a swoje rzeczy przyniesiesz tutaj, jak tylko skończymy.

I tak, nim minął tydzień, pożegnałam Seamusa, Nualę oraz panią O'Hallaran i wprowadziłam się do własnego prywatnego rajku.

Nuala nie potrafiła ukryć zadowolenia.

– A idź sobie do kochasia – powiedziała mi na odchodne.

– Mylisz się. Będę mieszkała z dwiema prawdziwymi damami, którym nawet do głowy nie przyjdzie, żeby bez pukania wchodzić do czyjegoś pokoju. Poza tym jestem szczęśliwa, że już nikt nie będzie grzebał w moich rzeczach – dodałam, patrząc jej prosto w oczy.

Martwiłam się jednak, że Bridie i Szelma zostają w tej okropnej rodzinie. Umówiłam się z dziećmi, że niedługo przyjdą mnie odwiedzić. Seamus natomiast musiał mi obiecać, że jeśli tylko będę potrzebna, wyśle do mnie któregoś z chłopców. Uspokoiliam w ten sposób wyrzuty sumienia i wyruszyłam w nieznaną. Poza tym – po raz kolejny upomniałam sama siebie – nie jestem dla tych dzieci nawet krewną.

Uwiłam sobie przytulne gniazdko, umeblowawszy pokój nielicznymi przedmiotami, które do mnie należały, oraz podarunkami od Sid i Gus – lampą na nóżce w kształcie nagiej kobiety, draperiami z aksamitu i wieszakiem z zakrzywionej gałęzi. Gus namówiła mnie w końcu, bym wybrała sobie coś z szafy w drugiej sypialni. Znalazłam tam piękne ubrania! Wzięłam mnóstwo rzeczy, ale nie mogłam

okazywać entuzjazmu, bo najwyraźniej Gus i Sid nienawidziły takiego stylu. Gdybym kiedykolwiek spotkała pannę Arabellę Norton, wyglądałybyśmy jak kobiety o równym statusie społecznym.

Właśnie zaniósłam wszystko na górę i usiadłam, by odpocząć przez chwilę w oranżerii, kiedy z przerażeniem uświadomiłam sobie, że przez ostatnie kilka dni nie zrobiłam nic w sprawie Paddy'ego. Oczywiście czekałam na chwilę, kiedy zostanę przedstawiona Ryanowi O'Hare, ale przecież były w śledztwie jeszcze inne wątki, którymi mogłam się zająć. Przebywanie w tym miłym miejscu przytępiło trochę moje zmysły. W ogóle nie miałam ochoty wychodzić z nowego domu. W następnym tygodniu – obiecałam sobie – będę zajmować się tylko i wyłącznie sprawami służbowymi.

Ledwie zdążyłam wypowiedzieć w myślach te słowa, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi. Poczekalam chwilę, a potem przypomniałam sobie, że Sid i Gus nie wróciły jeszcze z targu. Chodziły tam codziennie rano, by przynosić naręcza kwiatów i koszyki pełne egzotycznych owoców. Wstałam i pobiegłam otworzyć.

Przede mną stał piękny Ryan O'Hare. Był równie zdziwiony jak ja.

– Nie jesteś ani Sid, ani Gus. Proszę, nie mów mi tylko, że trafiłem pod zły adres. – Rozejrzał się dokoła. – Nie... poznaję te rośliny w doniczkach. Nie wyglądasz na służącą. W takim razie kim jesteś i co z nimi zrobiłaś?

– Są... są na targu – wyjąkałam. – Mam na imię Molly, jestem ich gościem.

– Na to nie wpadłem – odrzekł z uśmiechem. – Zaraz umrę, jeśli nie dostanę tej wspaniałej kawy po turecku.

– Pewnie za chwilę wrócą – powiedziałam. – Proszę wejść i poczekać.

– Czemu nie? W towarzystwie młodej i miłej osoby? Zawsze! Tak przy okazji mam na imię Ryan i już cię gdzieś widziałem.

– W barze O'Connorów – przypomniałam mu. – Mrugnąłeś do mnie.

– A ty się zaczerwieniłaś. I to było czarujące. Prowadź, Molly.

Otworzyłam szerzej drzwi i wpuściłam go do środka.

– Pewnie nie potrafisz zrobić kawy po turecku? – zapytał, kiedy szliśmy korytarzem w kierunku oranżerii.

– Niestety, nie.

– W takim razie znajdź mi coś do jedzenia, bo konam z głodu. – Uśmiechnął się przymilnie. Jego twarz pojaśniała, a ciemne oczy zabłyśły.

– Zostały bułki ze śniadania – zaproponowałam. – Mogę przynieść masło i dżem, jeśli to wystarczy.

Poszłam do kuchni i wróciłam z tacą. Kiedy ją postawiłam na stole, ujął moją dłoń w swoje ręce i pocałował.

– Jesteś aniołem – powiedział. – Do końca życia unizony sługa.

Dlaczego zawsze w takich sytuacjach oblewam się rumieńcem? Kiedy wreszcie nauczę się zachowywać jak dorosła osoba, a nie pensjonarka?

– Wiedziałem, że nakarmię mnie tutaj i napoją – kontynuował. – Nie wychodziłem z domu przez cały tydzień. Próbowałem skończyć tę cholerną sztukę. Prawie nie jadłem i nie piłem. Prawdę mówiąc, gdyby nie Lennie, który przyniósł mi wczoraj wieczorem kanapkę z szynką, byłoby za późno. W hotelowym pokoju znaleziono by na podłodze tylko moje kości.

Był taki zabawny! Smutna mina, którą przybrał, wygłaszając ostatnią kwestię, po chwili zmieniła się w czarujący uśmiech.

– A teraz opowiedz mi o sobie, Molly. Chyba jesteś z moich stron... Jezusie, Maryjo i Józefie święty?

Śmiejąc się, opowiedziałam mu, że niedawno przyjechałam z hrabstwa Mayo.

– I wybrałaś jedyne sensowne miejsce w Nowym Jorku – dokończył za mnie. – W innych dzielnicach tego miasta mieszkają pozbawieni wyobraźni nudziarze, którzy nie potrafią odróżnić dobrej sztuki od szmiry. Wystarczy pokazać parę ładnych nóg, rzucić kilka marnych dowcipów, a już okrzykną twoją sztukę wydarzeniem. Ale jeśli zaprezentujesz im coś subtelnego, coś, co zgłębia naturę ludzką, zaraz powiedzą, że to nudne, i zaproponują, by w drugim akcie dla ożywienia odbyła się parada bawołów.

Pochylił się w swoim wiklinowym fotelu i zaczął uważnie mi się przyglądać.

– Piękne włosy – powiedział, a potem wyciągnął rękę i dotknął kosmyka. – Kolor ognia. Niebezpieczny. Czy trzeba się ciebie bać, panno Molly?

– Niech boją się ci, którzy mnie zdradzili.

– Aha, w takim razie lepiej od razu zapewnię cię o swoim dozgonnym przywiązaniu. Powiedz mi teraz, Molly, czym się zajmujesz. A może jesteś istotą niepracującą?

– Mam zamiar się zająć pisaniem – odparłam.

Bardzo chciałam dodać, że obecnie angażuję się w rozwiązywanie zagadki zabójstwa drogiego przyjaciela, który był detektywem, ale w ostatniej chwili straciłam śmiałość. Przestraszyłam się, choć trudno było wyobrazić sobie tego pięknego mężczyznę, jak wymachując nożem, zadaje śmiertelny cios.

– Jak tylko na ciebie spojrzałem, wiedziałem, że coś nas łączy. – Nie spuszczał ze mnie wzroku. – Rodaczka, a na dodatek również pisarka. Nasze ścieżki musiały się kiedyś przeciąć. To było zapisane w gwiazdach. – Odgryzł kolejny kęs bułki i strzepnął okruchy z czarnej aksamitnej marynarki. – A czy w twoim życiu, Molly, jest jakaś wielka miłość?

– Nie ma – odrzekłam i zachęcona jego bezpośredniością zapytałam: – A w twoim?

– Też nie. Jak mawiają Francuzi, jestem pomiędzy romansami. Niestety, jeśli o mnie chodzi, nigdy długo nie trwają. Już tak mam, że zakochuję się bez pamięci, a następnie po tygodniu umieram z nudy. Oczywiście kiedy w końcu spotkam prawdziwe uczucie, będzie inaczej.

– A ja w ogóle zaczynam się zastanawiać, czy prawdziwe uczucie jest możliwe – powiedziałam.

– Taki cynizm u pięknej, młodej dziewczyny? Żyję dłużej niż ty na tym świecie, a mimo to wciąż ufam, że kiedyś odnajdę swoją drugą połowę.

Zmartwiłam się, słysząc głosy w korytarzu. Do pokoju weszły Sid i Gus.

– A nie mówiłam?! – zawołała Sid. – Wiedziałam, że wytrzyma tylko parę dni, a potem znowu

przyjdzie do nas zebrać o jedzenie.

Ryan zwrócił na nią oczy zbitego psa.

– Musisz wiedzieć, że w tym tygodniu pracowałem dzień i noc. Napisałem całe dwadzieścia pięć stron, nawet nie robiąc przerw na jedzenie i picie, aż znalazłem się na skraju wyczerpania.

– Te wasze irlandzkie gadki! – zachichotała Sid. – Właśnie spotkałam Lenniego i powiedział mi, że przynosił ci brandy i kanapki.

– Alkohol to co innego – odparł Ryan. – Są pewne rzeczy, bez których życie nie ma sensu.

– Widzę, że poznałeś już naszą Molly – zauważyła Gus. – Mam nadzieję, że nie zdążyłeś jej jeszcze zepsuć.

– Oczywiście, że nie. Prawda, Molly, że zachowywałem się porządnie, jak prawdziwy dżentelmen?

– Ależ oczywiście – przyznałam. – A na dodatek czarująco.

– Zawsze jestem czarujący. – Ryan uśmiechnął się szeroko. – Nawet Sid i Gus, te kobiety o sercach z kamienia, nie są w stanie mi się oprzeć.

Miał rację. Wydawało się, że marudzą i zrzedzą, ale tak naprawdę uwijały się wokół niego nie mniej niż ja. A wieczorem, kiedy w końcu wyszedł, poczułam, że jestem w Ryaniu O'Hare odrobinę zakochana.

W niedzielny ranek Gus i Sid poinformowały mnie, że tego dnia chodzą zawsze na kawę i ciastka do cukierni Fleishmana na Broadwayu. Stwierdziły również, iż w niedzielę nie ma nic lepszego do roboty. Proboszcz w Ballykillin miałby pewnie w tej kwestii odmienne zdanie, ale nie zamierzałam się kłócić. Sama od dawna nie byłam w kościele, bo nie musiałam już pilnować, by Seamus i jego siostra brali udział we mszy świętej. Wreszcie przestałam się przejmować opinią, że nieobecność na niedzielnym nabożeństwie to ciężki grzech.

Idąc ramię w ramię, przecięłyśmy Washington Square, minęłyśmy wymarłe budynki uniwersytetu, a następnie weszłyśmy na Broadway.

Cukiernia Fleishmana kipiała życiem. Pełno w niej było modnie ubranych mieszkańców Nowego Jorku oraz artystów z Village. Spory tłumek czekał w kolejce.

– Nie rozumiem. Miejsce tych wszystkich ludzi jest teraz w kościele – zażartowała Gus. – Nie możemy dopuścić, by nowojorczyki tak lekceważąco traktowali religię. Którejś niedzieli nie będziemy miały gdzie usiąść!

Sid wpatrywała się w tłum przed nami.

– Poczekajcie, widzę w rogu Lenniego. Może ściśniemy się przy jednym stoliku?

Utorowała nam drogę. Razem z Lenniem siedziało jeszcze trzech innych młodych mężczyzn, w tym Ryan.

– Z pewnością znajdzie się tu miejsce dla szczupłych dam – powiedziała Sid. – W tej długiej kolejce możemy zemdleć.

Mężczyźni wstali.

– Sid, kochanie, przecież ty nie mdlejesz – zauważył Ryan i pocałował ją w policzek.

Poczułam się zazdrosna.

– Ja nie, natomiast Gus i Molly wychowywały się w mniej surowych warunkach i potrafią mdleć na zawołanie.

Sid usiadła na krześle, które Lennie przyniósł z głębi sali. Pozostali mężczyźni próbowali znaleźć coś do siedzenia dla mnie i dla Gus.

– Chyba się nie znamy – powiedział blady chłopak o nieśmiałym spojrzeniu.

– Nie poznałeś jeszcze naszej słodkiej Molly? – zapytał Ryan. – W takim razie pozwólcie, że dokonam prezentacji. Molly, ci zepsuci mężczyźni to po kolei: Lennie, którego już znasz, Hodder i Dante. Dante właśnie wrócił z Paryża i opowiada nam, jak wyglądają tamtejsze kawiarnie. To straszne, że nie ma podobnych w Nowym Jorku! Na dodatek, wyobraź sobie, jadł kolację z Monetem. Niezwykłe, prawda?

– I z Matisse'em – dodał chłopak z uśmiechem. – To nowy talent. Jego obrazy są niesamowite. Te



kolory i kształty! Chcę malować tak jak on!

– Powiedz mi, Ryan, czy to, że jesteś tu teraz z nami, oznacza, iż skończyłeś ostatni akt swojej sztuki? – zapytała Gus. Usiadła obok niego na krześle i objęła go ramieniem. – Przysięgałeś, że nie wyjdiesz z hotelu, dopóki nie skończysz pisać. Dobrze pamiętam?

– Od czasu do czasu trzeba przecież coś zjeść. Nawet geniusze bywają głodni – odparł Ryan. – Ale już widzę światelko w tunelu. Będiesz pierwszą osobą, która się dowie, że napisałem to ostatnie magiczne zdanie: „Kurtyna opada, a zachwycona publiczność bije brawo”.

– Miejmy nadzieję – wtrącił Lennie.

– Mam mnóstwo przyjaciół! Wszyscy przyjdą na premierę – powiedział Ryan. – Jestem pewien, że będą bić brawo, jeśli ich o to poproszę.

Cudownie się czułam w tej radosnej, roześmianej grupie. Kusiło mnie, by zapomnieć o planach dotyczących kariery w firmie P. Riley i Partnerzy i rzeczywiście spróbować sił w poezji. Wówczas stałabym się pełnoprawną mieszkanką Village. Kiedy koło południa wychodziliśmy z kawiarni, widziałam, że przyciągamy wzrok mieszkańców Nowego Jorku. Wciąż było tłoczno, ludzie czekali na wolne stoliki. Tuż przy drzwiach poczułam na ramieniu mocny uścisk czyjejś ręki. Zaniepokojona, odwróciłam się i ujrzałam Daniela.

– Molly, dzięki Bogu, że nic ci nie jest – powiedział. – Szukałem cię.

– Oczywiście, że nic mi nie jest. Dlaczego sądzisz, że coś mi się stało?

– Usłyszałem, że w biurze Paddy’ego Rileya wybuchł pożar. Potem poszedłem do ciebie do domu, ale dowiedziałem się od pani O’Hallaran, że już u niej nie mieszkasz i że nie wiadomo, dokąd się przeprowadziłaś. Bałem się, czy coś ci się nie stało.

– Nic mi nie jest, przecież pan widzi, kapitanie Sullivan. Mam nowe życie i nową grupę przyjaciół. Jestem bardzo szczęśliwa.

– To znaczy, że ktoś wybił ci z głowy ten idiotyczny pomysł, by zostać detektywem? – zapytał. – Nawet nie wiesz, jak się z tego cieszę! Podejrzywałem, że możesz się zaangażować w rozwiązywanie zagadki śmierci Rileya.

– Czy policja zakończyła już śledztwo?

– Nie – odparł Daniel. – To trudna i bardzo niebezpieczna sprawa. Obawiam się, że już za późno na znalezienie jakichkolwiek dowodów. W żadnym wypadku nie jest to zagadka dla ciebie.

Ryan zajrzał przez uchylone drzwi.

– Idziesz, Molly? Coś się stało? Jeśli zaraz nie usiądę do pracy, nie skończę sztuki na czas. Ty będziesz temu winna.

– Już idę, Ryan! – zawołałam.

Daniel bacznie mi się przyglądał.

– Żegnam, kapitanie – powiedziałam. – Miło było pana spotkać.

Ryan objął mnie ramieniem. Uśmiechnęłam się sama do siebie, ale nawet się nie odwróciłam, żeby

zobaczyć minę Daniela. W moim sercu nie ma już dla niego miejsca! Nawet nie poczułam, by na jego widok szybciej mi zabiło.

Kiedy szliśmy w stronę Washington Square, Ryan wciąż mnie obejmował i wcale mi to nie przeszkadzało. Po rozmowie z Danielem poczułam jednak wyrzuty sumienia. Uświadomiłam sobie, że ostatnio zaniedbuję obowiązki. Taka okazja jak teraz może nie nadarzyć się zbyt szybko. Jestem z Ryanem sam na sam, idziemy jak para dobrych przyjaciół... Trzeba mu zadać kilka pytań!

– Powiedz mi, proszę... – zaczęłam. – Podobno znasz Angusa MacDonalda, tego milionera. To prawda?

Popatrzył na mnie znudzony.

– Kiedyś znałem – odparł.

– Nie jesteście już przyjaciółmi?

– Rozstaliśmy się w poprawnych stosunkach – odpowiedział. – On chyba bardziej to przeżył niż ja, ale mówiłem ci już, że zakochuję się i odkochuję bardzo szybko. Mam na swoim koncie tuziny złamanych serc.

Kiedy próbowałam zrozumieć te słowa, świat chyba na chwilę się zatrzymał.

– Biedny Angus – kontynuował Ryan – bardzo się zaangażował, a ja na ogół zmykam, kiedy robi się zbyt poważnie. Szczerze mówiąc, jest mi słabo na samą myśl, że ktoś może być ode mnie zależny. Poza tym chodziły słuchy, że jego żona chce rozwodu, a wiesz, że unikam skandali. Premiera mojej nowej sztuki już za chwilę. Strach pomyśleć, co by się działo. Nowojorczycy są strasznie purytańscy.

Byłam wstrząśnięta. Wyrastałam w Irlandii, więc na myśl by mi nie przyszło, że Angusa MacDonalda i Ryana O'Hare może łączyć coś więcej niż przyjaźń. Słyszałam różne plotki na temat takich związków; wiedziałam, że podobne rzeczy się zdarzają. Kiedyś ksiądz w naszej parafii wygłosił dziwne kazanie na temat Sodomy i Gomory... A więc to prawda – mężczyzna może się zakochać w innym mężczyźnie! Kiedy tak rozmyślałam, coś jeszcze przyszło mi do głowy. Sid i Gus! One też są parą! Obląłam się rumieńcem. Przypomniałam sobie ich zdziwione spojrzenia, kiedy stwierdziłam, że Gus na pewno jeszcze znajdzie odpowiedniego męża. To dlatego przy Patchin Place jest tylko jedna sypialnia... Teraz wszystko stało się jasne!

Kiedy zostawiłyśmy Ryana przed jego hotelem i wracałyśmy we trzy do domu, starałam się zachowywać bardzo naturalnie. Jednak Gus zapytała:

– Molly, czy wszystko w porządku?

Odparłam, że pewnie wypięłam zbyt dużo kawy, bo bardzo boli mnie głowa. Nalegały, bym położyła się z zimnym okładem na czole.

Odpoczywałam w zaciemnionym pokoju, słysząc z dołu odgłosy rozmów i śmiech. Ależ byłam głupia, wierząc, że mogę się podobać Ryanowi! Przeanalizowałam jego zachowanie. Był dla wszystkich tak samo miły i uprzejmy. Flirt, pocałunek w policzek czy objęcie ramieniem to jego sposób bycia. Uważałam, że tylko mnie traktuje wyjątkowo, ale to nieprawda. Oszukiwałam samą siebie.

Nagle gwałtownie usiadłam, a kompres spadł na podłogę. Uświadomiłam sobie coś ważnego. Jeśli Ryan i Angus MacDonald byli parą i jeśli Elizabeth chciała w pozwie rozwodowym powołać się na romans męża z Ryanem, to kochankowie mieli powody, by powstrzymać Rileyę. Starszy pan MacDonald mógł wybaczyć synowi przygodę z młodą kobietą, ale nie z mężczyzną, bo tego typu kontakty uważał za ciężki grzech. To byłby wystarczający powód, by zostawić Angusa bez grosza.

Analizowałam dalej. Cała trójka miała istotne motywy, by zabić. Angus chciał zachować majątek po ojcu, a MacDonald senior starał się nie dopuścić do skandalu i nie zhańbić dobrego imienia rodziny. Ryanowi zależało natomiast na tym, by plotki o związku z mężczyzną nie zaszkodziły mu w karierze.

Wzięłam torebkę i wyjęłam z niej czarny zeszyt. Nie znalazłam w nim żadnych notatek o Angusie ani o jego ojcu. Paddy zaszyfrował jedynie informacje na temat Ryana, którego widział w barze O’Connorów w towarzystwie tajemniczego LC. Nie miałam pojęcia, kim jest LC ani co może go wiązać ze sprawą, ale w myślach narysowałam sobie dokładny plan śledztwa. Muszę sprawdzić każdy ruch Ryana, a oprócz tego jak najszybciej się dowiedzieć, co zaszło w ten feralny poniedziałek.

Zaczęłam robić wszystko, by stać się duszą towarzystwa. Każdego wieczoru namawiałam Sid i Gus na wizytę w barze. Jak niby mogę zająć się pisaniem, skoro nie obserwuję prawdziwego życia? – tłumaczyłam. Poza tym dorastałam na wsi, w małej rodzinie, i dopiero w Ameryce mogę poznać zasady dotyczące relacji towarzyskich. Śmiały się, ale szybko ulegały moim prośbom. Wychodziłyśmy codziennie wieczorem. Sid i Gus rozmawiały z przyjaciółmi, a ja przysłuchiwałam się i obserwowałam towarzystwo. Zaczęłam się denerwować, kiedy Ryana nie było już czwarty dzień z rzędu. Nie miałam pojęcia, jak się z nim skontaktować. Przecież nie mogłam tak po prostu odwiedzić go w hotelu; to byłoby zbyt wiele, nawet jak na Greenwich Village.

W tej sytuacji skupiałam się na rozmowach z jego przyjaciółmi. Nie było to proste, bo w barze zawsze panował duży hałas, ludzie wchodzili i wychodzili. Za każdym razem, kiedy o niego pytałam, dostawałam taką samą odpowiedź: „No tak, rozumiesz, Ryan to Ryan. Jedyne w swoim rodzaju”.

Ryan był zabawny, beztroski i myślał tylko o sobie. Ale żaden z jego przyjaciół nigdy nie zasugerował, że może być niebezpieczny.

Aż pewnego wieczoru wkroczył do baru Lennie i krzyknął donośnie w stronę barmana:

– Kolejka dla wszystkich! Właśnie sprzedałem obraz. Jestem bogatszy o pięćdziesiąt dolarów.

Otoczyli go goście, poklepywali po plecach, składali mu gratulacje i upewniali się, że uwzględni ich przy stawianiu kolejki. Tylko Sid i Gus zostały na swoich miejscach.

– Pięćdziesiąt dolarów za obraz Lenniego Colemana? To zawrotna suma – skomentowała zgryźliwie Sid. – Co zrobiłeś, Lennie? Przystawiłeś mu pistolet do głowy i kazałeś kupić?

– Wyobraź sobie, że to nie był on, tylko ona. Mąż zbija fortunę na statkach parowych, a żona postanowiła zostać kolekcjonerką sztuki.

Informacja ta wywołała żywą reakcję. Wszyscy artyści, biedni jak mysz kościelna, koniecznie chcieli poznać imię i adres tej pani. Ja natomiast siedziałam zatopiona w myślach. Po raz pierwszy usłyszałam nazwisko Lenniego. Przecież on ma inicjały L.C.!

Szczyście dopisywało mi tego wieczoru. Kiedy Lennie zmęczył się wreszcie stawianiem wszystkim piwa, przysiadł się do naszego stolika.

– Rety, ciężko jest być sławnym – powiedział. – Ciekaw jestem, jak Ryan daje sobie z tym radę.

– Jeszcze to podkreca – odparła Gus. – Uwielbia każdą sekundę popularności. Nie zauważyłeś? Niknie w oczach, jeśli nie jest w centrum uwagi.

Lennie się zaśmiał.

– Trzymam mocno kciuki, żeby jego nowa sztuka nie okazała się klapą. On nie pogodzi się z porażką. Staje się nie do zniesienia, kiedy coś idzie nie po jego myśli.

– Ciężko pracuje, to dobry znak – wtrąciła Sid. – Na początku lata wspominał lekceważąco, że w najgorszym razie aktorzy zaimprovizują w ostatnim akcie i sami wymyślą zakończenie.

– A co zrobisz, Lennie, z tymi pięćdziesięcioma dolarami? – zapytałam.

– Trochę dłużej pożyczę – odpowiedział ze śmiechem. – Kupię nowe farby. Zapłacę czynsz. Namaluję jeszcze jeden akt na sprzedaż.

Spojrzał w moją stronę. Chyba po raz pierwszy zwrócił na mnie uwagę.

– Chciałabyś, żebym cię namalował, Molly?

– Mnie? – Byłam zaskoczona.

– Tak. – Uśmiechał się szeroko. – Z tymi rudymi włosami będziesz idealną modelką.

Zdałam sobie sprawę, że może to być okazja do rozmowy w cztery oczy. Jeśli podczas długiej sesji portretowej nie uda mi się wyciągnąć z Lenniego żadnych informacji, to znaczy, że nie nadaję się na detektywa.

Obdarzyłam go swoim najpiękniejszym uśmiechem.

– Z przyjemnością, Lennie. Kiedy chciałbyś zacząć?

Dopiero gdy następnego ranka znalazłam się na Dziesiątej Ulicy, nabrałam wątpliwości. Lennie mieszkał w budynku po dawnych magazynach, przerobionym na pracownię dla artystów. Mimo że na dworze panował upał, korytarz był ciemny, wilgotny i zimny. Kroki odbijały się echem na schodach. Było strasznie cicho. *RO + LC razem* – ujrzałam w myślach zdanie z notesu. Pomyślałam, że Lennie może tylko sprawiać miłe wrażenie. Powinnam na niego uważać. Pukając do właściwych drzwi, obiecałam sobie, że będę trzymać język za zębami. Jeśli to on jest tym L.C. z notesu, nie powinien się dowiedzieć, że cokolwiek łączyło mnie z Paddym.

W odróżnieniu od ciemnego i zimnego korytarza pracownia Lenniego tonęła w jasnym świetle z wysokich okien. Duże pomieszczenie było przedzielone na część mieszkalną i atelier. Po mojej lewej stronie na niskim stoliku leżały resztki śniadania, obok zauważyłam kuchenkę i zlew, a przy ścianie nieposłane łóżko. Po prawej stronie nie było żadnych mebli ani dywanów na podłodze; jedynie sztalugi z nowym płótnem, stolik z farbami, wysokie krzesło oraz fotel na tle ściany ozdobionej draperią.

– Witaj, Molly – powiedział Lennie, kiedy weszłam. – Możemy zaczynać?

– Oczywiście – odparłam i rozejrzałam się za miejscem, gdzie mogłabym odłożyć torebkę.

– Mam nadzieję, że będzie ci tutaj ciepło. Możesz rozebrać się za parawanem.

– Słucham?

Lennie spokojnie wskazał ręką najdalszy kąt pokoju.

– Możesz rozebrać się za parawanem – powtórzył.

– Chwileczkę – podniosłam głos. – Za kogo ty mnie masz? Zwabiasz mnie tutaj pod pretekstem namalowania portretu i ledwie przestępuję próg, składasz nieprzyzwoite propozycje! Nie zostanę tu ani sekundy dłużej!

– Ale ja chcę cię namalować, głupia gąsko. – Złapał mnie za rękę. – Tylko że chodzi mi o akt, nie portret.

– Akt? Masz na myśli bez ubrania, tak?

– Oczywiście.

– Zupełnie nie wiedziałam... – zaczęłam.

Ale on się roześmiał.

– Jesteś tu całkowicie bezpieczna, zapewniam cię. Nie interesują mnie młode dziewczyny, chyba że jako modelki. Poza tym jestem porządnym facetem. Możesz zapytać w Village. Mówią o mnie „stary, poczciwy Lennie”. Molly, pomyśl, proszę: jak artysta ma się rozwijać, skoro nie może ćwiczyć? Wszyscy już dla mnie pozwali: Sid, Gus, nawet Ryan.

– No dobrze – powiedziałam, zdając sobie sprawę, że ostatnio ciągle podejmuję jakieś ryzyko.

Weszłam za parawan i trzęsącymi się palcami rozpięłam bluzkę. Czy to tylko wrażenie, czy rzeczywiście w pracowni było bardzo zimno? Na krześle położyłam słomkowy kapelusz z jedwabną różyczką. Zauważyłam, że kwiat przypięty jest szpilką. Wyjęłam ją i schowałam w dłoni. Gdyby tylko spróbował, jestem przygotowana!

Wyszłam z za parawanu bardzo pewna siebie. Lennie mieszał farby przy stoliku.

– Proszę, usiądź tam. I uważaj na te draperie, materiał był strasznie drogi.

Wspięłam się na stołek, który mi wskazał. Marzyłam, by w tej chwili być gdzie indziej. Lennie wziął do ręki paletę z farbami, stanął przy sztalugach i popatrzył na mnie krytycznie.

– Przesuń się trochę w lewo. Dobrze. Odgarnij włosy i połóż rękę na udzie. I nie miej takiej miny, jakbym chciał cię rzucić lwom na pożarcie. Nie patrzę na ciebie jak na kobietę. Możemy swobodnie rozmawiać, tylko proszę, żebyś się nie ruszała.

Dziwnie się czułam, siedząc nago na stołku i rozmawiając o pogodzie. Prawie chciało mi się śmiać z tej absurdalnej sytuacji. Ale w końcu trochę się uspokoiłam i przypomniałam sobie, po co tak naprawdę tu jestem.

– Opowiedz mi o Ryaniu – poprosiłam. – Uważam, że jest fascynujący.

– Tak samo sądzi połowa mieszkańców Nowego Jorku – odparł Lennie.

– Przyjaźnicie się, prawda?

– Nie wiem, czy w przypadku Ryana można mówić o przyjaźni. Nikt tak naprawdę dobrze go nie poznał – odpowiedział. – Ryan zawsze gra. Ale, owszem, pewnie jestem z nim dość blisko, przynajmniej w takim stopniu, w jakim mi pozwala.

– Spędzacie przecież razem dużo czasu. Chodzicie do teatrów i barów, tak?

– Czasem. Kiedy Ryan akurat nie ma lepszego kompana. Najlepiej czuje się w towarzystwie ludzi z wyższych sfer. Ja nie jestem ani ładny, ani bogaty, więc traktuje mnie jak ostatnią deskę ratunku.

– A często przebywa wśród ładnych i bogatych?

– Jeśli się w kimś takim zakocha... – Lennie nałożył farbę na płótno.

– Powiedział mi, że nie potrafi być długo zakochany – zauważyłam. – Sądysz, że kiedykolwiek znajdzie bratnią duszę i się ustatkuje?

Parsknął śmiechem.

– Bratnia dusza będzie musiała mieć dużo pieniędzy. Ryan lubi wydawać.

– Nie ma żadnych oszczędności? Myślałam, że sławni pisarze są bogaci.

– Od razu przepuszcza to, co zarobi. Przydałby mu się kolejny Angus MacDonald z wypchanym portfelem. A tak naprawdę... – podniósł głowę, uśmiechając się ironicznie – powinien sobie znaleźć bogatą wdowę. Mógłby się z nią ożenić, a potem zaserwować jej odpowiednią dawkę arszeniku. – Roześmiał się głośno. – Kiedyś długo i szczegółowo omawialiśmy możliwe sposoby otrucia starszych pań. Oczywiście tylko te bezbolesne i takie, których nie wykryje policja. Obaj byliśmy nieźle wstawieni, ma się rozumieć.

– To było u O’Connorów?

– Tak, a gdzież by indziej? Zaraz. Ruszyłaś głową.

Malował dalej.

Staralam się siedzieć nieruchomo, ale nie mogłam się wprost doczekać, by wreszcie zejść ze stołka. To właśnie tę rozmowę usłyszał wtedy Paddy – pomyślałam. Ryan i Lennie oczywiście żartowali, a on wziął wszystko na poważnie. W takim razie to, co usłyszał, nie ma nic wspólnego z jego śmiercią. Siedząc tutaj na tym zimnym, twardym krześle, marnuję swój czas!

Czułam się zmęczona i odrętwiała, kiedy Lennie oznajmił w końcu, że na dziś koniec pracy. Był zadowolony z efektów.

– Jeszcze jedna sesja i powstanie obraz, który z pewnością znajdzie nabywców – powiedział, ale nie chciał mi pokazać płótna. – Nigdy tego nie robię, dopóki nie skończę. To przynosi pecha.

Zgodziłam się przyjść nazajutrz i wróciłam do domu szybkim krokiem, by pobudzić krążenie w nogach. W pewnym sensie byłam zadowolona, że mogę zakończyć śledztwo nad podsłuchaną w barze rozmową. Ryan i Lennie na pewno nie są zamieszani w śmierć Paddy’ego! Bardzo się cieszyłam, że Ryan jest niewinny. Znowu jednak utknęłam w martwym punkcie. Jeśli to Angus MacDonald lub jego ojciec wynajęli płatnego zabójcę, jak mam dotrzeć do tego rzezimieszka? Przeszukać cały Nowy Jork? To nierealne. Jestem beznadziejnym detektywem! Paddy na pewno wiedziałby, co teraz zrobić i kogo przesłuchać w następnej kolejności. Jeśli sierżant Wolski ma rację i Riley rzeczywiście miał kontakty w półświatku, wiedziałby, gdzie pytać. Jednakże to właśnie te kontakty mogły przyczynić się do jego śmierci. Jakkolwiek by na to patrzeć, rozwiązywanie zagadki morderstwa Paddy’ego Rileya powinnam zostawić policji. Daniel ostrzegał mnie przecież, że to bardzo niebezpieczna sprawa. W takim razie znacznie lepiej będzie zamknąć dochodzenie. Jeśli zacznę teraz chodzić po Nowym Jorku i wypytywać o płatnych zabójców, sama za chwilę źle skończę.

W drodze do domu zatrzymałam się na poczcie, by sprawdzić, czy nie przyszły na adres Paddy’ego jakieś listy. Poprosiłam wcześniej, by odkładali każdą przesyłkę, ale do tej pory nigdy nic na mnie nie czekało. Zdziwiłam się, kiedy tym razem wręczono mi dwie koperty. Jedna zawierała czek na sto dolarów oraz przeprosiny za zwłokę w płatności, napisane zielonym atramentem. Drugi list przyszedł od pani Edny Purvis z White Plains. Prosiła w nim Paddy’ego o rychłą wizytę w sprawie poufnej, jak się wyraziła. Pewnie szykuje się kolejny rozwód – pomyślałam. Kusiło mnie, by złożyć pani Purvis wizytę i jako młodszy partner w firmie zająć się tą sprawą, ale uświadomiłam sobie, że nie mogę być detektywem, skoro nie jestem w stanie rozwiązać zagadki śmierci Rileya. Powinnam przestać wreszcie oszukiwać samą siebie i natychmiast zająć się szukaniem odpowiedniej pracy! Pracy, w której wreszcie będę dobra. Przynajmniej mam teraz w Village różne kontakty. Sid i Gus znają wszystkich. A jeśli nic nie znajdę, mogę tymczasowo zarabiać jako modelka artystów.

Tej nocy obudziłam się niespodziewanie, kiedy było jeszcze ciemno. Znowu przyśnił mi się płaszcz Paddy’ego. „Jest na mnie za duży. Weź go” – mówił Paddy. Leżałam w ciemności, miałam dreszcze i nie mogłam zasnąć. Czyżbym coś przeoczyła? Może zbyt łatwo zlekceważyłam żarty Ryana i Lenniego? Ale kiedy ponownie to wszystko przeanalizowałam, uświadomiłam sobie, że moje poprzednie tłumaczenie nie ma sensu. Paddy był doświadczoneym i sprytnym detektywem. Rozmowa mężczyzn dyskutujących o tym, jak najlepiej otruć starszą panią, nie mogła go aż tak bardzo poruszyć. To, co usłyszał owego

feralnego wieczoru u O'Connorów, było z pewnością czymś zupełnie innym.

Następnego dnia, po sesji u Lenniego, poszłam odwiedzić gospodynię Rileyę.

– Cieszę się, że wróciła – powiedziała w charakterystyczny dla siebie sposób. – Chcę już posprzątać pokój, bo zbliża się nowy miesiąc. Może trafi się jakiś najemca...

– Pomogę pani, tak jak obiecałam – odparłam. – Zabiorę rzeczy, które przydadzą się w firmie, a pani będzie mogła wziąć sobie resztę.

– W firmie? – zapytała z niepokojem. – Chyba nie myśli pracować tak jak Paddy? To nie jest zajęcie dla kobiety. Bardzo niebezpieczne. Mogę opowiedzieć, jak parę razy ledwo uszedł z życiem. Wszystko mi potem szczegółowo opisywał. Musiałam opatrywać mu rany i zadrapania, kiedy wdawał się w bójki. Kochanieńka, znajdź sobie lepiej miłego męża, a taką pracę zostaw mężczyznom.

– I tak wezmę wszystkie rekwizyty, których używał Paddy. Może ktoś inny będzie chciał przejąć firmę – powiedziałam. Nie zdradziłam, że biuro Paddy'ego spłonęło.

Zabrałam pudełko z perukami i przyborami do charakteryzacji, płaszcz oraz długą pelerynę. Mogą się przydać, jeśli będę kiedyś musiała przebrać się za mężczyznę – pomyślałam. Wzięłam również parę przedmiotów, które leżały na biurku – rolkę z aparatu i negatywy. Resztę rzeczy po Rileyu pomogłam pani O'Shaunessey włożyć do kartonów. Widziałam błysk w jej oczach, kiedy liczyła, ile pieniędzy dostanie od handlarzy używanymi ubraniami.

Poniosłam swoje skarby do domu. Kiedy przechodziłam obok baru O'Connorów, spotkałam Dantego i Hoddera.

– Witaj, Molly. Dzisiaj wieczorem świętujemy! – zawołał Hodder. – Ryan skończył wreszcie swoją sztukę.

– Jest blady i zmęczony, ale wciąż żywy – dodał Dante. – Powiedział nam, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisał. Dzieło geniusza. I spodziewa się dzisiaj u O'Connorów wszystkich swoich przyjaciół. Mają mu prawić komplementy. Cały Ryan. Skromny to on nie jest.

– Przekażesz dziewczętom, dobrze? – poprosił Hodder. – Ryan na pewno chciałby je widzieć.

Pospiesznie wróciłam do domu. Ręce mi mdlały, kiedy wreszcie położyłam pudło na swoim łóżku. Dlaczego właściwie zależało mi na tych rzeczach? Sztuczne wąsy, brody, okulary. Czy kiedykolwiek będą mi potrzebne? Peleryna? Ta owszem, będzie bardzo użyteczna w zimie. Przypomniałam sobie, jak marzłam w zeszłym roku. Była uszyta z porządnej wełny i miała tylko kilka dziur po molach. Włożyłam ją i przejrzałam się w lustrze. Ładnie wirowała, kiedy zakreśliłam się wokół własnej osi. Nagle poczułam uderzenie w łydkę. Włożyłam ręce do kieszeni i w jednej z nich wymacałam coś twardego. Aparat fotograficzny!

Zdziwiona, obracałam go w dłoniach. Wiedziałam, że powinnam z nim pójść na policję, ale nie chciałam tego robić. Jeśli wśród zdjęć jest jakiś istotny dowód, sama muszę go najpierw poznać. Wywołam klisze, a kiedy obejrzę fotografie, zdecyduję, czy przekazać je policjantom. Przecież przeszukali pokój Paddy'ego! To nie moja wina, że są za mało rozgarnięci, by znaleźć aparat.

Wybiegłam z domu i szybko znalazłam studio fotograficzne. Właściciel zgodził się wywołać zdjęcia



i zrobić odbitki. Powiedział, żebym przysłała po nie w następnym tygodniu. Nigdy nie byłam cierpliwa, więc prosiłam i błagałam, żeby załatwił to od ręki, ale odmówił. Twierdził, że ma ważne i dobrze płatne zlecenie, więc kilka moich zdjęć musi poczekać.

Chciałam poszukać innego zakładu, ale w końcu pomyślałam, że tydzień to nie koniec świata. Przecież mam się czym zająć. Odwiedzę dzieci! Sumienie nie dawało mi spokoju, że tak łatwo o nich zapomniałam, zwłaszcza teraz, kiedy dobrze mi się powodzi. Drobną buzią Bridie wciąż stawała mi przed oczami. Dawno nie sprawdzałam też, jak się czuje Seamus. Jeśli całkowicie nie wyzdrowiał, nie znajdzie pracy. Poszłam do delikatesów i kupiłam cały koszyk specjałów. Poprosiłam, by sprzedawca ładnie go udekorował, a potem ruszyłam w drogę.

Nuala siedziała na ganku, wachlując swoje wielkie ciało.

– Wyrzucił w końcu kochaś z domu, tak? – zapytała z satysfakcją w głosie.

– Chciałam sprawdzić, czy kogoś już otrułaś swoimi obiadami – odparłam, omijając ją szerokim łukiem. – Poza tym przyszłam odwiedzić Seamusa. Mam nadzieję, że czuje się lepiej.

– O tyle, o ile – powiedziała ostrożnie. – Nie mamy pieniędzy na porządne jedzenie, a tego przede wszystkim potrzebuje, by odzyskać siły.

– Przyniosłam kurę i trochę winogron – odparłam. – Powinny mu pomóc.

– Cóż, muszę przyznać, że to szlachetnie z twojej strony – zauważyła, idąc za mną po schodach.

Ciekawe! Nigdy wcześniej nie powiedziała mi nic miłego.

Seamus siedział przy oknie. Niestety, wciąż wyglądał jak własny cień. Wstawiłam kurę na rosół i podałam mu winogrona. Ciągle mi dziękował.

– Taka jesteś dobra, Molly – powiedział. – Doktor twierdzi, że niedługo będę mógł wrócić do pracy, ale jestem jeszcze bardzo słaby.

– Potrzebujesz świeżego powietrza i ćwiczeń.

– Nie przy takiej pogodzie. Wszystko, na co mnie stać, to spacer przez pokój. Mam wrażenie, że cały świat rozpuszcza się w tym upale.

– To racja, ale jutro zaczyna się wrzesień. Upały nie mogą trwać wiecznie. – Rozejrzałam się dokoła. W mieszkaniu panowała martwa cisza. – Gdzie są dzieci?

– Z moimi chłopakami. Pewnie kąpią się w East River – wyjaśniła Nuala. Od mojego przyjścia stała w drzwiach, z rękami opartymi na szerokich biodrach. – Zawsze tam chodzą, kiedy w domu jest zbyt gorąco.

– Mam nadzieję, że Bridie nie pływa w tej brudnej wodzie – zauważyłam. – Nie powinieneś jej na to pozwalać, Seamus.

– Niech i ona ma coś z życia – wtrąciła się Nuala. – Wszystkie dzieci się tam kąpią.

Seamus przytaknął, więc już nie mogłam nic powiedzieć. Opuszczając dom państwa O'Hallaran, miałam ochotę pójść nad rzekę i sama sprawdzić, czy Bridie wchodzi do wody, czy nie, ale po chwili zawróciłam w stronę Patchin Place. Szkoda, że nie spotkałam się z dziećmi! Cieszyłam się, że nie jestem

już za nie odpowiedzialna, ale trudno mi było zupełnie o nich zapomnieć.

Wieczorem szybko przestałam myśleć o Szelmie i jego siostrze. Przekazałam Sid i Gus, że mamy stawić się w barze, by wspólnie z Ryanem cieszyć się z jego powrotu do życia towarzyskiego.

O ósmej, kiedy zgromadzili się już wszyscy przyjaciele, drzwi do baru otworzyły się na oścież. Ryan zawsze słynął z ekscentrycznych strojów, ale tym razem przeszedł samego siebie. Miał na sobie czarną pelerynę z purpurową lamówką, fioletową jedwabną apaszkę, a na głowie cylinder. Podpierał się laseczką. Stał w drzwiach i czekał, aż wszyscy go zauważą.

– Dzieci moje, zmartwychwstałem! – Wyciągnął ramiona w kierunku zebranych. – Jestem tu, by donieść wam o wielkim zwycięstwie. Praca nad sztuką skończona. Walka wygrana, niech żyje Ryan O’Hare!

Uklonił się w oczekiwaniu na brawa.

– A teraz, George, dobry człowieku, poproszę cię o butelkę lub dwie najlepszego francuskiego szampana. Pragnę uczcić tę chwilę z przyjaciółmi.

– Nie chcę być nieuprzejmy, panie O’Hare – odparł George. – Ale będzie pan dzisiaj płacił gotówką, prawda? Nie mogę sprzedawać szampana na kreskę.

– Mój drogi, kochany George. – Ryan podszedł do właściciela i położył mu rękę na ramieniu. – Od jak dawna jestem twoim gościem? Czy kiedykolwiek nie uregulowałem rachunku?

– W końcu zawsze pan reguluje. Parę razy muszę przypomnieć, i tyle... – przyznał George.

– W takim razie zaufaj mi, proszę. W przyszłym tygodniu sztuka będzie miała przedpremierowe pokazy w innych miastach, organizowane po to, by zapewnić jej jeszcze większy sukces w Nowym Jorku. To z całą pewnością najlepsza rzecz, jaką do tej pory napisałem. Już za parę tygodni będzie mnie stać nie tylko na francuskiego szampana, ale również na wynajęcie statku, który popłynie do Francji uzupełnić zapasy.

George zaśmiał się niewyraźnie, ale powędrował do piwniczki i wrócił z butelką w rękę.

Ryan usiadł przy naszym stoliku.

– Ach, cudowna Molly. – Wziął moją rękę w swoje dłonie i podniósł ją do ust. – Możesz mi jako pierwsza dać całusa z gratulacjami.

– Nie widziałam jeszcze sztuki – odparłam. – Skąd mam wiedzieć, czy jest tego warta?

Moja uwaga wywołała uśmiešky i komentarze.

Ryan położył dłoń na sercu.

– Moja droga, jestem śmiertelnie urażony. Czy sądzisz, że byłbym zdolny napisać cokolwiek innego niż najlepszą rzecz pod słońcem?

Nie chciałam się przyznać, ale nie widziałam dotąd żadnej jego sztuki.

– Oczywiście, że nie. – Pocałowałam go w policzek. – I gratuluję ci wytrwałości w ciężkiej pracy. Skończyłeś sztukę, to wspomniała wiadomość.

– Jeśli potrzebujesz kolejnych dowodów – powiedział – przyjdź jutro na próbę. Teatr Daley. Mój

dziadek miał tak na imię. Mam nadzieję, że to nie jest zły znak, bo nie znosiłem człowieka. Tak czy siak będziemy tam całe popołudnie i wieczór. Aktorzy dostali już ode mnie skrypty z ostatnim aktem. Biedacy! Tak długo czekali z zapartym tchem, żeby się dowiedzieć, czy Cameron idzie do więzienia i czy Fifi umiera.

Podano szampana. George otworzył pierwszą butelkę, korek wystrzelił wysoko. Nalewał bąbelkowy napój do wysokich, wąskich kieliszków. Nigdy jeszcze nie próbowałam szampana, choć dużo o nim czytałam. Był tak smaczny, jak to sobie wyobrażałam. Bąbelki łaskotały w podniebienie, wędrowały do nosa, ale samo wino bardzo łagodnie docierało do żołądka. Po drugim kieliszku czułam się zrelaksowana i bardzo z siebie zadowolona. Ryan ciągle siedział obok. Byłam w samym centrum roześmianej, wesołej grupy. Tak właśnie zawsze wyobrażałam sobie życie.

Do naszego stolika dosiadały się kolejne osoby. Zaczęliśmy zachowywać się trochę głośniej, podawano następne butelki szampana. A potem podszedł do nas Vlad, nieco sztywny Rosjanin, i z silnym wschodnim akcentem powiedział:

– Tak przy okazji, Ryan. Emma o ciebie pytała.

Ryan odwrócił się gwałtownie.

– Emma? Jest w mieście? Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Przecież zamknąłeś się w pokoju i kazałeś sobie nie przeszkadzać, pamiętasz? – zauważył Lennie.

– No tak, ale Emma to co innego. Dla niej odłożyłbym pisanie.

Nie wiedziałam, kim jest Emma, ale od razu poczułam ukłucie zazdrości. Co prawda wcześniej postanowiłam, że nie zakocham się w Ryaniu, skoro nie jest on zainteresowany płcią przeciwną, ale imię Emma wywarło na nim tak wielkie wrażenie, że od razu pomyślałam o tej kobiecie jak o rywalce.

– Gdzie się zatrzymała? Jak długo zamierza zostać w mieście? – Ryan odstawił kieliszek i odchylił się na krześle.

– Jest w drodze do domu. Właśnie wróciła z Europy – odparł Vlad. – Powiedziała, że jeśli ktoś z jej przyjaciół ma ochotę się z nią zobaczyć, to wieczorem będzie u Schwaba.

– W takim razie natychmiast muszę tam iść – powiedział Ryan. – Nie pozwolę, by wyjechała bez spotkania ze mną. Jak ona się czuje, Vlad? Dobrze wygląda?

– Tak. Wygląda dobrze.

Ryan podniósł się z krzesła.

– Przykro mi, ale muszę was opuścić, moi drodzy, i pójść za głosem serca.

Położył mi rękę na ramieniu.

– Wybacz mi, najdroższa Molly.

Pod wpływem szampana zrobiłam się śmielsza.

– Kim jest Emma? – zapytałam.

– Najbardziej fascynującą kobietą na świecie – odparł. – Jediną w swoim rodzaju.

Bez ostrzeżenia chwycił moją rękę.

– Chodź ze mną. Musisz ją poznać. Ona kocha Irlandczyków.

Zanim się zorientowałam, wyszliśmy z baru. Poczułam na twarzy powiew chłodnego wiatru.

W powietrzu czuło się już wrzesień. Wieczorny spacer okazał się czystą przyjemnością. W głowie szumiał mi wciąż szampan, szłam, a właściwie płynęłam, przytrzymywana pewnym ramieniem Ryana. Przeszliśmy przez Washington Square. Kamienny łuk rzucał na ziemię złowrogi cień. Z kawiarni i barów wychodzili roześmiani studenci, rozmawiali głośno i śpiewali. Zakochane pary całowały się na uliczkach pokrytych pierwszymi opadającymi liśćmi. Przez chwilę dałam się ponieść przyjemnym wspomnieniom.

Potem skręciliśmy w cichą boczną alejkę, na której nie było nikogo oprócz nas i policjanta na służbie. Czy jeszcze długo będziemy szli? Czułam się trochę oszołomiona. Zastanawiałam się, co też sobie pomyśli ta fascynująca Emma, kiedy Ryan przyprowadzi na spotkanie inną kobietę.

Na pierwszy rzut oka tawerna Szwaba nie wyglądała zachęcająco. Była ciemna, zaniedbana, słabo oświetlona i szara od dymu. Znajdowała się w gorszej części Village; brakowało tutaj radosnego gwaru jak u O’Connorów. Tuż przy wejściu nie było w sali nikogo, ale w głębi zobaczyłam skupioną wokół narożnego stolika sporą grupkę ludzi. Siedzieli, ściśnięci jedno obok drugiego, przy świeczce stojącej na środku stołu. Barman obrzucił mnie i Ryana zdziwionym spojrzeniem.

Ryan puścił moją rękę i pobiegł do stolika.

– Emmo, moja droga! Wróciłaś! – zawołał z przesadnym przejęciem w głosie.

Drobna postać odwróciła się w naszą stronę. Na widok Ryana rozłożyła szeroko ręce i westchnęła:

– Ryan, kochany chłopcze. Tak długo się nie widzieliśmy! Jak to dobrze, że ktoś cię powiadomił. Jakżebym mogła odwiedzić Nowy Jork i nie spotkać się z tobą? To byłby ogromny zawód.

Objęli się i stali przez chwilę w uścisku.

Patrzyłam w osłupieniu. Spodziewałam się przepięknej młodej damy o egzotycznej urodzie. Zamiast niej ujrzałam nieatrakcyjną kobietę w średnim wieku, zupełnie niepasującą do Ryana. Miała okrągłą smutną twarz bez śladu pudru bądź rózu na policzkach. Z ciemnych włosów upiętych w kok wymykały się pojedyncze pasma i niechlujnie opadały na ramiona. Była ubrana w wysoko zapinaną czarną suknię bez żadnych ozdób i biżuterii. Tak naprawdę przypominała guwernantkę.

– A kto to jest? – zapytała, uwalniając się z uścisku Ryana.

Ryan wziął mnie za rękę i podprowadził.

– To jest Molly. Polubisz ją. Pochodzi z Irlandii i jest bardzo wygadana.

– Wspaniale – powiedziała Emma. – Zawsze się cieszymy, kiedy pojawia się ktoś, kogo możemy zwerbować, prawda, Sasha? – zwróciła się do siedzącego obok mężczyzny.

Świeczka słabo oświetlała jego rasową, choć bladą twarz. Tak jak większość mężczyzn przy stole był ubrany w roboczy kombinezon i czarny kaszkiet.

– Siadajcie, siadajcie. – Emma klasnęła w ręce. – No dalej, zróbcie dla nich miejsce.

Zauważyłam, że mówi z obcym akcentem.

– Częstoście się herbatą. A może wolicie coś mocniejszego? – zaproponowała.

– Nie. Wypiliśmy sporo szampana, Emmo, najdroższa. Oblewaliśmy dzisiaj moją nową sztukę.

– Wystawiasz nową sztukę?

– Tak, najpierw prapremiera na prowincji, potem w Nowym Jorku. Będzie ci się podobać. Na pierwszy rzut oka to bardzo wesołe przedstawienie. Ale tak naprawdę dotyczy szerokiego zagadnienia narodowości i lojalności. Stawiam w niej pytania o naszą tożsamość. Czy mamy jakieś zobowiązania wobec kraju, klanu, rodziny tylko dlatego, że łączą nas więzy krwi?

– Interesujące – powiedziała. – Jak sądzicie?

Przyniesiono dla nas krzesła. Ryanowi zrobiono miejsce tuż przy Emmie. Ledwie się tam wcisnął. Ja musiałam usiąść pomiędzy dwoma na czarno ubranymi mężczyznami, od których czułam nieprzyjemny zapach. Chyba nie myli się od tygodnia! Teraz miałam okazję uważnie przyjrzeć się zebrany. Oprócz Emmy i jeszcze jednej kobiety, młodej i o równie surowym wyglądzie, przy stole siedzieli sami mężczyźni. Wszyscy byli ciemno ubrani, mieli smutne, ponure twarze. Kobieta przyglądała mi się tak uporczywie, że aż poczułam się niezręcznie.

– Co to za ludzie? – usłyszałam, jak pyta swojego sąsiada. – Popatrz na nich. To nie nasi. Co tu robią?

– Ryan jest przyjacielem Emmy. Kiedyś przychodził na zebrania – odpowiedział jej szeptem mężczyzna, spoglądając w moją stronę. – Ale dziewczyny nie znam. Pierwszy raz ją widzę.

– Słyszę, że właśnie wróciłaś z Europy – zwrócił się Ryan do Emmy. – Jakie masz wieści?

– To był bardzo udany rok – odparła. – Nasi towarzysze z Włoch i krajów bałtyckich mieli pełne ręce roboty.

– Po ubiegłorocznej rewolucji odnieśli kolejne sukcesy w walce o demokrację – dodał przystojny mężczyzna siedzący obok Emmy.

– Śmierć tyranom! – rzucił jeden z moich niedomytych sąsiadów.

– Ale co dokładnie udało się osiągnąć w tej walce o demokrację? – zapytał Ryan. – Czy włoscy chłopcy żyją teraz jak ród Medyceuszy?

Sięgnął na środek stołu, wziął do ręki szklanekę w koszyczku ze słomy i nalał sobie herbaty z dzbanka o bardzo dziwnym kształcie. Ja wciąż cieszyłam się wspomnieniem szampana i wcale nie zamierzałam pić herbaty.

Emmy nie rozbawił żart Ryana. Zarówno ona, jak i wszyscy pozostali wyglądali bardzo poważnie. Uśmiech chyba nigdy nie gościł na ich twarzach.

– Mówiąc szczerze, nie bardzo wiem, co osiągnęliśmy – powiedziała Emma. – Nie jestem pewna, czy w Europie masy są przygotowane na przejęcie kontroli. Przynajmniej dopóki nie przestaną się rozmnażać jak króliki. – Pociągnęła łyk herbaty. – Poznałam kobietę, która urodziła niedawno dziesiąte dziecko, a jest młodsza ode mnie. Kiedy zapytałam ją, dlaczego ma tyle dzieci, odparła, że taka była wola boska. Powiedziałam jej, że to nonsens. Dziesiąte dziecko to wola mężczyzny, który nie potrafił się

powstrzymać. – Rozejrzała się uważnie po sali. – To jest nasza kolejna wielka misja, towarzysze. Trzeba nakłonić ludzi, by zaczęli kontrolować swoje ciało. Kobieta nigdy nie skorzysta z równych praw, jeśli cały czas będzie w połogu!

– Czy tym właśnie powinniśmy się teraz zająć? – zapytała dziewczyna siedząca naprzeciwko. – Znosić dominację bogatych, aż biedni przestaną rodzić? To może potrwać bardzo długo. Wiem coś na ten temat, bo pochodzę z włoskiej rodziny. Powiedzcie Włochom, że nie mogą mieć dzieci. Raczej będą woleli umrzeć.

– Ona ma rację, Emmo – odezwał się ktoś inny. – Przedstawiciele klasy robotniczej nie widzą w dziecku ciężaru, tylko raczej pomoc. Na stare lata będą mieli zapewnioną opiekę.

– Nie powiedziałam, że w ogóle nie powinno się rodzić dzieci – wyjaśniła Emma. – Ktoś przecież musi to robić, bo inaczej gatunek ludzki wymrze. Chodzi mi o to, że dziesięcioro lub dwanaścioro to za dużo. Ponieważ medycyna się rozwija, coraz więcej dzieci ma szansę na dorosłe życie. Wyobraźcie sobie, że kobieta ma troje lub czworo z własnego wyboru, bo tyle chciała urodzić. Będzie wtedy pełnoprawnym obywatelem, który ma czas głosować, brać udział w demonstracjach, dbać o przestrzeganie prawa. To moje marzenie.

– Wspaniałe – powiedział Ryan i pocałował dłoń Emmy.

– Ale co z naszą walką? – odezwała się dziewczyna. – Nie zamierzasz chyba jej porzucić?

– Nie porzucę żadnej walki – odparła Emma stanowczo. – Zamierzam burzyć istniejące struktury tak długo, jak się da. Po prostu zastanawiam się, czy nasze dotychczasowe działania mają sens. W Ameryce powinniśmy się zająć przede wszystkim związkami zawodowymi, kontrolą urodzeń i prawami kobiet.

– A co z burzujami? – zapytała dziewczyna. – Walka o równość to nasz obowiązek, a zepsuci milionerzy muszą kiedyś zapłacić za swoją chciwość.

– Ryan na pewno ma na ten temat coś do powiedzenia. Prawda, Ryan? Chętnie nam pomoże – odezwał się mężczyzna, który do tej pory milczał. Siedział przy samym końcu stołu. Mimo że w barze było gorąco, miał na sobie gruby czarny sweter, a na głowie czapkę, taką jak wszyscy pozostali. Patrzył na nas zmęczonym wzrokiem.

– Ach, Leon. Nie zauważyłem cię – powiedział Ryan. – Co tutaj robisz?

– Jestem przejazdem, jak Emma – odparł. – Nie sądziłem, że cię tu spotkam.

– Ja też jestem zdziwiony, że cię widzę. Co konkretnie masz na myśli? W czym miałbym pomóc?

– W tym, by milionerzy zapłacili za swoje grzechy. A konkretnie jeden milioner.

Ryan wydawał się zdziwiony.

– Dlaczego tak mówisz?

– Chodzą plotki, że miał już dość.

– Muszę sprostować, drogi Leonie. Jeśli ktokolwiek miał dość, to raczej ja, nie Angus. Ale wszystko jedno. To i tak już skończone, *finito, Schluss*.

– A teraz czas na nową miłość, tak? – powiedział, uważnie mi się przyglądając.

– Moją jedyną miłością jest teatr. Nie mogę sobie pozwolić na nic innego, dopóki nie odbędzie się premiera nowej sztuki.

– Powiedz mi coś więcej na ten temat, Ryan – poprosiła Emma i przygarnęła go do siebie ramieniem. Zaczęli prywatną rozmowę.

Odwróciłam wzrok i zobaczyłam, że młoda kobieta w czerni znów wbiła we mnie spojrzenie.

– Jesteś z Irlandii – powiedziała. – Jakie rezultaty przynosi tam nasza walka? Jest szansa, że wypędzimy tyranów?

– Masz na myśli Anglików?

– Kogóż by innego?

– Niestety, nie wiem.

– Nie angażujesz się?

– Mieszkam na prowincji, na zachodnim wybrzeżu – odparłam. – Z daleka od Dublina i polityki.

– Walka musi być prowadzona wszędzie, jeśli mamy odnieść sukces – oznajmiła chłodno. – Od razu wiedziałam, że nie jesteś jedną z nas. Co tutaj robisz w takim razie?

– Przyszłam z Ryanem.

– Z Ryanem? Ale myślałem, że Ryan... – zdziwił się mężczyzna siedzący obok mnie.

Zrozumiałam, o co mu chodzi.

– Jestem jego kuzynką, przyjechałam z Irlandii – wyjaśniłam pospiesznie, mając nadzieję, że przestaną wreszcie pytać. – Zabrał mnie tutaj ze sobą, żebym poznała Emmę.

– No i poznałaś. Co o niej myślisz? – zapytał ten sam mężczyzna. – Czyż nie jest wspaniała? Czy nie bije ci mocniej serce, kiedy jej słuchasz?

W gruncie rzeczy serce biło mi mocniej tylko wtedy, kiedy Ryan całował mnie po rękach albo dotykał ramienia, ale uprzejmie kiwnęłam głową.

– Tak, wydaje się bardzo interesująca.

– I wpływowa. Wyobraź sobie, że słuchają jej w całej Europie. Za swoje poglądy niejedną raz siedziała w więzieniu.

– A może przystąpisz do nas? – Młoda kobieta nie zamierzała się poddawać. – Zostaniesz na trochę w Nowym Jorku, prawda? Dostałabyś instrukcje dotyczące naszej walki. Mogą ci się przydać, kiedy wrócisz do Irlandii. Potrzebujemy nowych bojowników.

– To kobiety też mają walczyć? – zapytałam. – Jeśli mam być szczerą, uważam, że halki trochę krępują nam ruchy.

Młoda kobieta spojrzała na mnie zdziwiona.

– Walczymy inaczej – powiedziała. – Nie zawsze używamy broni. Słowa też mają odpowiednią moc. Trzeba wskazywać masom najlepsze sposoby oporu przeciw tyranom i burżujom; otwierać ludziom oczy na biedę i wyzysk. My, kobiety, też możemy walczyć. To jesteś jedną z nas czy nie?



Zerknęłam na Ryana z nadzieją, że napotkam jego wzrok. Teraz, kiedy już poznałam Emmę, nie chciałam tu dłużej zostać. Ci ludzie wydawali się żałośni i trochę przerażający. Z pewnością nie pragnęłam być jedną z nich. Poza tym zaczynałam się czuć bardzo dziwnie. Czy tylko z powodu wrogiego nastawienia dziewczyny? Nie, to było coś więcej. Prawdę mówiąc, ledwo łapałam oddech. Nie mogłam się wprost doczekać, kiedy wyjdę na świeże powietrze. Gdy bliska omdlenia zamierzałam już przeprosić i wyjść, zauważyłam, że Ryan także się zbiera. Dopił herbatę i wstał.

– Emmo, kochanie, muszę iść – powiedział. – Ta cudowna istota powinna przed północą dotrzeć do domu. Inaczej zgubi pantofelek. – Pochylił się i pocałował Emmę w policzek. – Proszę, powiedz, gdzie się zatrzymałaś. Może znajdę chwilę, żeby cię jeszcze odwiedzić.

Zapisał sobie adres Emmy na odwrocie jakiejś koperty, potem objął mnie ramieniem i wyprowadził na zewnątrz. Kiedy wychodziliśmy, wyraźnie czułam na sobie czyjeś spojrzenie.

– No i co myślisz? – zapytał, kiedy wracaliśmy przez Washington Square. – Czyż nie jest niesamowita?

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? To anarchiści, prawda?

– Tak. Regularnie spotykają się u Szwaba i rozważają, jak przejąć władzę nad światem. Śmierć burżujom!

– Jak, u licha, do nich trafiłeś? Chyba sam nie byłeś nigdy anarchistą?

Stanął i przepuścił samochód. Koła zadudniły na kocich łbach.

– Poznałem Emmę zaraz po przyjeździe do Ameryki. Przyznam, że od początku byłem nią urzeczoney. Ma charyzmę. Myślałem, że jeśli pomogę im obalić Wiktorię, ludzie zaczną mnie cenić. Była okropną królową; doświadczyłem tego na własnej skórze. Ale szybko mi przeszło. Wiktorie umarła, a nam szkoda było biednego, poczciwego Edwarda. Uznaliśmy, że po śmierci matki należy mu się trochę wytchnienia, i daliśmy sobie spokój z rewolucją.

– Czyli już nie należysz do grupy?

– Nigdy tak naprawdę nie należałem, ale nie mów im tego. Uważam, że są zabawni. Naprawdę można się pośmiać. Mam rację? – Spojrzał na mnie wesoło. – Tacy śmiertelnie poważni. Wydają te swoje lewicowe gazetki, biorą udział w strajkach i demonstracjach, trafiają do więzienia, a potem wychodzą na wolność, by obnosić się z cierpiętniczą miną.

– Ale czy rzeczywiście są niebezpieczni? Jak myślisz? Czy doprowadzą do przewrotu w tym kraju?

– W Ameryce już jedna rewolucja była. Moim zdaniem Amerykanie nie chcą kolejnej. Poza tym mamy wreszcie rząd, który reprezentuje zwykłych obywateli. Ludzi, których przed chwilą poznałaś, najbardziej kłuje w oczy bogactwo i nierówność społeczna.

– No tak, twoja przyjaźń z Angusem nie mogła zyskać ich aprobaty.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Na szczęście nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Wiedzą o tym, więc siedzą cicho.

Skręciliśmy w Szóstą Aleję.

– Naprawdę nie musisz mnie odprowadzać do samego domu – zauważyłam. – Tutaj już jest

bezpiecznie.

– Nonsens. Nie po to zostałem wychowany na dżentelmena. Poza tym Sid i Gus mogą być jeszcze na nogach. Może zdołam je namówić, żeby zrobiły mi kawę. Ciągle czuję w ustach smak tej okropnej herbaty.

Wzmianka na temat Sid i Gus dała mi znów do myślenia. Dopiero co Ryan powiedział, że ludzie, których właśnie poznałam, to anarchiści, walczący między innymi o prawa kobiet. Sid kiedyś wspomniała, iż pisze do gazet na podobne tematy. Czyżby była związana z tą grupą? Mam nadzieję, że nie. A kiedy torowaliśmy sobie drogę przez śmieci rozrzucone wokół targowiska, coś jeszcze przyszło mi do głowy. Czy słusznie przestałam podejrzewać Ryana o udział w morderstwie Paddy'ego? Wydawał się taki czarujący i nieszkodliwy. Ale dlaczego w takim razie Paddy umieścił w swoich notatkach jego inicjały? I coś jeszcze. Detektyw napisał zdanie *RO + LC razem OC* i następnego dnia już nie żył.

Tej nocy źle spałam. Kiedy leżałam, wsłuchując się w odległe odgłosy miasta, znów ogarnęły mnie wątpliwości. Czy Ryan O'Hare może być groźny, czy powinnam się go bać? Jaki jest jego związek z anarchistami? A może inicjały R.O. dotyczą kogoś innego? Dlaczego nie mogę zasnąć i wciąż się zamartwiam?

Wstałam i zaczęłam spacerować po pokoju. To wszystko nie pasuje przecież do Ryana! Sid i Gus uważają go za kapryśnego chłopca, który bawi się jedną zabawką, by za chwilę rzucić ją w kąt i poszukać sobie innej. Nawet jeśli przelotnie interesował się anarchizmem i rozmyślał, jak się pozbyć królowej Wiktorii, co z tego wynika?

– Czy coś się dzieje, Molly, kochanie? – zapytała Sid, kiedy następnego ranka usiadłam do śniadania. – Wyglądasz na bardzo czymś przygnębioną.

– Źle spałam – odparłam.

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Tak to jest, jak się spędzi wieczór z Ryanem.

Pochyliła się w moją stronę i położyła mi rękę na ramieniu.

– Molly, wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale chyba nie zamierzasz się w nim zakochać? Bo jeśli tak, chciałabym oszczędzić ci przykrości. Przede wszystkim dlatego, że Ryan nie jest... – przerwała, zastanawiając się, jak to powiedzieć.

– Zainteresowany płcią przeciwną? – dokończyłam jej pytanie. – Tak, wiem o tym.

– Co nie oznacza, że nie flirtuje z każdą napotkaną kobietą – ciągnęła Sid. – Umie prawić komplementy, wie, co powiedzieć, żebyśmy czuły się wspaniale. Po prostu nie chcę, żebyś miała nadzieję na coś więcej.

– Dziękuję, Sid, nie mam żadnych złudzeń – odpowiedziałam. – Bardzo lubię towarzystwo Ryana, ale wiem, że nie jest stały w uczuciach.

– Tak, to dobre określenie.

Znów pokiwała poważnie głową i sięgnęła po filiżankę wielkości napałka, by nalać sobie kawy.

– Czy uważasz, że coś ryzykuję, przebywając często w jego towarzystwie? – ostrożnie sformułowałam pytanie.

– Pamiętaj, że Ryan traktuje ludzi przedmiotowo. Jeśli jest tobą zainteresowany w tym tygodniu, możesz być pewna, że w przyszłym już nie będzie.

– Ale nie sądzisz... że Ryan ma jakąś mroczną stronę?

Była zaskoczona.

– Kuba Rozpruwacz w przebraniu artysty? Skąd ci to przyszło do głowy?

Zdobyłam się na nikły uśmiech.

– Wydaje się zbyt wspaniały, żeby był prawdziwy.

– Na twoim miejscu zanadto bym się do niego nie przywiązywała. Poza tym za parę dni prawdopodobnie o tobie zapomni, chyba że będzie czegoś potrzebował.

Ta rozmowa bardzo mi pomogła. Przecież Sid i Gus dobrze znali Ryana. Jeśli miałyby coś na sumieniu, pewnie by o tym wiedziały. Ryan nie potrafi trzymać języka za zębami. Ale zdecydowałam, że warto popytać o niego tu i ówdzie. Po śniadaniu poszłam więc prosto do pracowni Lenniego.

– Wróciła moja piękna modelka – powiedział. – Wczoraj wieczorem skończyłem pierwszy obraz. Jak tylko farba wyschnie, zaniosę go do galerii i będę czekać, aż znajdzie się nabywca, który zapłaci konkretną sumę.

– Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, że wiszę bez ubrania w czyjejś galerii – odparłam.

– Staniesz się najgorętszą partią w całym Nowym Jorku. Zalotnicy będą walić drzwiami i oknami – zapewnił ze śmiechem Lennie.

– Nie jestem pewna, czy to pocieszająca myśl – odpowiedziałam zza parawanu.

– Jak się udała wczorajsza wyprawa z Ryanem? – zapytał Lennie, kiedy wdrapałam się już na stołek, a on układał wokół mnie materiał. – Zabrał cię wczoraj do Emmy, tak?

– Wyprawa była bardzo interesująca – odparłam.

– Niezła z nich gromadka, co? Ta cała Emma i jej wyznawcy. Nie mam pojęcia, co Ryan w niej widzi. Zwykle bardziej go pociąga splendor i wysoki status społeczny. Ale kiedy tylko ta kobieta kiwnie palcem, on leci jak na skrzydłach.

– Byłeś kiedyś na ich spotkaniu? – Pamiętałam, że Lennie ma inicjały L.C.

– Ja? Nie marnuję czasu na takie rzeczy. Nie zamierzam robić rewolucji. Podoba mi się tak, jak jest. Do szczęścia potrzeba mi trochę pieniędzy na dobre farby, piwo i kanapkę z szynką.

– Czyli uważasz, że Ryan jest pod jej wpływem? – zapytałam, nie patrząc Lenniemu w oczy, tylko gdzieś w przestrzeń za jego plecami. Nie chciałam sprawiać wrażenia osoby, której bardzo zależy na odpowiedzi. Na murze naprzeciw okna siadały właśnie gołębie. Obserwowałam, jak puszą się i trzepoczą skrzydłami. – Ja nie potrafię tego ocenić po jednym spotkaniu. Naprawdę zrobiłby wszystko, o co poprosi Emma?

– A co konkretnie masz na myśli? Jakąś idiotyczną rzecz? Na przykład podłożenie bomby, tak jak to robią anarchiści w Europie?

Spróbowałam się beztrósco roześmiać.

– Nie, nie wyobrażam sobie, żeby Ryan podkładał bomby.

– Poza tym co takiego miałyby wysadzić w powietrze? Przecież Ameryka przyjęła go z otwartymi ramionami. Ryan nie ma zamiaru wracać do domu i walczyć o wolność Irlandii. Dlaczego w ogóle o to pytasz?

– Nieważne.

Lennie w milczeniu mieszał farby.

– Chociaż raz planował wysadzić w powietrze pałac Buckingham – powiedział w końcu. – Ale sądzę, że opowiadał o tym, by zrobić na słuchaczach wrażenie. Znasz Ryana. Żyje po to, żeby ludzie go podziwiali.

Dwie godziny później wyszłam z pracowni. Trudno mi było uwierzyć, że Lennie to L.C. z notatek Paddy’ego. Jeśli tak, to był doskonałym aktorem! Po rozmowie z nim mogłabym przysiąc, że ani on, ani Ryan nigdy nie uwikłaliby się w nic strasznego.

Już miałam pójść w prawo w stronę Patchin Place, kiedy pod wpływem impulsu zdecydowałam się skręcić w lewo – w kierunku domu przy Ósmej Zachodniej, w którym zatrzymała się Emma. Zapamiętałam adres, kiedy Ryan zapisywał go wczoraj wieczorem na odwrocie koperty. Wiedziałam, że składając wizytę tej anarchistce, wiele ryzykuję. Uznałam jednak, że nic złego nie powinno się wydarzyć, jeśli będę udawała naiwne dziewczę.

Drzwi otworzyła starsza kobieta o niespotykanej w Ameryce urodzie – okrągłej twarzy i niebieskich oczach bez wyrazu.

– Rozumiem, że przebywa tutaj Emma Goldman<sup>[6]</sup> – powiedziałam ostrożnie.

Bez słowa poprowadziła mnie do środka, nie informując, czy jest gospodynią, czy też przyjaciółką i czy w ogóle mówi po angielsku.

Kiedy weszliśmy do salonu, Emma podniosła wzrok znad przeglądanej właśnie korespondencji i spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Młoda panienska z Irlandii! Nie spodziewałam się, że cię jeszcze kiedyś zobaczę. Tylko nie mów, że właśnie przeżyłaś nawrócenie i chcesz dołączyć do naszej grupy.

– Niezupełnie – odparłam. – Nie wiem, jak to ująć, ale interesuje mnie związek Ryana z panią i z resztą grupy.

– Związek Ryana ze mną? Czy sugerujesz, że byliśmy kochankami? – Uśmiechnęła się nieprzyjemnie. – Jesteś zazdrosna! Nawet przez sekundę nie uwierzyłam w tę bajeczkę o kuzynce z Irlandii. Chcesz go mieć tylko dla siebie!

– Nie jestem aż tak naiwna, by wierzyć, że można mieć Ryana na wyłączność – zaoponowałam. – Sprowadza mnie tutaj czysta ciekawość. Wczoraj wieczorem byłam bardzo zdziwiona. Wciąż nie mogę zrozumieć, jakim cudem Ryan mógł być związany z pani grupą.

– Masz rację – przyznała. – Może przez jakiś czas udawał, że jest jednym z nas, ale dość szybko stracił zainteresowanie. Tak to już jest z Ryanem.

– Widziałam, jak zareagował, kiedy usłyszał pani imię.

– Tak – potwierdziła spokojnie. – Wywieram silny wpływ na wiele osób. Tak twierdzą niektórzy. Chociaż są wyjątki; na ciebie moja charyzma raczej nie działa.

– Ryan sam ma niezwykle silną osobowość – zauważyłam. – Trudno mi uwierzyć...

– Nieprawda – powiedziała. – Ryan jest bardzo słaby. Ciągłe gra. Pomyśl, co by się stało, gdyby choć na chwilę przestał być Ryanem O’Hare, słynnym dramaturgiem i duszą towarzystwa?

– To znaczy, że jest pod pani wpływem?

– Tak, ale nie do końca. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale Ryan zachowuje się jak dziecko. Bardzo kapryśne dziecko. Mylisz się, jeśli sądzisz, że za moją namową popłynąłby do Londynu i zamordował króla Edwarda. Ryan uwielbia wygody. A w więzieniu ich nie znajdzie. Wiem dobrze, siedziałam niejedną raz. Podobno strychezek jest jeszcze gorszy niż więzienie.

Spojrzała na mnie, wyczytała z mojej twarzy zdenerwowanie i głośno się roześmiała.

– Tego właśnie się boisz? Że twój najdroższy Ryan mógłby dla mnie narażać życie? Nie. Tego się nie obawiaj! On ma swoje słowa. Są czasem bardziej niebezpieczne niż broń. Wiesz, co się stało, kiedy wystawił sztukę, w której szydził z rodziny królewskiej? Postawił cały kraj na nogi, a przecież chodziło tylko o parę głupich zdań.

Rozsiadła się wygodnie w fotelu, podkładając sobie dłonie pod głowę.

– Właśnie o tym staram się mówić wszystkim młodym ludziom, którzy towarzyszą mi w podróżach. Jeśli chcecie zmieniać świat, róbcie to za pomocą słów. To one mają prawdziwą moc. Zabijecie jednego tyrana, a kolejny zaraz zajmie jego miejsce. Ale jeśli napiszecie dobry tekst do gazety, przeczytają go masy. – Przerwała, jakby czekając na oklaski. – Ryan jest, niestety, pochłonięty teraz swoją sztuką. Zdecydował się poświęcić talent dla pieniędzy i sławy.

– Dziękuję – powiedziałam w końcu. – Ma pani rację. Przepraszam, nie powinnam była tu przychodzić.

– Wciąż nie zapytałaś wprost, czy łączyło mnie z Ryanem coś więcej. Nie łączyło, a szkoda, bo mogło być bardzo przyjemnie.

Wyszłam od Emmy Goldman całkowicie uspokojona. Miała rację. Nową miłością Ryana jest pisanie. Nie zrobiłby nic, co przeszkodziłoby sztuce odnieść sukces. Jeśli Paddy uważał, że Ryan i ten ktoś o inicjałach L.C. rozmawiali o jakimś zamachu, był w błędzie. Nie muszę obawiać się Ryana.

Wsiadłam do tramwaju i pojechałam do teatru Daley, gdzie odbywały się próby. Nigdy wcześniej nie byłam w tej części miasta. Zaintrygowały mnie plakaty, reklamujące premiery teatralne, i neony migające napisami: *Piękność z Nowego Jorku* lub *Dom lalki*, z dopiskiem: „pióra pana Ibsena”. Tyle wspaniałych przedstawień, których jeszcze nie widziałam, tyle ekscytujących wydarzeń, w których mogłabym wziąć udział! To miasto jest jak wielki stół zastawiony smakołykami; dotychczas miałam szansę spróbować jedynie przystawek.

Teatr Daley wyglądał elegancko – miał zdobione filary i oszklone drzwi wejściowe. Niestety, były zamknięte. Idąc wzdłuż budynku, znalazłam dodatkowe wejście od ulicy. Pchnęłam drzwi i znalazłam się w ciemnym wąskim korytarzu. Z lewej strony dobiegały jakieś głosy, więc udałam się w ich kierunku. W końcu ujrzałam światło. Okazało się, że znajduję się za sceną i aktorzy stoją do mnie plecami. Nie widziałam Ryana. Kiedy zastanawiałam się, co dalej robić, obok mnie przeszła dziewczyna z dużą puszką

farby w rękach.

– Halo, co robisz? Nie można tu wchodzić – szepnęła w moim kierunku.

– Jestem przyjaciółką pana O’Hare. Zaprosił mnie, żebym obejrzała próbę.

– Ach, tak? Jest dzisiaj w okropnym humorze. Aktorzy nie dają sobie rady z ostatnim aktem, a za parę dni ruszają z przedstawieniem w trasę. Na twoim miejscu nie zawracałabym mu głowy. Jeśli chcesz popatrzeć, idź na widownię. Musisz obejść scenę i skorzystać z tamtego wejścia.

Posłuchałam jej wskazówek, otworzyłam ciężkie drzwi i znalazłam się w mrocznej sali. Jedyne światło dochodziło tutaj ze sceny. W ciemności potrafiłam odróżnić zdobione balkony i wielkie żyrandole na suficie. Poszłam aż do ostatniego rzędu i usiadłam przy masywnym filarze. Po raz pierwszy byłam w teatrze, przyłączałam mnie przepych tego miejsca. Nad sceną zauważyłam malowidło w greckim stylu. Było tu na co popatrzeć, nawet jeśli akurat nie wystawiano żadnej sztuki.

Przedstawienie okazało się interesujące, chociaż weszłam w połowie drugiego aktu i w pierwszej chwili trudno mi było połączyć się w akcji. Zrozumiałam jednak główne przesłanie. Rzecz działa się w małym kraju, który zamknął swoje granice przed światem zewnętrznym i udawał, że nic poza nim nie istnieje. W zachowaniu despotycznego władcy dostrzegłam wiele podobieństw do królowej Wiktorii, a w postępowaniu mieszkańców Nigdzielandii – przewrotną karykaturę postaw Amerykanów. „Jesteśmy w porządku, więc co nas obchodzi reszta świata?”, jak to ujął jeden z bohaterów.

Zaraz po drugim akcie zaczęto trzeci, ostatni, który Ryan dopiero co skończył pisać. Słyszałam, jak aktorzy męczą się nad swoimi kwestiami, a gdzieś z dołu dobiega zniecierpliwiony głos:

– Na miłość boską, Ethel, nie potrafisz tego zapamiętać? Naprawdę o tak wiele proszę? Chciałem tylko, żebyś nauczyła się paru zdań.

– Miałam czas na naukę w kwietniu, Ryan – odpowiedziała chłodno aktorka. – Ale wtedy nie było czego się uczyć.

Akcja toczyła się dalej. Nie było już tak zabawnie jak na początku, za to bardziej poważnie i refleksyjnie. Gdy tak siedziałam zapatrzona w scenę, oglądając swoje pierwsze w życiu przedstawienie, poczułam nagle dojmujące zimno, jakby drzwi za moimi plecami otworzyły się szeroko i ktoś wpuścił do wnętrza chłodne powietrze. Popatrzyłam za siebie, ale nie zauważyłam niczego niezwykłego. Kiedy znów odwracałam wzrok w kierunku sceny, dojrzałam kątem oka jakiś ruch przy drugim filarze. Przeszył mnie dreszcz. Oprócz mnie na widowni jest ktoś jeszcze!

Nie bądź głupia – nakazałam sobie. Jeden z robotników pracujących przy dekoracjach pewnie zrobił sobie przerwę albo jakiś aktor przyszedł pooglądać sztukę z perspektywy widowni. Jeszcze raz wlepiłam wzrok w ciemność, ale nikogo nie dostrzegłam. Żadne krzesło z wyjątkiem mojego nie było zajęte. A mimo to wciąż czułam czyjąś obecność. Można to nazwać szóstym zmysłem odziedziczonym po celtyckich przodkach – zawsze potrafiłam wyczuć zbliżające się niebezpieczeństwo. Teraz też.

Zdałam sobie sprawę, że mogę liczyć tylko na siebie. Aktorzy na scenie byli zaabsorbowani grą. Idealna sytuacja dla kogoś, kto chciałby mnie uciszyć. Wystarczyłoby przeczołgać się w moim kierunku wzdłuż rzędu krzeseł, zejść od tyłu i wykończyć. Ciało znalezione by dopiero po paru dniach. Starłam

się zachować spokój. Mogłabym wstać i zawołać Ryana na pomoc. Oczywiście byłby wściekły, ale w ten sposób wystraszyłabym prześladowcę.

Mijały sekundy, ale nic się nie działo. Nie mogłam się zdecydować, czy biec w kierunku sceny, czy nie. A jeśli to tylko złudzenie? Zrobiłabym z siebie idiotkę! Powtarzając w myślach, że w razie czego zawsze mogę krzyknąć, wstałam i poszłam w kierunku wyjścia na górze. Znajdowało się na szczycie schodów za na wpół zasuniętą kotarą. Pchnęłam drzwi, ale okazało się, że są zamknięte. Aktorzy, nieświadomi mojej obecności, kontynuowali próbę. We wgłębieniu pomiędzy mną a sceną znajdowała się fosa orkiestrowa. Nie ma szans szybko przez nią przeskoczyć i pobiec na scenę – pomyślałam. Kiedy się odwracałam, znów wyczułam jakiś ruch. Niewidzialny osobnik był teraz bliżej, odcinał mi drogę ucieczki. Dobrze, w takim razie wchodzę do gry! Położyłam się na podłodze i przeczołgałam wzdłuż krzesel. Dotarłam na drugi koniec widowni. Potem, znów na kolanach, przesunęłam się w kierunku wyjścia. Może zdołam uciec, jeśli napastnik czeka na mnie gdzie indziej? Minęłam ostatnie krzesło i dopadłam drzwi, modląc się w duchu, by dały się otworzyć. Puściły. Znalazłam się w korytarzu wyłożonym dywanami, prawie tak mrocznym jak widownia. Zaczęłam biec do holu głównego. W ciemności mijałam greckie i rzymskie popiersia stojące w korytarzach. Nagle usłyszałam wyraźnie, jak gdzieś w głębi zatraskują się drzwi na widownię. Nie wahałam się ani chwili dłużej. Przyspieszyłam. Zbiegłam po schodach. Pierwsze drzwi ani drgnęły, dopadłam drugich, potem trzecich i walcząc z atakiem paniki, zdołałam otworzyć je na oścież. Na zewnątrz zapadał zmrok. Spędziłam w teatrze ładnych parę godzin!

Znalazłam się w samym centrum ulicznego gwaru na Broadwayu. Jednak wcale nie byłam bezpieczna. Napastnik może mnie śledzić i zaatakować, gdy nikogo nie będzie w pobliżu. Na Patchin Place zwykle jest pusto. Zastanawiałam się, czy nie pobiec w kierunku przystanku elki na Szóstej Alei, ale przeraziła mnie wizja czekania na peronie.

Starałam się wmieszać w tłum na ulicy. Odwróciłam się i zauważyłam, że z teatru wychodzi ciemna postać, staje, rozgląda się na boki i szuka mnie wzrokiem. Akurat jechał tramwaj. Kiedy zwolnił, by przepuścić pieszych, zdecydowałam się na śmiały ruch. Wyteżając siły, podbiegłam i złapałam za drządek. Niestety, motorniczy zaklął, krzyknął coś w moją stronę i zdecydowanie przyspieszył. Zostałam na ulicy.

Kolejny tramwaj nie nadjeżdżał, więc szybko wróciłam na chodnik. Zerkając za siebie, zauważyłam, że nieznajomy biegnie w moim kierunku. Mijałam w pośpiechu kolejne domy i wciąż czułam na plecach czyjś wzrok. Muszę go zgubić – pomyślałam. Doszłam do Madison Square Park i przystanąłam na rogu Broadwayu i Piątej Alei. Tuż przede mną wznosił się oświetlony naftowymi lampami szkielet nowego drapacza chmur. Stukot młotków sugerował, że praca wre nawet po zmroku. Spojrzałam na konstrukcję o dziwnym kształcie i nagle doznałam olśnienia. Ktoś kiedyś opisywał mi tę budowlę. Nawet pamiętałam jak się nazywa. Flatiron Building. To tutaj pracuje mój przyjaciel Michael Larkin! Przecięłam pędem ulicę, omal nie trafiając pod koła jakiegoś auta, które głośno na mnie zatrąbiło, i wbiegłam pod ciemne drewniane rusztowania. Wpadłam z impetem na dwóch robotników. Najwyraźniej skończyli pracę i szli do domu.

– Przepraszam najmocniej. Nie wiedzą panowie, gdzie mogę znaleźć Michaela Larkina?

Mężczyźni stanęli jak wryci na widok kobiety w tym miejscu.



– Będzie miała panienka kłopoty – powiedział jeden z nich z silnym irlandzkim akcentem. – Michael Larkin, tak? Czy to pilna sprawa?

– Bardzo – odparłam. – Jeśli jest tutaj, muszę z nim natychmiast rozmawiać. Mam dla niego ważne wiadomości.

Drugi mężczyzna rozejrzał się wokół.

– Chyba jeszcze nie wyszedł, prawda, Denny?

– Ostatnim razem widziałem go na osiemnastym piętrze, czekał na swoją kolej, by zjechać na dół – odrzekł zagadnięty. – Jeśli poczeka panienka na zewnątrz, na pewno niedługo wyjdzie.

– A czy ktoś nie mógłby po niego pójść? – Nie zamierzałam sterczeć na ciemnej ulicy i czekać na Michaela, który pojawi się lub nie. Mój prześladowca może być coraz bliżej.

Mężczyźni popatrzyli na mnie z uśmiechem.

– Nic nie zmusi mnie do powrotu na osiemnaste piętro, nawet suta zapłata – powiedział jeden z nich, a drugi przytaknął. – Skończyłem pracę na dzisiaj, wracam do domu na kolację i do łóżka.

Zaczęli iść do wyjścia, kierując i mnie w stronę ulicy. Nie wiedziałam, ani co robić, ani co powiedzieć, by zatrzymać ich przy sobie. Mam im wyznać, że jestem śledzona przez napastnika, który czyha na moje życie? To brzmiałoby zbyt melodramatycznie! Żałowałam teraz, że nie spróbowałam uciekać, przepychając się w tłumie, albo znaleźć policjanta i powiedzieć mu o wszystkim.

Nagle usłyszeliśmy na górze jakiś krzyk. Jeden z mężczyzn złapał mnie za ramię i odciągnął na bok.

– Uwaga! – ostrzegł.

Coś niezwykłego, jakaś dziwna konstrukcja zjeżdżała z góry, piszcząc i skrzypiąc w ciemności. Po chwili zatrzymała się na betonie obok. Okazało się, że to zwykły, dość lichej konstrukcji kosz sporych rozmiarów zawieszony na linach. Wyszli z niego czterej mężczyźni, skinęli głowami moim towarzyszom i ruszyli do wyjścia. Poczulałam wielką ulgę, kiedy się zorientowałam, że jeden z nich to Michael Larkin. W tym samym czasie któryś z mężczyzn zawołał:

– A oto i on we własnej osobie. Casanova rusztowań! Czeka tutaj na ciebie oblubienica, drogi Michaelu.

Michael odwrócił się zdziwiony, popatrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem, a potem jego dziecięcą buzię rozpromienił uśmiech.

– Molly, to ty? Co, na Boga, tutaj robisz?

– Odwiedzam cię, ot co. Przecież mnie zapraszałeś – odparłam świadoma, że wszyscy nas słuchają. – A tak naprawdę mam ważne wieści z domu. Muszę ci je natychmiast przekazać.

– Mam nadzieję, że to nic złego – odparł. – Czy coś się stało?

Wyszliśmy na ulicę. Rozejrzałam się uważnie, ale w tłumie nie zauważyłam swojego prześladowcy.

– Nie, nic się nie stało – powiedziałam w końcu. – W gruncie rzeczy nie mam dla ciebie żadnych informacji. Przepraszam. Musiałam trochę nakłamać, żeby móc z tobą porozmawiać sam na sam.

– Ty i kłamstwa? Jestem poruszony. – Zaśmiał się serdecznie.

Dobrze znał zarówno mnie, jak i historię mojej ucieczki z Irlandii. Wiedział, do czego musiałam się posunąć, żeby dotrzeć do Ameryki. Roześmiałam się razem z nim i poczułam, że opada ze mnie napięcie. Zastanawiałam się, jak sformułować swoją prośbę.

– Prawda jest taka, Michaelu, że chodzi za mną pewien mężczyzna. Nie potrafię się go pozbyć, więc pomyślałam, że mógłbyś mi wyświadczyć przysługę i...

– Udawać, że jestem twoim narzeczonym?

Wciąż się uśmiechał. Wiedziałałam, że jest dla mnie o wiele za młody. Przecież miał nie więcej niż osiemnaście lat. Ale przez chwilę pomyślałam, że ta propozycja nie jest wcale niedorzeczna. Przyjemnie byłoby mieć przy sobie opiekuńcze męskie ramię.

– Odprowadzić mnie bezpiecznie do domu, oczywiście jeśli masz czas – dokończyłam swoją prośbę. – Albo przynajmniej do tramwaju.

– Pierwsza propozycja bardziej mi pasuje – odparł. – Dostałem dzisiaj wypłatę, więc najpierw zapraszam cię na kolację, jeśli masz ochotę.

– Nie, nie musisz.

– Pozwól mi się odwdziaczyć chociaż w ten sposób – odparł. – Zapomniałaś już, że jestem ci coś winien? Przecież to tylko dzięki tobie żyję jak król.

Wziął mnie za rękę.

– A twojej narzeczonej nie będzie przykro? – zapytałam.

– Powiedziałem jej o tobie. Wie, że jesteś dla mnie jak starsza siostra. Bardzo chciałaby cię poznać. Chodźmy, znam miejsce, gdzie podają najlepszą wołowinę z kapustą. Smakuje jak w domu, zobaczysz.

Muszę przyznać, że jedzenie było pożywne i ciepłe, ale mój gust kulinarny ostatnio bardzo się zmienił. Wiedziałałam już, że na świecie są rzeczy znacznie smaczniejsze niż wołowina z kapustą. Za to wspaniale nam się rozmawiało, uspokoiłam się trochę i nie musiałam co sekunda oglądać się za siebie. Kiedy wieczorem Michael odprowadzał mnie do domu, nie skradał się za nami żaden cień.

W drodze powrotnej zdecydowałam, że nie wspomnę Gus i Sid o incydencie w teatrze. Już od progu zasypały mnie pytaniami na temat sztuki. W środku mojej opowieści złożył nam wizytę Ryan i poprosił o cały dzbanek kawy po turecku, która miała ukoić jego skołatane nerwy.

– Kawa nie uspokaja, ale pobudza, najdroższy – zauważyła Gus, a Sid poszła przygotować filizanki.

– W takim razie uspokoi mnie wasze boskie towarzystwo – powiedział z uśmiechem Ryan, patrząc to na mnie, to na Gus. – Wśród pięknych kobiet zawsze czuję się wspaniale.

– Znow się podlizuje – mruknęła do mnie Gus. – To potrafi najlepiej. Powiedz mu, że sztuka była fatalna. Jest szansa, że wtedy zamilknie.

Ryan wytrzeszczył na mnie oczy.

– Byłaś dzisiaj w teatrze? Widziałaś sztukę?

Kiwnęłam głową.

– Gdzie siedziałaś? Dlaczego do mnie nie podeszłaś?

– Byłeś zajęty sztorcowaniem aktorki o imieniu Ethel. Nie nauczyła się swojej roli.

– Głupia krowa – powiedział Ryan. – Miała taką krótką kwestię! Czy wymagam zbyt wiele? Zamierza wyjść za parę dni na scenę i improwizować?

Wzdychając, opadł na szeslong. Był ciepły wieczór, więc siedzieliśmy w ogrodzie.

– No dobrze, to powiedz mi prawdę, proszę. Czy rzeczywiście sztuka była aż tak straszna? Zniosę to po męsku.

– Była wspaniała, Ryan. Zabawna, ale też poruszająca. Jednocześnie bardzo ironiczna. Te wszystkie aluzje do Amerykanek z wyższych sfer...

Uśmiechnął się zadowolony.

– A nie przesadziłem? Nie mogłem się powstrzymać. Słowa same układały się w gotowe kwestie. Najdroższa Molly, dajesz mi nadzieję! Będę się modlił, by krytycy okazali się równie życzliwi jak ty.

Kiedy Ryan wyszedł, było już dobrze po północy. Położyłam się spać uspokojona i w dobrym nastroju. Dlaczego tak histerycznie zachowałam się w teatrze? Można by pomyśleć, że zamieniam się w delikatną paniusią, która przy każdej okazji sięga po sole trzeźwiące. Dzięki Bogu, że nie powiedziałam Sid i Gus o dziwnym zajściu. Od razu wypaplałyby wszystko Ryanowi i cała trójka zabawiłaby się moim kosztem.

Jednakże szósty zmysł nigdy mnie przedtem nie zawiódł. Wyraźnie czułam w teatrze czyjąś obecność i domyślałam się, że grozi mi niebezpieczeństwo. Usiadłam na krawędzi łóżka i starałam się wszystko na spokojnie przeanalizować. Kto mógł wiedzieć, że będę sama na widowni? Oprócz Sid i Gus nikt nie znał moich planów. Nawet Ryanowi nie powiedziałam, że wybieram się na próbę. Tylko dziewczyna z puszką

farby mogła uprzedzić któregoś z aktorów lub pracowników. Ale dlaczego ktoś z nich chciałby mnie nastraszyć? Nawet nie wiedzieli, kim jestem. Więc kto to był, na litość boską? Do głowy przychodził mi tylko zabójca Paddy'ego. Ale dlaczego wybrał akurat to miejsce? Przecież wielokrotnie chodziłam sama po Village, jeździłam elką, spałam przy otwartym oknie. Wstałam i zdecydowanym ruchem je zamknęłam. Najgorsze było to, że od dziś nie będę się czuła bezpiecznie w Nowym Jorku. Napastnik w końcu się dowie, gdzie mieszkam. To tylko kwestia czasu. Muszę wrócić do teatru i przyjrzeć się uważnie całej obsadzie. Zadbam o to, żeby być blisko Ryana.

Zasnęłam głęboko. Tym razem nic mi się nie śniło. Rano obudziłam się świeża i wypoczęta. Wczorajsze wydarzenia wydawały się zaledwie nocnym koszmarem. Trudno mi było uwierzyć, że tak histerycznie zareagowałam. Zrobiłam z igły widły. Mama często mawiała, że mam bujną wyobraźnię, niewyparzony język i humory i że to wszystko kiedyś doprowadzi do tragedii.

Po południu pojechałam do teatru, ale zastałam wszystkie wejścia zamknięte na cztery spusty. Przeszłam się trochę po Broadwayu, wypatrując w tłumie napastnika, który mógłby i dzisiaj kręcić się w pobliżu. Nie potrafiłam jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, po co miałyby to robić. Ponieważ nic się nie działo, wsiadłam w końcu na Szóstej Alei w elkę i pojechałam do domu.

– Podejrzewam, że Ryan znów był dzisiaj nie w humorze i postanowił nikogo nie wpuszczać. Nie chciał, żeby mu przeszkadzano – skomentowała Sid zamknięte drzwi. – Pod koniec tygodnia jadą w trasę z pierwszymi przedstawieniami.

To mnie uspokoiło. Jeśli tajemniczy nieznajomy jest częścią trupy teatralnej, za parę dni nic mi nie będzie grozić. Szkoda tylko, że nie mogłam przyjrzeć się jeszcze raz wszystkim aktorom. Chociaż trudno powiedzieć, czy potrafiłabym rozpoznać zabójcę. Kiedy starałam się przywołać w pamięci jego obraz, widziałam tylko ciemne intensywne spojrzenie, czarne nakrycie głowy i zwinne ruchy podczas ucieczki przez okno. To niewiele! Taki opis pasuje do połowy mężczyzn z Village. Paddy ze swoim doświadczeniem z pewnością wiedziałby, jak doprowadzić śledztwo do końca. Drugą osobą, która mogłaby mi pomóc, jest Daniel, ale do niego zwrócę się dopiero z konkretnymi dowodami w garści – pomyślałam.

Następnego dnia nastąpiły ostatnie tego lata upały. Trudno było zająć się czymkolwiek. Wolałam odpoczywać z wachlarzem i szklanką mrożonej herbaty. Wiedziałam, że powinnam zabrać się do pracy, ale straciłam całą energię. Udało mi się jedynie odwiedzić dawne mieszkanie i zabrać dzieci – Szelmę i Bridie – na lody. Moje obawy, że pływając w East River, na pewno złapią jakąś bakterię, okazały się nieuzasadnione. Oboje wyglądali wyjątkowo zdrowo, a Bridie nabrała trochę ciała. Zadowolona wróciłam do domu.

Tego wieczoru Sid i Gus zostały zaproszone na wernisaż w zaprzyjaźnionej pracowni. Namawiały mnie, bym poszła razem z nimi, ale odmówiłam, bo nie przepadałam za malarstwem Gus i jej przyjaciół. Siedziałam w ogrodzie, aż upał zelżał, a potem postanowiłam przejść się do baru O'Connorów. Liczyłam, że będzie tam Ryan i że zapytam go o obsadę jego sztuki. Szłam ostrożnie, uważnie rozglądając się dookoła. Dotarłam do końca Patchin Place, bez przygód minęłam Sheridan Street i wreszcie weszłam

do baru. Było w nim pusto i cicho. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że wszyscy przyjaciele są teraz na tym samym przyjęciu co Sid i Gus?! Posiedziałam chwilę przy szklance imbirowego piwa, a potem wyszłam. Byłam pewna, że Ryan nie pojawi się dzisiaj w barze. Chodził tylko tam, gdzie publiczność była gwarantowana. Rozwazałam przez chwilę, czy jednak nie pójść na wernisaż, ale ponieważ było za gorąco na długie spacerunki, postanowiłam wrócić do domu i przed powrotem Sid i Gus wziąć długą zimną kąpiel. Przeszłam przez Greenwich Avenue i stanęłam u wylotu Patchin Place. Dopiero na drugim końcu ulicy świeciła się jedna lampa. Nagle zerwał się lekki wiatr, wprawiając drzewa w dziwny taniec cieni i zrywając z gałęzi pierwsze jesienne liście. W tej samej chwili pożałowałam, że tak lekkomyślnie wybrałam się na spacer bez towarzystwa. Zrobiłam zaledwie parę kroków, kiedy zza drzewa wyskoczył czarny kot i przebiegł mi drogę. Omal nie dostałam zawału!

– Nonsens – powiedziała głośno sama do siebie. Z powodu jednego nieprzyjemnego zajścia w teatrze nie będę chyba panikować do końca życia?

Szłam z podniesionym czołem, stawiając szybkie, zdecydowane kroki. Na ulicy nie było żywego ducha. Bez przeszkód dotarłam do domu, przekreśliłam klucz w drzwiach i weszłam do środka. Stanęłam w korytarzu i odetchnęłam z ulgą. Staję się powoli straszną panikarą – pomyślałam. Odłożyłam torebkę na stolik pod ścianą i sięgnęłam po zapalniczki, które trzymałyśmy na półeczce pod palnikiem gazowym. Ale półeczka była pusta. Poszłam w kierunku kuchni, bo przy piecyku zawsze leżało kilka pudełek. Kiedy otwierałam drzwi, usłyszałam hałas. W tym samym momencie poczułam powiew na twarzy i z przerażeniem zobaczyłam, że podwójne drzwi prowadzące z oranżerii na zewnątrz są otwarte. Jak mogłam wyjść z domu, nie upewniwszy się, czy je zamknęłam? Domyśliłam się, że to przeciąg strącił wazon ze stolika. Właśnie miałam sięgnąć po zapalniczki, kiedy dobiegł mnie kolejny odgłos, tym razem nie od strony oranżerii. Był cichuteńki, ale nerwy i tak miałam napięte jak struny. Zamarłam ze strachu. To, co słyszałam, było z całą pewnością skrzypieniem podłogi. Ktoś oprócz mnie był w domu!

Nie wiedziałam, co robić. Nie byłam pewna, skąd dochodzą dźwięki. Na parterze podłoga raczej nie skrzypiała, ale wiedziałam, że na schodach i na piętrze są poluzowane klepki. Jeśli napastnik jest na górze, mogę uciec wejściowymi drzwiami. Ale jeśli jest na schodach, dopadnie mnie, kiedy będę naciskała kłameczkę. Równie dobrze mógł zejść na dół i czekać teraz w korytarzu. Mało pocieszająca perspektywa. Nie było również sensu uciekać do ogrodu. Z dwóch stron otaczało go ogrodzenie pokryte bluszczem. Z trzeciej mur sąsiedniego budynku. W spódnicy i halce nie będzie łatwo przejść na drugą stronę. Postanowiłam nie zapalać lampy, na wypadek gdyby intruz nie słyszał, że wróciłam do domu. Wstrzymując oddech, podeszłam cicho do kredensu i otworzyłam szufladę ze sztućcami. Poczuję się pewniej z dużym, ostrym narzędziem w ręku – pomyślałam. Starłam się ostrożnie wyjmować nóż z szuflady, mimo to usłyszałam metaliczny dźwięk. Znowu wstrzymałam oddech. Z ostrzem w pogotowiu poszłam w stronę korytarza.

Na schodach nie było nikogo. Przez szybę w drzwiach wpadało wystarczająco dużo światła, by odróżnić kształty aż do połowy stopni. Napastnik mógł oczywiście stać wyżej, czekając, aż podejść do samych drzwi i będę chciała wybiec na ulicę. W tym wypadku jedynie błysk noża w moich rękach może go zniechęcić. Zaciśnęłam usta, starałam się nie oddychać. W końcu położyłam rękę na kłameczce. Nic się

nie wydarzyło. Wystarczy nacisnąć, pchnąć i będę wolna.

W tym samym momencie usłyszałam za plecami czyjś oddech. Odwróciłam się gwałtownie i w drzwiach pracowni zobaczyłam ciemną sylwetkę.

– Nie zbliżaj się! Jestem uzbrojona! – krzyknęłam, wymachując nożem.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczyłam, że ma w dłoni podobny, tyle że trochę mniejszy. Mierzył nim w moją stronę. Ostrza zderzyły się, usłyszałam głośny zgrzyt metalu i przez chwilę poczułam się jak odtwórczyni roli d'Artagnana. W chwili gdy o tym pomyślałam, cofnął się i znów zaatakował. Uświadomiłam sobie, że wcale nie gram w przedstawieniu, ale to wszystko dzieje się naprawdę. Kiedy chciałam odeprzeć atak, chwycił mnie za nadgarstek.

– Powiniennem cię wtedy zabić – wysyczał głosem tylko nieco lepiej słyszalnym od szeptu. Twarz miał tuż przy mojej.

Wtedy zajrzałam mu w oczy. Dobrze je pamiętałam. To intensywne, desperackie spojrzenie pełne paniki albo nienawiści, albo jednego i drugiego. Szarpnęłam się gwałtownie, wyrywając rękę z jego uścisku.

– Co... co ci powiedział... ten staruch...? – usłyszałam.

Słowa cedził powoli, bo cały czas trwała szarpanina; robił wszystko, bym wypuściła nóż z ręki. Odwdzięczałam się silnymi kopniakami w golenie i stopy. Słyszałam, jak głośno wciąga powietrze, co mogło oznaczać, że moje wysiłki nie idą na marne. Starłam się wyswobodzić rękę, ale uścisk miał żelazny. Przynajmniej to, że wymachiwałam mu tuż przed nosem ostrym narzędziem, sprawiało, że nie byłam łatwym łupem! Kiedy znów zaatakował, podniosłam wolną rękę, aby się zasłonić, i wtedy ostrze jego noża przeszło rękaw mojej kurtki z baraniej skóry. W myślach podziękowałam Gus, że oddała mi swoje ubrania. Słyszałam, jak wyszarpuje nóż. W tym momencie z całej siły ścisnęłam napastnika za nadgarstek. Moje palce z łatwością zacisnęły się wokół jego ręki – miał wyjątkowo drobne kości, zupełnie jak u kobiety. Zacharczał i przycisnął mnie do drzwi. Uderzyłam mocno głową o dębową deskę, w oczach pojawiły mi się gwiazdy.

– Komu powiedziałaś? – wysapał.

Znów chciał pchnąć mnie na drzwi.

W krytycznych sytuacjach przychodzą człowiekowi do głowy dziwne myśli. Może warto trochę z nim poigrać i wy badać, co wie i czego się spodziewa? Na jego pytanie jednak nie odpowiedziałam, z bardzo prostej przyczyny. Oszczędzałam wszystkie siły, by pozostać przy życiu. Wiedziałam, że długo nie dam rady. Może wytrzymam jeszcze przez minutę lub dwie, ale z pewnością to on wygra tę walkę.

Nie poddam się jednak tak łatwo. Byłam zaprawiona w bójkach z braćmi, choć to zupełnie co innego. Po pierwsze, byli ode mnie młodszy; po drugie, nigdy nie chcieli mnie zabić. Zamachnęłam się nogą, by kopnąć go w to najbardziej czułe miejsce, ale znów trafiłam tylko w goleń. Potem on jeszcze raz rzucił mną o drzwi i stał się cud: otworzyły się na oścież. Z impetem poleciałam do tyłu, a napastnik za mną. Upadając, poczułam, że brakuje mi tchu. Wypuściłam nóż z ręki. I zaraz usłyszałam, że ktoś mnie woła, krzyczy, wrzeszczy. Jakieś postaci rzuciły się na mojego prześladowcę.

– Złap go za gardło, Gus – usłyszałam. – Uważaj, ma broń.

Zebrałam siły i kolanem odepchnęłam intruza. Usłyszałam jęk bólu. W tej samej chwili Sid chwyciła nóż, który wypadł mi z ręki, złapała mężczyznę za włosy i przytknęła mu ostrze do szyi.

– Natychmiast rzuć broń albo poderżnę ci gardło! – rozkazała.

Chyba posłuchał, bo coś upadło obok mnie. Gus zaraz to podniosła.

– Wstawaj – powiedziała Sid, grożąc napastnikowi moim nożem. Widziałam, jak ciągnie go za włosy.

Podniosłam się z trudem.

– Uważasz, że na kobiety łatwo napadać, co? – spytała Sid. – Molly, leć do kuchni i przynieś jakiś sznur. Zwiążemy go, a potem wezwiemy policję.

Pobiegłam do kuchni i w jednej z szuflad znalazłam kłębek sznurka. Kiedy zmęczone szarpaniną próbowaliśmy związać intruzowi ręce z tyłu, odepchnął nas, skoczył i wybiegł na ulicę. Gus upadła na chodnik.

– Nic ci się nie stało, kochanie? – Sid przyklękała obok przyjaciółki.

Gus usiadła i uniosła rękę do twarzy.

– Chyba nie, mam siniaki i guza na głowie. Ale jestem wściekła, że dałyśmy mu uciec.

– To nie nasza wina. Po prostu był bardzo silny – powiedziała Sid. – Idę na policję. Wejdźcie do domu i opatrzcie sobie rany.

– Nie! – zawołałam. – Proszę, tylko nie na policję!

– Dlaczego nie? Złapią go, zanim zdąży uciec.

– To bez sensu – oznajmiłam. – Młody mężczyzna ubrany na czarno? Połowa mieszkańców Village pasuje do takiego opisu. Zapamiętałaś jego twarz?

– Nie bardzo – odparła Sid. – Tutaj jest ciemno i wszystko wydarzyło się tak szybko...

– Ja też nie zdążyłam mu się przyjrzeć – dodała Gus.

– W takim razie wyjdziemy na idiotki, jeśli to zgłosimy – stwierdziłam. – Dziękujmy Bogu, że nic poważnego nam nie zrobił.

– I że nas nie okradł – dorzuciła Gus.

– Jak to „nie okradł”? – zapytałam.

Sid wzruszyła ramionami.

– No tak, bo to z całą pewnością musiał być włamywacz. Niby z jakiego innego powodu miałyby cię zaatakować? – zauważyła.

Poprowadziła nas korytarzem w kierunku kuchni, odnalazła zapałki i zaświeciła lampę. Knot zasyczał przyjemnie, a cała kuchnia wypełniła się przytulnym światłem.

– Obawiam się, że to moja wina – powiedziałam. – Wyszłam i nie zamknęłam podwójnych drzwi do ogrodu. Mógł przez nie wejść.

– Nie obwiniaj się, Molly. Często w gorące wieczory zostawiamy te drzwi otwarte. To mogła zrobić

każda z nas.

– Nie sędzę – odparłam.

Poczułam dreszcze na całym ciele. Opadłam na najbliższe krzesło.

– Daj jej trochę brandy, Sid. Jest w szoku, blada jak śmierć na chorągwi – zauważyła Gus. Podeszła i objęła mnie ramieniem. – Biedna Molly. To musiało być straszne. Jesteś taka dzielna. Broniałaś się jak lwica, przecież mógł cię zabić.

– Usłyszałam skrzypienie podłogi, więc wyjęłam nóż z szuflady w kuchni – wyjaśniłam. – Dzięki temu zyskałam na czasie. Ale gdybyście w porę nie wrócili do domu, byłoby po mnie.

Sid wręczyła mi szklaneczkę brandy.

– Wypij. Z pewnością poczujesz się lepiej – powiedziała. – Trzeba znaleźć jego nóż. Powinny na nim być odciski palców.

– Nie zostawił odcisków. Miał na rękach czarne rękawiczki.

– Cholera – wymamrotała Sid. – Trudno. I tak pójdę go poszukać. Twojego też.

Wyszła na zewnątrz, a kiedy wracała, usłyszałyśmy, że głośno się śmieje.

– Molly, moja kochana! – zawołała wesoło, wchodząc do kuchni. – Następnym razem, kiedy będziesz się bronić przed napastnikiem, weź lepiej coś innego.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że spośród wszystkich noży w szufladzie wybrałam ten o szerokim ząbkowanym ostrzu i zaokrąglonej końcówce. Idealny, by pokroić nim duszonego łososa.



– Zastanawiam się, co chciał ukraść – powiedziała Gus, przemywając ciepłą wodą i jodynując zadrapania na twarzy przyjaciółki.

O dziwo, wyszłam z tej walki prawie bez obrażeń. Miałam jedynie guza na głowie i draśnięcie na ramieniu, w miejscu gdzie nóż przeciął rękaw. Byłam za to przerażona. Dotarła do mnie cała groza sytuacji.

– Jak tylko skończę, przejdę się po domu i sprawdzę, czy czegoś nie brakuje – dodała Gus. – Miejmy nadzieję, że Molly zaskoczyła go w odpowiednim momencie i nie zdążył nas okraść.

Zastanawiałam się, co robić. Powiedzieć prawdę czy nic nie mówić? Mają myśleć, że to był zwykły włamywacz? Po chwili zdecydowałam, że powinny poznać fakty. Jeśli tego nie zrobię, one także znajdą się w niebezpieczeństwie.

– To nie było włamanie – wyznałam. Usiadłam i zdjęłam z czoła zimny kompres. – Muszę się do czegoś przyznać. Nie byłam z wami szczerą. Ale właśnie ocaliłyście mi życie, więc powiem prawdę.

– Jesteś członkiem gangu? – zapytała Gus z rozbawieniem.

– Nie, prywatnym detektywem – powiedziałam. – No, może ciut przesadzam. Pracowałam kiedyś w biurze detektywistycznym i tak się składa, że byłam tam, kiedy zamordowano właściciela. Napastnik, którego spłoszyłyście, to morderca mojego pracodawcy.

– Wiesz, kim jest?

– Nie, ale poświęciłam już sporo czasu tej sprawie. Od tygodni się zastanawiam, kto mógł zabić pana Rileya.

– I do jakich doszłaś wniosków?

– Trudno powiedzieć. Sierżant, który z ramienia policji zajął się dochodzeniem, twierdzi, że były to porachunki gangów. Ja temu nie dawałam wiary, bo zaskoczyłam mordercę, gdy dokładnie przeszukiwał biuro Paddy’ego. A do tego wrócił tam po paru dniach i znów szperał w dokumentach.

– Ależ to ekscytujące! – wykrzyknęła Sid i przysiadła obok mnie. – Zatem kogo podejrzewasz o zabójstwo, Molly?

– Nie jestem pewna, ale ten człowiek ciągle za mną chodzi. Był w teatrze, kiedy przyglądałam się próbie sztuki Ryana. – W tym momencie coś sobie uświadomiłam. – Wszystko zaczęło się po tym, jak odwiedziłam z Ryanem tę dziwną Emmę.

– Rewolucjonistkę Emmę? – zapytała Sid. – Spotkałam ją kiedyś. Chciała mnie namówić, bym pisała do jednej z tych anarchistycznych gazet. Ale reprezentowane tam poglądy nawet dla mnie okazały się zbyt radykalne.

– Uważasz, Molly, że Emma może mieć z tym coś wspólnego? – zapytała Gus. – Mogła wynająć kogoś,

kto zamordował twojego pracodawcę?

– Nie mam pojęcia – odparłam. – Wiem tylko, że bezpośrednie zagrożenie zaczęłam odczuwać dopiero, kiedy ją poznałam. To może być jeden z mężczyzn obecnych na tym spotkaniu. Wszyscy wyglądali podobnie. Tak jak ten, który był tu przed chwilą. – Przypomniałam sobie to dziwne wrażenie, które ogarnęło mnie w tawernie Szwaba. A kiedy wychodziliśmy z Ryanem, czułam na plecach czyjeś spojrzenie...

– W takim razie dlaczego nie pójdziesz na policję? – zapytała Gus. – Jeśli ktoś nastaje na twoje życie, powinni jakoś zareagować.

– Bo nie mam na razie żadnych dowodów, tylko podejrzenia.

– Ktoś próbował cię zabić, to nie jest dowód?

– Co zamierzasz? – wtrąciła Sid.

– Z samego rana muszę się stąd wyprowadzić – powiedziałam. – Zbyt długo nadużywam waszej gościnności, a teraz jeszcze narażam was na niebezpieczeństwo. Przepraszam. Byłam egoistką.

– Chcesz się wyprowadzić, kiedy zaczyna się robić tak ciekawie? – zaprotestowała Sid. – Chyba nie sądzisz, że pozwolimy ci odejść. Poza tym potrzebujesz dobrych ochroniarzy, takich jak my dwie.

– Byłaś wspaniała – zauważyłam. – Bardzo profesjonalnie trzymałaś mu nóż na gardle.

– Dobrze, że się nie zorientowałam, że to nóż do ryby. Wtedy nie byłabym tak pewna siebie. – Zaśmiała się głośno. – Spróbujesz odnaleźć tego człowieka i oddać go w ręce policji?

– Odwiedzę jutro Emmę – oznajmiłam. – Ryzykuję, ale muszę. Może się okazać, że jest zamieszana w tę sprawę i wynajęła zabójcę.

Rano długo przekonywałam Gus i Sid, by zostali w domu.

– We trzy będziemy wyglądać dosyć dziwnie – tłumaczyłam.

– Molly, nie bądź taka – prosiła Gus. – Wiesz, jak bardzo chcemy zostać detektywami i dopaść tego rzezimieszka.

– Uważam, że sama powinnam odwiedzić Emmę – powiedziałam. – Ale możecie mi pomóc w inny sposób. Popytajcie w okolicznych barach i tawernach, czy nie widzieli tam wczoraj wieczorem kogoś podejrzanego; młodego człowieka ubranego na czarno, który przybiegł zdyszany.

– Dobry pomysł. Na pewno to zrobimy, prawda, Gus? – odparła Sid. – Szkoda, że nie przyjrzałyśmy się mu uważniej. Tak bardzo chciałabym go dorwać! Musi nam zapłacić za moją rozciętą wargę i twoje skaleczenia, Molly.

– Pamiętaj, że to nie zabawa – zauważyłam. – Ten człowiek jest niebezpiecznym mordercą. Miałam szczęście, że usłyszałam, jak podłoga skrzypi. Gdyby nie to, podzieliłabym los Rileya.

Dotknęłam ramienia Sid.

– Obiecujcie mi, że będziecie ostrożne i dyskretne. I proszę, nigdzie o mnie nie wspominajcie.

Kiedy złożyły mi wszystkie obietnice, skierowałam się do domu przy Ósmej Zachodniej. Otworzyła mi

ta sama kobieta. Pokręciła głową.

– Nie ma jej – powiedziała. – Wyjechała.

– Wyjechała? Ale dokąd?

– Po prostu wyjechała. Do domu.

– A gdzie mieszka?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba w Chicago. Gdzieś tam. – Machnęła ręką na zachód.

– A ma pani dokładny adres?

Znów wzruszyła ramionami.

Nic z tego nie będzie – pomyślałam. W takim razie muszę znaleźć inny sposób, by odszukać mordercę. Może warto zapytać Ryana? Pewnie zna choć parę osób z tej grupy. A jeśli Ryan jednak jest w to wszystko zamieszany? *RO + LC razem...* Z niedowierzaniem pokręciłam głową. Ryan, ten kochany, poczciwy Ryan, miałby planować moją śmierć? Zbyt absurdalne, by brać to w ogóle pod uwagę. Chociaż... ten pierwszy incydent miał miejsce w zaciemnionym teatrze. Ryan twierdzi, że nie wiedział o mojej obecności, ale jeśli kłamie? A potem odwiedził nas zaraz po moim powrocie do domu. Może po to, by sprawdzić, czy w ogóle do niego dotarłam?

– Niemożliwe – powiedziałam sama do siebie. – Niedorzeczny pomysł.

Wiele razy byłam sam na sam z Ryanem. Również wtedy, gdy wyszliśmy od Emmy. Miał wiele okazji, by mnie zabić. Mógł na przykład pchnąć mnie pod koła przejeżdżającego pojazdu. Ale nie zrobił tego, tylko zadbał, bym bezpiecznie dotarła do domu. Tak bardzo nie chciałam myśleć o Ryanie jako o kimś, kto zorganizował zamach na moje życie!

Znowu nie miałam pojęcia, co robić. Może Gus i Sid mają rację i należy pójść na policję? Powinnam się zobaczyć z Danielem, on z pewnością coś by poradził. Byłby wprawdzie wściekły, że pomimo jego upomnień zaangażowałam się w śledztwo, ale złość Daniela to i tak lepsze rozwiązanie niż spotkanie z nożownikiem. Wiedziałam, że dopóki mój prześladowca nie zostanie złapany, nie mogę być pewna dnia ani godziny.

Gdybym chociaż dysponowała jakimiś twardymi dowodami, mogłabym je przedstawić policji. Oprócz zapisków w czarnym notesie, które zdołałam rozszyfrować, miałam jednak tylko przecucia i domysły. Co ciekawe, zabójca był pewien, że go śledzę... Jeśli zdjęcia zostały już wywołane, może znajdzie się na nich coś interesującego.

Postanowiłam wziąć byka za rogi i poszłam prosto do fotografa na Broadwayu. Tydzień co prawda jeszcze nie minął, ale jeśli powiem, że to bardzo pilna sprawa, może się w końcu zlituje i wywoła je od ręki. Kiedy weszłam do środka, powitał mnie niezbyt przyjaznym „A, to pani”.

– Przepraszam za kłopot, ale zastanawiałam się właśnie... – zaczęłam.

– Czy zdjęcia są gotowe, tak? – dokończył. – Owszem, już od dawna. Pani tak nalegała, że wywołałem je możliwie szybko. Obawiałem się, że będzie mnie pani codziennie męczyć w tej sprawie.

Otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej kopertę.

– Proszę bardzo – powiedział. – Za zlecenie ekspresowe należy się jeden dolar.

– Jeden dolar? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– To jak? Bierze pani czy nie? – Ponownie otworzył szufladę, jakby chciał schować zdjęcia z powrotem.

Szybko wyciągnęłam pieniądze i wyszłam na ulicę. Szary poranek zamienił się w zachmurzone przedpołudnie. Na chodnik zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Schowałam się pod markizę sąsiedniego sklepu i ostrożnie otworzyłam kopertę. Fotografie nie były szczególnie dobre – niewyraźne, większość zbyt ciemna, by odróżnić szczegóły. Na jednej z nich rozpoznałam lorda Edgemonta, jak w towarzystwie pięknej damy – prawdopodobnie słynnej panny Kitty – opuszcza dom przy Gramercy Park. Kolejne zdjęcie zostało zrobione przed Delmonico i widać było na nim tę samą parę, wchodzącą do środka. Inne przedstawiało mężczyznę i kobietę w zarezerwowanej sali, ale było tak ciemne, że oprócz niezwyklego kapelusza panny Kitty nie mogłam dostrzec żadnych szczegółów.

Potem zobaczyłam coś, co naprawdę zapało mi dech w piersi. R.O. i L.C. razem w barze O'Connorów! Zdjęcie też było ciemne, ale rozpoznałam na nim piękną, uśmiechniętą twarz Ryana. Pochylał się w stronę innego mężczyzny, szczupłego, w czarnym kaszkiecie na głowie. Mężczyzna miał udręczony wyraz twarzy i pusty wzrok, który pasował do mojego napastnika. Co więcej, wiedziałam, kim jest. Tamtego wieczoru siedział w tawernie u Szwaba w najdalszej części sali.

Wyjmowałam kolejne fotografie. Na jednej Ryan i ten sam mężczyzna pochylali się nad kartką papieru leżącą na stole. A potem – zaskoczenie! Sierżant Wolski w rozmowie z jakimś człowiekiem. Czy Wolski maczał palce w zabójstwie Rileya? Pojawił się w biurze zaraz po morderstwie... Może krążył gdzieś w okolicy i czekał, aż wynajęty zbir wykona swoją robotę? To Wolski sprawdzał ślady; upewnił się, że w porę wyjdę z biura. Poza tym interesował się aparatem Paddy'ego. Czy zdawał sobie sprawę, że na zdjęciach jest coś, co go obciążą?

Serce waliło mi jak młotem. Teraz, kiedy wiem, że sierżant Wolski ma coś na sumieniu, nie zaufam już żadnemu innemu policjantowi. Pójdę prosto do Daniela. Tylko jemu mogę o wszystkim powiedzieć. Jeśli Daniela akurat nie będzie w biurze, przyjdę kiedy indziej. Skierowałam się w stronę siedziby policji na Mulberry Street, ale uprzytomniłam sobie, że przechodzę bardzo blisko tawerny u Szwaba. Może barman rozpozna tego mężczyznę, który jest z Ryanem na zdjęciach? Już miałam przejść przez ulicę, kiedy zatrzymała mnie nagła ulewa. Schowałam się pod najbliższe zadaszenie i ponownie wszystko przemyślałam. A jeśli mój prześladowca będzie akurat w środku? Trudno. Zwyciężyła chęć przedstawienia Danielowi konkretnych wyników śledztwa. W biały dzień nic złego nie może się wydarzyć. W najgorszym razie ochroni mnie barman i inni goście.

Z biciem serca pchnęłam ciężkie szklane drzwi i weszłam. O tej porze wewnątrz nie było jeszcze zadymione; przy barze siedziało tylko dwóch klientów. Poprosiłam barmana na bok i pokazałam mu fotografie. Owszem, widział tego mężczyznę parę razy, ale nie znał jego imienia ani nazwiska.

– Pozostali będą wiedzieć – dodał, wskazując ręką w głąb baru, tam gdzie kiedyś siedziałam. – Ci,

z którymi panienska była tu parę dni temu. Kilku z nich przychodzi co wieczór.

Wysłałam z pustymi rękami. Ulewa się skończyła. Chodniki parowały, w powietrzu unosił się zgniły zapach. Zrobiłam parę kroków w kierunku Mulberry Street, ale zaraz się zatrzymałam. Na schodach przy głównym wejściu na posterunek stał sierżant Wolski i rozmawiał z jakimś innym policjantem. Potem skierowali się do drzwi i śmiejąc się, weszli razem do środka. Misja skończona – zdecydowałam. Rozmowa z Danielem musi poczekać na lepszą okazję.

Mogłam tylko wrócić do domu. Przez chwilę rozważałam, czy nie zostawić Danielowi jakiejś wiadomości w jego mieszkaniu, ale pomyślałam, że wstrzymam się jeszcze chwilę i przedstawię mu pełne dowody, z imieniem i nazwiskiem zabójcy Paddy'ego włącznie. Wpadłam na pomysł, że dzisiejszego wieczoru poproszę Sid i Gus, a może nawet Lenniego i innych znajomych, by towarzyszyli mi w wyprawie do Szwaba. Z nimi nic złego mi się nie stanie! Ale zaraz stwierdziłam, że jest pewien problem. Będę im musiała pokazać zdjęcia. A wtedy Sid albo Gus od razu zaproponują, żeby zapytać Ryana, kim jest tamten mężczyzna. To byłoby najprostsze rozwiązanie, tylko że nie byłam do końca pewna, czy mogę Ryanowi ufać. Jeśli maczał palce w zabójstwie Paddy'ego, rozmowa na ten temat nie jest najlepszym pomysłem.

Kiedy wróciłam do domu, czekały na mnie Sid i Gus. Ich detektywistyczna misja nie zakończyła się sukcesem. Nikt nie zauważył wczoraj podejrzanego mężczyzny. Powiedziałam, że wieczorem chcę pójść do Szwaba, i poprosiłam, by mi towarzyszyły.

– Sądysz, że on tam będzie? – zapytała Sid, podekscytowana perspektywą spotkania z napastnikiem. – Chętnie się mu odwdzięczę za to, co nam wczoraj zrobił.

– Barman u Szwaba twierdzi, że wieczorem przyjdą ludzie, którzy na pewno wiedzą, jak się ten drań nazywa – powiedziałam i zupełnie niechcący dałam do zrozumienia, że mam jego zdjęcie.

Gus i Sid bardzo chciały je zobaczyć. Na szczęście wpadłam szybko na genialny pomysł. Pobiełam na górę do swojego pokoju i przecięłam nożyczkami na pół jedno z dwóch zdjęć, które przedstawiały Ryana z mężczyzną. Potem zbiegłam na dół i pokazałam fotografię przyjaciółkom.

– To jest ten człowiek – oznajmiłam. – Mój pracodawca musiał go śledzić; zrobił mu zdjęcie.

Gus wzięła je do ręki.

– Tak, to na pewno on – zauważyła. – Wszędzie bym go rozpoznała.

– Molly, kochana. Omówiliśmy to dokładnie z Gus – odezwała się Sid. – Nie pozwolimy ci dzisiaj pójść do Szwaba.

– Nie rozumiecie? Muszę znaleźć tam kogoś, kto mi powie, jak się ten człowiek nazywa.

Sid uśmiechnęła się wesoło.

– I dlatego my pójdziemy tam zamiast ciebie.

– Wy? Nie, nie zgadzam się. Naraziłam was na tyle nieprzyjemności...

Gus podniosła rękę, by mnie uciszyć.

– A jeśli tam będzie? Lepiej nie wzbudzać jego podejrzeń.

– Kiedyś często chodziłyśmy do Szwaba – dodała Sid. – Wszyscy nas znają w Village. Wiedzą, że odwiedzamy bary.

– Dobrze, ale bądźcie ostrożne – poprosiłam.

– Nie martw się o nas – odparła Gus. – Lepiej wymyślmy powód, dla którego będziemy o niego pytać.

– Jest mi winny pieniądze – zaśmiała się Sid. – W Village to bardzo dobry argument.

Wieczorem poszłyśmy razem w stronę Szwaba. Uznałyśmy, że nie powinnam zostawać sama w domu. Znalazłam małą kawiarenkę naprzeciwko tawerny i usadowiłam się przy oknie. Obserwowałam. Minęła wieczność. Coraz więcej osób wchodziło do środka, ale nikt nie wychodził. Wypiłam trzy filiżanki kawy, a dziewcząt ciągle nie było. Zaczęłam się denerwować, że coś się stało. A jeśli wszyscy członkowie grupy Emmy byli w zмовie i porwali Sid i Gus? A jeśli i barman został wtajemniczony? Już byłam gotowa wtargnąć do środka i bronić przyjaciółek, kiedy zobaczyłam, że wychodzą i kierują się ku kawiarni.

– Przepraszamy, ale chwilę nam to zajęło – powiedziała Sid. – Musiałyśmy udawać, że przyszłyśmy również w celach towarzyskich.

– Sid była świetna – dodała Gus. – Zapytała, czy Emma jest jeszcze w mieście, bo ma dla niej artykuł, który kiedyś obiecała napisać. Zaprosili nas do stołu, więc całkiem naturalnie mogłyśmy zapytać o mężczyznę na zdjęciu.

– Byłabyś z nas dumna. Zachowałyśmy się jak prawdziwa ekipa śledcza – dodała Sid.

– I dowiedziałyście się, kto to jest?

– Tak, chociaż chwilę to trwało. Nie mieszka w Nowym Jorku. Owszem, przychodził na spotkania, ale tylko sporadycznie, więc tak naprawdę nikt go dobrze nie zna. Nie jest związany z grupą. Nawet oni mówią, że jest jakiś dziwny. Nikt nie znał jego imienia, lecz w końcu ktoś sobie przypomniał, że chyba ma na nazwisko Solgos.

– Solgos? Oryginalnie. A powiedzieli wam, gdzie możemy go znaleźć?

– Ktoś zasugerował, że pewnie zatrzymał się w tanim hotelu niedaleko portu. Przy Barrow Street.

– Barrow Street? – powtórzyłam.

To musi być pensjonat pani O’Shaunessey – pomyślałam. Ironia losu! Mieszkał w tym samym miejscu co Paddy.

– Wiem, gdzie to jest – oznajmiłam.

– Pójdiesz teraz na policję? – zapytała Gus. – Niech go znajdą i aresztują.

Zapadł zmrok i znów zaczęło padać.

– Rano – powiedziałam. – Rano pójdę na posterunek.

– Molly, igrasz z ogniem. – Sid chwyciła mnie za rękę. – Dlaczego nie od razu? Co masz przeciwko policji oprócz tego, że to banda skorumpowanych i agresywnych łotrów?

– Mam swoje powody – odparłam. – Pewien kapitan, który był kiedyś moim bliskim przyjacielem, zabronił mi angażować się w tę sprawę. Nie będzie zadowolony.

– Nie będzie zadowolony, jeśli znajdzie twoje ciało w Hudson – zauważyła Gus.

– Obiecuję, że pójde tam z samego rana. Ale tylko jemu mogę przekazać wszystkie informacje. Nikomu innemu. Uwierzcie mi, mam powody.

– Ależ to wszystko jest ekscytujące! – westchnęła Sid. – Czuję się jak Holmes albo Watson. A ty, Gus, kochanie?

Ja w ogóle nie czułam się ani jak Holmes, ani jak Watson. Miałam tego wszystkiego powyżej uszu. Chciałam zająć się wreszcie czymś innym. Niełatwo się przyznać, ale nabrałam w końcu ochoty, by swoimi obserwacjami podzielić się z Danielem.

Następnego ranka Sid i Gus znów chciały mi towarzyszyć. Tym razem zdecydowanie odmówiłam. Nie chciałam, by spotkały Daniela, nie chciałam opowiadać im o tym, co nas kiedyś łączyło. Nie mogłam pozwolić, by zobaczyły, jak dostaję reprimendę od kapitana Sullivana. W końcu dały mi spokój, a ja obiecałam, że pójde prosto na posterunek i nigdzie po drodze się nie zatrzymam.

Szczerze mówiąc, bałam się spotkania z Danielem. Wiedziałam, że będzie na mnie wściekły. Ja też nadal byłam na niego zła. Jak nic czeka nas awantura – pomyślałam. Trudno, w końcu lepsze to niż nóż w plecach.

W recepcji zapytałam o kapitana Sullivana. Młody porucznik zniknął, a po chwili wrócił z nie dobrą wiadomością.

– Niestety, nie ma go. Wziął parę dni wolnego. Czy to pilne? Mogę jakoś pani pomóc?

– Wyjechał? – Staralam się zachować spokój. – Wyjechał z miasta?

– Nie wiem. Jestem tutaj nowy. Nie znam prywatnych planów kapitana – odparł z uśmiechem.

Nie miałam wyboru. Wezwałam taksówkę i kazałam się zawieźć do dzielnicy o nazwie Chelsea, gdzie przy Dwudziestej Pierwszej Ulicy mieszkał Daniel. Okolica była cicha i spokojna, zupełnie inna niż hałaśliwa i wesoła Village. Zadzwoiłam, ale nikt mi nie otworzył. Nacisnęłam dzwonek mieszkania sąsiadów, państwa O'Shea, których kiedyś poznałam. Też cisza. Cała ulica była pusta, w oknach zaciągnięto rolety, tak jakby wszyscy gdzieś wyjechali.

Pozostało mi jeszcze tylko jedno. Przy Dziewiątej Alei wskoczyłam do elki i pojechałam z powrotem na Greenwich Street. Przed drzwiami pensjonatu pani O'Shaunessey zaczerpnęłam głęboko powietrza. A jeśli Solgos jest w środku i mnie zobaczy? Czy jest na tyle zdesperowany, by zrobić mi krzywdę w biały dzień? Ale zaraz... Powinien wiedzieć, że zdołałam go namierzyć i że wcale się go nie boję. Może moja determinacja go przestraszy? Zapukałam.

– Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś się spotkamy – powiedziała na mój widok pani O'Shaunessey. Jak zwykle wyglądała niechlujnie. Zerknęła na mnie spode łba i dodała: – Mam nadzieję, że nie chodzi o te rzeczy, które należały do pana Rileya, bo dawno się ich pozbyłam, a pokój wynajęłam już nowemu lokatorowi.

– Nic podobnego, pani O'Shaunessey – odparłam szybko i obdarzyłam ją przymilnym uśmiechem. – Staram się odnaleźć młodego człowieka. Być może mieszka u pani. Powiedziano mi, że zatrzymał się

w pensjonacie przy Barrow Street. Chyba tylko pani prowadzi na tej ulicy pensjonat, prawda?

– Jest jeszcze taka śmierdząca dziura na rogu. – Wskazała podbródkiem w stronę rzeki i zaplotła ręce na obfitym biuście. – Nazywają się pensjonatem, ale to raczej melina.

– W takim razie ten młody człowiek, którego szukam, zatrzymał się chyba u pani. Nie jestem pewna, jak się nazywa, podano mi nazwisko Solgos. Jest szczupły i niezbyt wysoki, nosi czarny kaszkiet.

– Ach, pewnie chodzi o pana Czolgosza? – spytała. – To podobno polskie nazwisko.

– Polskie?

Interesujące – pomyślałam. Czy przypadkiem Wolski to również nie polskie nazwisko?

– Za późno przyszła. Tym razem był tutaj tylko parę dni, już wyjechał.

– Wyjechał? A wie pani dokąd?

– Mówił, że do domu. Jeśli dobrze pamiętam, pochodzi z jakiegoś pogańskiego miejsca, chyba Ohio.

Najpierw poczułam ulgę. Nie ma go w mieście. Wyjechał. Jestem bezpieczna. Ale potem uświadomiłam sobie, że to nie koniec mojej pracy detektywa.

– Posprzątała pani pokój? – zapytałam. – Może coś zostawił. Coś, dzięki czemu będę mogła się z nim skontaktować.

– A co by on mógł zostawiać! – prychnęła. – Biedny jak mysz kościelna. Ale nie miałam jeszcze czasu posprzątać. Może wejść i zerknąć. To znajomy?

– Znajomy znajomej – odparłam. – Obiecałam, że go znajdę.

– Wynajmował pokój na dole – powiedziała. – Naprzeciwko kuchni.

Poszła w głąb domu, sapiąc i postępując, a potem w najwęższym miejscu korytarza otworzyła drzwi. Pokój był wielkości komórki. W dodatku bardzo ciemnej. Stało tutaj wąskie łóżko, stół, na ścianie wisiała półka i kilka wieszaków na ubrania. Okno wychodziło na ceglany mur, oddalony zaledwie o metr. To najbardziej smutne i ponure miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam!

– Poprzednim razem mieszkał na piętrze. Teraz poprosił o tańszy pokój – dodała gospodyni, jakby czytając w moich myślach. – Zapalić światło?

Kiedy lampa naftowa oświetliła wnętrze, wydało się ono jeszcze bardziej przygnębiające. Obdrapana tapeta, popękany tynk, na podłodze poplamione linoleum. Wzdrygnęłam się z obrzydzenia.

– Ciekawe, że chciała zobaczyć ten pokój – stwierdziła pani O'Shaunessey. – Teraz przypominałam sobie, że biedny pan Riley też kiedyś tu zajrzał. Poprosił mnie dyskretnie, żebym go wpuściła do pokoju pana Czolgosza. Ale zupełnie nie wiem, czego się spodziewał. A potem wieść o tym doszła do pana Czolgosza i bardzo go zdenerwowała. W sumie trudno się dziwić. Ale to spokojny człowiek, niełatwo go było wyprowadzić z równowagi.

Kiedy mówiła, znalazłam pod stołem kosz na śmieci i wyrzuciłam na blat jego zawartość: kawałki papieru i porwaną pocztówkę. Szybko ją złożyłam dzięki obrazkowi na wierzchniej stronie. Przedstawiał wodospad Niagara w Buffalo w stanie Nowy Jork. Ładny widoczek, zupełnie niepasujący do agresywnej natury pana Czolgosza – pomyślałam i odwróciłam kartkę, by zobaczyć, kto był adresatem.



Ryan O'Hare. Hotel Lafayette w Nowym Jorku.

Treść brzmiała:

*Chyba nie sądzisz, że tak łatwo puszczę wszystko w niepamięć? Jeszcze sobie o mnie przypomnisz.*

I podpis: *Leon.*

– Dziękuję, pani O'Shaunessey. Bardzo mi pani pomogła.

– Znalazła coś ciekawego?

– Tak, pocztówkę z Buffalo. Może tam się właśnie zatrzymał w drodze do domu?

– A to dopiero! – zawołała. – Coś mi się przypomniało. Oglądał rozkład jazdy pociągów.

Rzeczywiście mówił o Buffalo.

Szybko włożyłam do kieszeni kawałki pocztówki, pożegnałam się i wyszłam. Biegłam co tchu w piersi do hotelu Lafayette, nawet nie zważając na to, że mogę pobrudzić sobie ubranie. Ryan musi mi to wszystko wytłumaczyć! Wyciągnę z niego informacje. Dziwne, ale przestałam się bać. Dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

– Pan O'Hare? Przykro mi, panienko, nie ma go w hotelu. – Młody człowiek w recepcji uśmiechnął się przepaszająco.

– Już poszedł do teatru? – zapytałam. Dziwne, Ryan zawsze lubił pospać.

– Nie, panienko. Wyjechał z Nowego Jorku. Podobno wystawia sztukę na prowincji.

– Aha. – Poczułam, że tracę siły. – A wie pan może, dokąd konkretnie pojechał?

– Słyszałem, że do Buffalo. Wybrał dobre miejsce, przecież wszyscy tam się teraz zjeżdżają.

– Wszyscy?

– No tak. – Popatrzył na mnie jak na idiotkę. – Nie słyszała panienka o wystawie<sup>[7]</sup>? Trwa od paru miesięcy. Goście mówili, że to coś niesamowitego. Miasto jest pięknie oświetlone, w barach i tawernach tłumy. Podobno mają tam nawet rodeo i model miasteczka z Dzikiego Zachodu.

Wszystko zrozumiałam. To nie byka rysował Paddy w swoim notesie, ale bawołu. R.O. i L.C. pojechali razem do Buffalo. Zrobią tam jakieś zamieszanie. Muszę ich powstrzymać.

Po powrocie na Patchin Place stwierdziłam z ulgą, że Gus i Sid gdzieś wyszły. Musiałam pozbierać myśli. Trzeba pojechać do Buffalo i powstrzymać Ryana i Leona Czolgosza! Daniel wyjechał z miasta, a nie ma innego policjanta, któremu mogłabym zaufać, zwłaszcza jeśli Wolski macza w tym wszystkim palce. Muszę sama wybrać się do Buffalo. Zadrżałam na myśl o podróży. Nigdy jeszcze nie wyjeżdżałam z Nowego Jorku. Nie miałam pojęcia, gdzie leży Buffalo; pamiętałam tylko, że w granicach tego samego stanu, więc pewnie niezbyt daleko. Mimo to trudno odbyć taką podróż tam i z powrotem w ciągu jednego dnia. Trzeba będzie zatrzymać się gdzieś na noc. Wrzuciłam do starej torby podróżnej koszulę nocną i szczotkę do włosów. Zostawiłam wiadomość dla Sid i Gus z wyjaśnieniem, dokąd jadę. Napisałam również dłuższy, szczegółowy list do Daniela, przedstawiając swoje podejrzenia i prosząc, by skontaktował się z policją w Buffalo. Dołączyłam fotografie. Nie wiedziałam, kiedy Daniel wróci do domu. Mogłam się tylko modlić, żeby w porę znalazł kopertę.

Nie bacząc na wydatek, pojechałam taksówką do jego mieszkania, z nadzieją nacisnęłam dzwonek, a kiedy nikt nie otworzył, wrzuciłam list do skrzynki. Potem wybrałam z banku trochę pieniędzy i ruszyłam na stację Grand Central.

Nigdy wcześniej nie byłam na prawdziwym dworcu kolejowym. Raz wysiadłam na stacji głównej w Belfaście, ale wtedy uciekałam z Irlandii, więc wygląd samego dworca nie bardzo mnie interesował. Ten, na którym się teraz znalazłam, był wyjątkowy. Przestronna, wielka hala, z echem potęgującym wszystkie odgłosy. Poczulałam się niepewnie. Stałam na chwilę w wejściu, starając się złapać oddech. Potem zaczęłam torować sobie drogę łokciami, aż dotarłam na koniec kolejki do okienka. Czy zdążę na czas kupić bilet? Słyszałam, jak konduktorzy wzywają pasażerów: „Chicago i inne miasta na wschodzie! Na peronie drugim pospieszny do Bostonu!” Wreszcie stanęłam przy kasie biletowej. Dowiedziałam się, że pociąg do Buffalo odchodzi w południe, ale będę miała szczęście, jeśli znajdę miejsce siedzące. Połowa Nowego Jorku jedzie obejrzeć wystawę. Jeśli chcę, mogę poczekać na nocny pociąg i zarezerwować kuszetkę.

– Kuszetkę? A po co? – zapytałam. – Czyżby podróż tak długo trwała? To przecież ten sam stan.

– Podróż trwa prawie osiem godzin – powiedział wąsaty mężczyzna w okienku i spojrzał na mnie rozbawiony. – Idę o zakład, że stan Nowy Jork jest znacznie większy od całej Irlandii. Bierze pani kuszetkę czy nie? W tej kolejce jest pewnie mnóstwo osób, które na nią czekają.

– Zaryzykuję – odparłam szybko. – Pojadę w południe.

– Czas się będzie dłużyć na korytarzu. – Kasjer uśmiechnął się i wręczył mi bilet.

Nie miał racji. Podróż odbyłam na siedząco. Wystarczyło z odpowiednio zatroskaną miną przejść przez jeden z wagonów, a od razu kilku dżentelmenów zaoferowało mi swoje miejsce.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że droga przez jeden stan może trwać tak długo. Az osiem godzin? W tym

czasie można by przejechać Irlandię wzdłuż i wszerz. W przedziale było gwarno i wesoło, wszyscy jechali na wycieczkę. Czułam się obco, ze zdenerwowania miałam ściśnięty żołądek. Kiedy pociąg jechał wzdłuż rzeki Hudson, oglądałam krajobrazy. Mijaliśmy skały, potem małe wioski z białymi domkami. Na łąkach ludzie urządzali pikniki, pływali łódkami po rzece. W innych okolicznościach podziwiałabym piękne widoki, ale nie teraz. Miałam wrażenie, że cały świat oprócz mnie jest w wesołym, świątecznym nastroju.

Czy robię słusznie, jadąc do Buffalo? Czy dobrze poskładałam fragmenty łamigłówek i moje podejrzenia się sprawdzą? Wcześniej kilkakrotnie mylnie interpretowałam fakty. Co tak naprawdę wiem? Zamknęłam oczy, wsłuchując się w rytmiczne sapanie lokomotywy. Wiem, że Leon Czolgosz zabił Paddy'ego i nastawał na moje życie. Nie da się temu zaprzeczyć. Kolejne pytanie brzmi zatem: dlaczego chciał nas zabić? Prawdopodobnie uważał, iż Paddy zebrał przeciw niemu dowody, o których i ja wiedziałam. Musiało chodzić o coś bardzo ważnego, skoro zależało mu na śmierci nas obojga. Poza tym spalił biuro, w którym, jak sądził, znajdowały się obciążające go materiały. Znowu wróciłam myślami do teczek w sekreterze, zastanawiając się, co mogłam przeoczyć. Szybko się zreflektowałam: Paddy był niezwykle dyskretny i ostrożny. Nigdy czarno na białym nie zapisałby swoich podejrzeń. Wszystkie informacje zabrał ze sobą do grobu.

Mogłam tylko zgadywać, o co w tym wszystkim chodzi. Umierając, Riley powiedział, że coś jest dla niego za duże. Zajmował się małymi sprawami – rozwodami, przestępstwami gospodarczymi. Tym razem trafił na coś, co go przerosło. Dlatego powiedział „za duże dla mnie”. A ja? Czego ja zdołałam się dowiedzieć? Leon był na spotkaniu anarchistów. Ci ludzie potrafią być okrutni. Obalają rządy, ścinają władcom głowy, zmieniają porządek społeczny... A w Buffalo właśnie trwa wielka wystawa. Przyjadą tysiące zwiedzających, trudno, by anarchista nie wykorzystał takiej okazji. Prawdopodobnie planuje coś, co wszyscy na długo zapamiętają.

Pytanie, które mnie najbardziej nurtowało, dotyczyło Ryana i jego ewentualnego udziału w zbrodni. Wesoły, czarujący Ryan i agresywny, ponury Leon pasowali do siebie jak pięść do nosa. Jak to się stało, że w ogóle się spotykali? Prawdopodobnie poznali się dzięki Emmie Goldman. Być może wspólnie wykonywali jej polecenia. Przypomniałam sobie, jak tamtego wieczoru Ryan w jednej sekundzie zostawił wszystkich przyjaciół i popędził na spotkanie z Emmą. Nie mogłam jednak uwierzyć, że ten sam Ryan mógł być przestępcą zamieszonym w śmierć Paddy'ego. Ale przecież mam zdjęcia! Wierciłam się na siedzeniu. Mimo wszystko muszę być ostrożna! Nie powinnam kierować się sercem i zakładać, że Ryan jest niewinny. W Buffalo trzeba będzie zachować czujność.

Miałam dużo czasu do namysłu. Zorientowałam się, że w ogóle nie wiem, co zrobić po wyjściu z pociągu. Może powinnam jednak była pójść na posterunek w Nowym Jorku? Jadąc do Buffalo, narażam się na niebezpieczeństwo – pomyślałam. Trzeba było pominąć Wolskiego i opowiedzieć o wszystkim jakiemuś innemu policjantowi! Tylko co tak naprawdę mogłam powiedzieć? Że Leon Czolgosz zamordował Paddy'ego Rileya i napadł na mnie? Na potwierdzenie własnych słów nie mam przecież żadnych dowodów. No, może oprócz zdjęć, notatek Paddy'ego i rysunku bawołu. Czy to nie za mało, by jakkolwiek policjant wziął moje słowa na serio? Może nawet wsadziliby mnie za kratki. Już Wolski by

o to zadbał. Oczywiście jeśli jest w to wszystko jakoś zamieszany.

Podróż wydawała się nie mieć końca. W dalszej części wagonu grupa młodych mężczyzn śpiewała popularne piosenki. *Daisy, Daisy, proszę daj mi jakiś znak*. W innej sytuacji byłabym zachwycona. Teraz nie bardzo mi to odpowiadało. Szkoda, że nie mogę w spokoju pozbierać myśli! Przeszłam na sam koniec pociągu i stanęłam na małej platformie. Mijaliśmy zielone pola i małe białe domki. Przypomniałam sobie podróż na początku roku, kiedy uciekając z Irlandii, jechałam przez cały kraj. Od tego czasu tyle się wydarzyło! Moje poprzednie spokojne życie było zamkniętym rozdziałem.

Czy wróciłabym do domu, gdyby nadarzyła się okazja? – zapytałam sama siebie. Odpowiedź była prosta – nigdy nie zamieniłabym Nowego Jorku na monotonną egzystencję w Ballykillin. Nawet jeśli prowadzę ryzykowne życie, przynajmniej oddycham pełną piersią – pomyślałam. I gdyby tylko Daniel... Nie, nie wolno mi w ten sposób myśleć o Danielu – zdecydowałam. Zerwał się wiatr i przywiał dym z lokomotywy. Wróciłam do przedziału.

Tuż przed ósmą wieczorem pociąg wtoczył się na dworzec w Buffalo. Z wagonów wysypał się tłum ludzi. Wszyscy ruszyli pewnym krokiem przed siebie, jakby doskonale wiedzieli, dokąd iść. Ja nie miałam pojęcia. Wyszłam z dworca wprost na tłoczną ulicę. Człowiek, który sprzedał mi rano bilet, wcale się nie mylił. Rzeczywiście do Buffalo zjechała połowa Nowego Jorku. Kawiarnie i tawerny były pełne, a ze wszystkich stron dochodziły jakieś dźwięki. W eleganckich restauracjach i zwykłych ogródkowych barach grały orkiestry. Uliczni sprzedawcy z trudem przepychali się wśród ludzi i zachwalali swój towar, wołając: „Ciepłe precele za pół ceny, lody, najwspanialsze włoskie lody, lemoniada, wata cukrowa, pamiątki...!” Od hałasu i zamętu zaczęło mi się kręcić w głowie.

Stanęłam na ulicy, pod filarem, i starałam się zebrać myśli. Było już prawie ciemno, więc może najpierw powinnam znaleźć nocleg, a potem pozajątwiać inne sprawy? – pomyślałam, ale po chwili doszłam do wniosku, że nie mogę odkładać prawdziwych powodów swojej wizyty w Buffalo. Najlepiej będzie od razu znaleźć Ryana. A może powinnam pójść prosto na policję i o wszystkim powiedzieć? Wtedy to oni zadecydują, co dalej robić. Przesłuchają Ryana, a jeśli okaże się niewinny, będzie mógł od razu wrócić do teatru. A ja z czystym sumieniem wsiądę wtedy do pociągu i pojedę z powrotem do Nowego Jorku. Tak, to lepszy pomysł. Poszłam przed siebie, wypatrując w tłumie policjanta, którego mogłabym zapytać o najbliższy posterunek. Następnie postanowiłam znaleźć teatr, w którym Ryan wystawia swoją sztukę.

Buffalo okazało się sporym miastem. Ulice ciągnęły się daleko we wszystkich kierunkach, obok mnie przejeżdżały trolejbusy. Wznosiły się wysokie gmachy, równie imponujące jak te w Nowym Jorku. W końcu dotarłam do skrzyżowania dwóch chyba głównych arterii. Tabliczka przy jednej z nich głosiła Main Street. Wygląda na to, że jestem w centrum – pomyślałam. Kiedy czekałam, by przejść przez ulicę, zobaczyłam na niebie wielką łunę, tak jakby słońce jeszcze wcale nie zaszło za horyzont, tylko schowało się za wysokimi budynkami. W pierwszej chwili sądziłam, że wybuchł jakiś straszliwy pożar, i czekałam na dźwięki syren. Gdy wpatrywałam się trochę dłużej, zauważyłam, że łuna przesuwa się po niebie jak snop światła z latarni morskiej i kieruje się coraz wyżej i wyżej, oświetlając nawet chmury. Zrozumiałam, że to pewnie światła słynnej wystawy. Już chciałam biec w tamtym kierunku, by zobaczyć

te cuda na własne oczy, ale na szczęście w porę przypomniałam sobie, po co tu naprawdę jestem.

Naprzeciw mnie jechał na koniu policjant. W tym samym momencie po przeciwnej stronie ulicy ujrzałam na jednym z budynków napis TEATR PFEIFFER. Biłam się z myślami. Człowiek na drabinie umieszczał nad wejściem informację: „Jutro wieczorem specjalne pokazy przedpremierowe sztuki *Przyjaciele i sąsiedzi* pióra światowej sławy dramaturga Ryana O’Hare”.

Wpatrywałam się w szyld i nie potrafiłam podjąć decyzji. O wiele łatwiej byłoby opowiedzieć o wszystkim policji, ale nie powinnam tego robić, dopóki nie zamienię choć paru słów z Ryanem. Czuję się jak zdrajca! Może jestem naiwna, ale Ryan, którego znam, nie pasuje do wizerunku brutalnego anarchisty. Czy mógłby planować jakiś zamach na wieczór przedprapremierą swojej sztuki? Nie, to nie ma sensu.

Uniosłam spódnicę i przeszłam na drugą stronę. Zaryzykuję. Trudno. Ryan nic mi nie zrobi, bo w teatrze nie będziemy przecież sami. A jeśli po jego reakcji poznam, że moje przypuszczenia nie są bezpodstawne, poproszę któregoś z aktorów, by odprowadził mnie na posterunek policji. Nie ma się czego obawiać!

Frontowe wejście było zamknięte, ale obeszałam budynek i na tyłach znalazłam otwarte drzwi od strony sceny. Ochroniarz nie chciał mnie wpuścić, więc skłamałam, że wiozę z Nowego Jorku ważną wiadomość dla pana O’Hare.

– Teraz bym mu nie przeszkadzał, panienko – powiedział starszy mężczyzna. – Trwa próba kostiumowa.

– Proszę się nie martwić. Poczekam na odpowiedni moment.

Ruszyłam do przodu, zanim zdążył wyjść ze swojej budki. Minęłam garderoby i rekwizytornie. Scena była jasno oświetlona. Aktorzy mieli na sobie kostiumy i charakteryzację, a ich głosy odbijały się echem i wracały w moją stronę. Nie mogłam nigdzie dostrzec Ryana. Otworzyłam cichutko drzwi na widownię i stanęłam z boku przy pierwszym rzędzie. W ciemności udało mi się dostrzec kilka osób siedzących nieco dalej, parę rzędów za fosą orkiestrową. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zdołałam rozpoznać charakterystyczne kręcone włosy Ryana. Odetchnęłam z ulgą. Jest na widowni, na dodatek w towarzystwie. Nie będę z nim sam na sam. Serce waliło mi jak szalone, bałam się, że słyszą je nawet aktorzy na scenie. Padła żartobliwa kwestia i usłyszałam śmiech publiczności. Widziałam, że Ryan jest zadowolony.

Dalej, działaj. Załatw to wreszcie – przywołałam się do porządku, ale nie mogłam zmusić nóg do jakiegokolwiek ruchu. Owszem, polubiłam Ryana, ale zdawałam sobie również sprawę, że mało o nim wiem. Jaki naprawdę jest, co skrywa w środku? No dobrze, nie ma czasu na wahania – pomyślałam. Trzeba wreszcie z nim porozmawiać. Poczekałam do końca sceny, wyszłam z cienia i zbliżyłam się do rzędu, w którym siedział Ryan ze swoimi gośćmi.

Odwrócił się zaskoczony.

– Molly, co, u licha... Miła niespodzianka, ale dlaczego nie powiedziałaś, że wybierasz się do Buffalo?

– Chciałam się z tobą zobaczyć, Ryan – wyszeptałam. – Musimy porozmawiać. To ważne.

Położył palec na ustach.

– Jeszcze jedna scena w pierwszym akcie, a potem jest dziesięć minut przerwy – odparł.

Starłam się oglądać sztukę, ale rozpraszała mnie świadomość, że Ryan jest tak blisko. Próbowałam zrozumieć akcję i śmiać się z dowcipów tak jak inni, ale zaschło mi w ustach i cała się trzęsłam. Zrozumiałam, że bardzo boję się konfrontacji z Ryanem.

– Będziesz żałować – powiedziała jedna z aktorek ze sceny. – Jestem pewna, że będziesz żałować – powtórzyła i zeszła ze sceny.

Kurtyna opadła.

Poczułam ulgę, kiedy na widowni zapaliły się światła. Ryan odwrócił się do mnie i uśmiechnął szeroko.

– Zdaję sobie sprawę, że trudno mi się oprzeć, najdroższa Molly, ale żeby aż jechać za mną do Buffalo, to lekka przesada!

– Ryan, obawiam się, że to wcale nie jest śmieszne – wyszeptałam. – Musimy porozmawiać o czymś niezwykle ważnym.

Mężczyzna obok wstał z fotela.

– Rozprostuję kości i puszcze dymka – powiedział. – Jak do tej pory wspaniała robota, O’Hare.

Miałam nadzieję, że pozostali goście też sobie pójdą.

Ryan spoglądał na mnie z zainteresowaniem.

– Tylko nie mów, że wysłał cię George z baru, bo nie zapłaciłem ostatniego rachunku.

Cały Ryan. Beztroski i sypiący żartami. Sprawdziłam, czy nasi najbliżsi sąsiedzi są zajęci rozmową, i powiedziałam:

– Nie wiem, od czego zacząć. Może najpierw zdradź mi, co łączy cię z mężczyzną o nazwisku Czolgosz.

– Z Leonem? – zapytał zaskoczony. – Moja droga, to bardzo stara historia. Dawno skończona.

– Skończona?

Pochylił się w moją stronę.

– W zeszłym roku mieliśmy krótki romans. Ale znudziłem się i poznałem Angusa. Leon pojechał do domu do Cleveland. Koniec historii.

– Wcale nie – odparłam. – Wrócił tutaj latem. Przecież spotkałeś się z nim u O’Connorów.

– Śledzisz mnie? – Ryan wciąż się uśmiechał. – Nie uwierzę, że jesteś zazdrosna.

Rozejrzał się wokół, a potem nagle chwycił mnie za ramię.

– Może lepiej będzie, jeśli dokończymy tę rozmowę w bardziej ustronnym miejscu. – Ruszyliśmy pomiędzy rzędami krzeseł do drzwi na scenę. – Tutaj na prowincji panuje pewna ciasnota umysłowa, że tak to ujmę – szepnął. – A ci mężczyźni to dziennikarze. Usłyszą o skandalu i potępiają mnie na wieki.

Zanim zdołałam zareagować, poszliśmy dalej w głąb korytarza. Ryan otworzył drzwi do pokoju zagraconego jakimiś starymi kanapami. Na stoliku stały filiżanki z niedopitą kawą. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Czy tego chciałam, czy nie, zostałam sam na sam z Ryanem O'Hare!

– No dobrze – zaczął. – Co ważnego masz mi do powiedzenia w związku z Leonem? Wrócił do miasta i znów mnie szuka? Rozpowiada jakieś plotki? Mam nadzieję, że nie.

Musiałam powiedzieć mu prawdę.

– Leon jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

– Leon jest niebezpieczny? To raczej oszust, ale...

– Pracuję... to znaczy pracowałam dla prywatnego detektywa. Został zamordowany. Jestem przekonana, że zabójcą był twój przyjaciel Leon.

Zanim Ryan zdążył cokolwiek powiedzieć, wyjęłam z torebki pocztówkę, którą udało mi się skleić.

– W Nowym Jorku mieszkał w pewnym pensjonacie. Kiedy go opuścił, zajrzałam do jego pokoju i w koszu na śmieci znalazłam tę pocztówkę. Najwyraźniej zamierzał ją do ciebie wysłać, ale zmienił zdanie.

Ryan obejrzał dokładnie kartkę. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– O Boże – powiedział cicho.

– Wiesz, o co mu chodziło?

Westchnął.

– Bardzo przeżył nasze rozstanie. Tak to zwykle bywa. Powiedział, że ma plany, że chce zrobić coś ważnego. Nie zdradził mi szczegółów, prosił tylko, bym mu towarzyszył. Zrozumiałem, że chodzi o jakąś akcję związaną z wystawą. Niestety, nie zareagowałem, nie brałem jego pomysłów na poważnie. Śmiałem się tylko. Zawsze dużo mówił, ale nic z tego nie wynikało. Był taki melodramatyczny, żaloszny, nudny.

– Wiem, że tutaj przyjechał – powiedziałam. – Jeszcze w Nowym Jorku prosił gospodynię o rozkład jazdy, bo chciał sprawdzić pociągi do Buffalo.

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty! – po raz pierwszy usłyszałam z ust Ryana to typowe dla Irlandczyków zawołanie.

– Wiesz może, co dokładnie zamierza zrobić?

– Nie wiem. Ma swój własny świat, żyje jakimiś urojeniami, opowiada nonsensy. – Palcami przecesał do tyłu włosy. – Dobrze, że dzisiaj go tu nie było. Prezydent objeżdżał wystawę, a potem z całą swoją świtą udał się do nowej elektrowni w Niagara Falls. Leon uważał, że przywódców powinno się likwidować.

– Musimy iść na policję – zdecydowałam.

– Tak chyba będzie najrozsądniej. – Oparł się o ścianę i westchnął. – A może on planuje coś na jutrzejszy wieczór?

Dlaczego o tym nie pomyślałam?!

– Myślisz, że będzie chciał zakłócić przedstawienie?

Ryan przytaknął.

– Tak, to też jest bardzo możliwe. Wrzucając bombę do teatru, dotkliwie by mnie ukarał.

– W takim razie chodźmy na policję.

– Tylko co oni poradzą? Wiesz, ilu ludzi przyjechało do miasta? Leon najprawdopodobniej włożył przebranie i zamieszkał w hotelu pod zmienionym nazwiskiem. Nie ma sposobu, by go znaleźli, chyba że sam by tego chciał.

– Ale trzeba go powstrzymać! Zabił mojego pracodawcę, potem próbował zabić mnie.

– Ciebie? Kiedy? – zapytał Ryan z niepokojem.

– Parę dni temu. Włamał się do domu i zaatakował mnie nożem.

Nagle z korytarza dobiegł czyjś głos:

– Zaczynamy drugi akt. Aktorzy na scenę!

Ryan podszedł do drzwi.

– Chodź. – Wziął mnie za rękę. – Jutro go znajdziemy. – Wróciliśmy na widownię. – Jeśli rzeczywiście jest w mieście, niewykluczone, że zacznie mnie śledzić. Wtedy spróbujemy go jakoś sprowokować i złapać.

Drugi akt oglądałam z ogromną ulgą. Miałam rację, Ryan nie był bezpośrednio zaangażowany w żadną zbrodnię. Poczułam się bezpieczniej.

– Gdzie się zatrzymałaś? – wyszeptał, kiedy kurtyna opadła.

Powiedziałam, że nic jeszcze nie wynajęłam.

Pokręcił głową i odparł:

– Nie ma sensu szukać wolnych pokoi w mieście. Wszystkie hotele i pensjonaty są pełne. Część moich aktorów śpi w garderobie, lepiej dołącz do nich.

Noc spędziłam na posłaniu ze starych ubrań, które pachniały farbą i środkami na mole. Powtarzałam sobie, że nic mi nie grozi. Po rozmowie z Ryanem czułam, że nie muszę się już bać.

Rano niecierpliwie czekałam, aż Ryan wyda aktorom ostatnie instrukcje, a następnie porozmawia z dziennikarzami, którzy stali przed teatrem. Było dobrze po dwunastej, kiedy dołączyliśmy do tłumu idącego w kierunku wejścia na wystawę. Potem w ostrym słońcu czekaliśmy w kolejce do kasy. Ryan kupił dla nas bilety, przeszliśmy przez bramki i znaleźliśmy się na terenie ekspozycji.

Byłam tak skupiona na tym, co nas czeka, że nie potrafiłam jej podziwiać. Minęliśmy prześliczne jezioro, a potem na samym końcu szerokiej alei zobaczyłam w dali imponującą wieżę. Jak z bajki! Dopiero ten widok zrobił na mnie ogromne wrażenie.

– W nocy wygląda jeszcze piękniej – powiedział Ryan, widząc zachwyt na mojej twarzy. – Prawie w całości jest zbudowana z żarówek elektrycznych. Snop światła ze szczytu widać z daleka.

– Wczoraj wieczorem oświetlał całe niebo.



Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek zobaczę coś równie wspaniałego! Pewnie dokładnie tak się prezentują Rzym, Paryż i Florencja razem wzięte.

Dotarliśmy do bulwaru ozdobionego kolumnami i fontannami, znacznie większymi od tych w Central Parku. Po obydwu stronach stały eleganckie domy w hiszpańskim stylu. Inne przypominały budowle z okresu renesansu. Miały kopuły albo greckie filary. Bardzo chciałam zobaczyć, jak wyglądają w środku, ale tłum poniósł nas w stronę wieży. Na podium przed nią grała orkiestra dęta, a w powietrzu powiewały flagi wielu narodów. Tu i ówdzie zauważyłam intrygujące kierunkowskazy: DO WIOSKI AFRYKAŃSKIEJ, DO PLANTACJI, DO MIASTECZKA NA DZIKIM ZACHODZIE, DO ŚWIĄTYNI NAUKI. Byłoby cudownie, gdybym mogła zwiedzić te wszystkie miejsca jak normalny turysta, bez strachu i obaw o to, co za chwilę może nastąpić.

– Gdzie powinniśmy zacząć? – zapytałam Ryana.

Doszliśmy już do samej wieży i stanęliśmy przy kolejnym stawie z fontannami. Poczułam przyjemne krople na twarzy. Dzień był bardzo upalny. Kobiety wokół wachlowały się, mężczyźni przecierali spocone czoła.

Ryan pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Sprawa wygląda beznadziejnie, Molly. Jak mamy go znaleźć w tym tłumie? Powinienem wracać do teatru. Tyle rzeczy jest do zrobienia przed dzisiejszym przedstawieniem.

– Nie możemy się teraz poddać – odparłam. – Co dokładnie ci powiedział? Co zamierza zrobić? Pamiętasz, jakich użył słów?

Ryan zmarszczył czoło.

– Powiedział, że sprawi, by ci cholerni kapitaliści, przepraszam za określenie, przez chwilę zastanowili się nad tym, co robią. A nie ma nic bardziej kapitalistycznego niż wystawa Pan-American. Zapytałem, jak niby zamierza sam zniszczyć wystawę. Żartowałem, że nawet jeśli wypcha wszystkie kieszenie ładunkami wybuchowymi, to i tak starczy mu tylko na jeden budynek. Odparł, że znajdzie sposób.

– Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś? – Byłam naprawdę zszokowana.

Ryan zdecydowanym gestem odgarnął z czoła kosmyk włosów.

– Droga Molly, mówiłem ci już. Nigdy nie brałem jego słów na poważnie. Zawsze coś wymyślał, opowiadał niestworzone historie. Chciał ściąć głowę królowi Anglii, podłożyć bombę pod wieżę Eiffla. Takie gadanie! Wiesz, że w rodzinie uważają go za wariata? Sam nie ma ani grosza, jest na ich utrzymaniu. Dlaczego tym razem miałem się przejmować jego paplaniną?

– Musimy po prostu założyć, że teraz nie rzucił słów na wiatr.

– Tak, masz rację – przyznał.

– Gdyby zamierzał podłożyć bombę, to pewnie wybrałby wieżę.

– Albo wieżę, albo nową elektrownię, którą zbudowano przy wodospadzie – rozważał na głos Ryan. – Albo mój teatr. Na co stawiasz?

Zatrzymaliśmy się przy fontannie, wypatrując w tłumie Leona. Ryan dobrze to ujął. Nasze zadanie było beznadziejne. Setki tysięcy ludzi przewijały się tego dnia przez teren wystawy, a nie mieliśmy żadnych dowodów na to, że właśnie dziś Leon wcieli w życie swój plan.

– Chodźmy na policję. Podamy jego rysopis. Przynajmniej to możemy zrobić – zasugerowałam.

Ryan kiwnął głową.

– Nie widzę lepszego rozwiązania. Nie rozdwoimy się przecież. Szkoda, że muszę wydać biednego Leona, ale nie mam wyjścia.

– Biednego Leona? Ryan, ten mężczyzna jest mordercą.

– Jest chory. Mówiłem ci już, rodzina twierdzi, że to wariat. Ojciec chciał go nawet zamknąć w szpitalu psychiatrycznym.

– Uważasz, że miał rację?

– Leon popada w obsesje. Tak bym to ujął. Przez jakiś czas to ja byłem jego obsesją. Teraz fascynują go anarchiści.

– Pewnie wielu z nich to wariaci – zauważyłam.

– Leon nie jest prawdziwym anarchistą – odparł Ryan. – Niby jest zafascynowany ideologią, ale kiedyś nie miał skrupułów, by korzystać z kapitalistycznych pieniędzy. Zwłaszcza gdy ja za wszystko płaciłem. Nawet hawańskie cygara zaczęły mu smakować. – Zaśmiał się gorzko. – Prawdziwi anarchiści nie odkrywają się tak od razu. Zachowują się jak normalni ludzie i dopiero w odpowiednim momencie pokazują, kim są naprawdę.

Odskoczył gwałtownie. Minęła nas grupka krzyczących dzieci, które biegły w kierunku kłowna na szczydach. O mały włos nas nie stratowały!

– Molly, to śmieszne. Dlaczego dałem się namówić? Łatwiej znaleźlibyśmy igłę w stogu siana. Muszę wracać do teatru. Kurtyna pójdzie w górę... – przerwał, by zerknąć na zegarek – dokładnie za cztery godziny.

Kiedy już szliśmy w stronę głównego wejścia, okazało się, że policja formuje kordony i kieruje tłum na prawo lub na lewo. Wiele osób trzymało w dłoni amerykańską flagę.

– Co się dzieje? – zapytał Ryan jednego z żołnierzy. – Spodziewacie się wizyty jakiegoś dygnitarza?

– Za parę minut będzie tu sam prezydent McKinley – rzucił mężczyzna w mundurze, nawet nie zaszczycając nas spojrzeniem.

– Przecież już wczoraj zwiedzał wystawę! – krzyknęłam.

– Owszem, ale tak bardzo mu się podobała, że postanowił tu dzisiaj wrócić.

– Będzie objeżdżał wystawę autem? – zapytałam.

– Nie, będzie witał się ze zwiedzającymi w pawilonie muzycznym. Każdy może mu uścisnąć dłoń – odparł mężczyzna. – Nasz prezydent lubi być blisko ludzi.

Spojrzałam na Ryana. Ciekawe, czy myśli o tym samym co ja? Pobladł.

– Czy znajdziemy tu kogoś, kto czuwa nad bezpieczeństwem prezydenta? – zapytałam. – Musimy przekazać coś ważnego.

Mężczyzna popatrzył na nas z uśmiechem.

– Proszę się nie denerwować. Wystawy pilnuje cała rzesza policjantów, żołnierzy, agentów specjalnych, nie wyłączając marynarzy. Nawet gdyby nagle wybuchła w Buffalo wojna, dadzą sobie radę.

Nie wyszliśmy na zewnątrz. Razem z tłumem skierowaliśmy się do pawilonu, który stał w połowie najdłuższej alei. Był pięknie przystrojony na wizytę prezydenta, udekorowany kwiatami i flagami. Filary sięgały aż do samej kopuły.

Chwyciłam Ryana za rękę.

– Musimy ich ostrzec.

– Kogo konkretnie?

– Podejźmy bliżej i zapytajmy, kto jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo McKinleya. Może uda się powstrzymać Leona.

Ryan pokiwał głową.

Ale kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że zadanie wcale nie jest takie proste. Do wejścia uformowała się długa kolejka, odgradzana od reszty tłumu przez kordon policjantów, którzy pilnowali, by nikt nie przedarł się do środka bez kontroli. Ryan wziął mnie za rękę i poprowadził do najbliższego żołnierza.

– Musimy porozmawiać z dowódcą – powiedział. – Mamy podejrzenia, że wśród tych ludzi znajduje się niebezpieczny anarchista.

– Anarchista, mówicie... – Strażnik zdziwił się, ale nie przejął za bardzo.

– Drobnej budowy, o ciemnych oczach, prawdopodobnie ubrany na czarno – uściśliłam. – Często nosi też kaszkiet w tym samym kolorze.

– Wypisz, wymaluj anarchista. – Żołnierz uśmiechnął się krzywo.

– Proszę nas wpuścić, na pewno go znajdziemy – dodał Ryan.

– A, więc o to wam chodzi! Chcecie wejść bez kolejki. Nie ma mowy. Wracajcie na koniec i czekajcie jak cała reszta.

– Naprawdę musimy porozmawiać z dowódcą – nalegałam. – Nie rozumie pan? Prezydentowi grozi niebezpieczeństwo.

– Panienko, o to proszę się nie martwić – odparł mężczyzna. – Każdy, kto chce tutaj wejść, przechodzi

szczegółową kontrolę. Jeśli nie spodoba się nam choćby jego wygląd, nie wejdzie. Prezydent jest lepiej chroniony w Buffalo niż w Forcie Knox.

Daliśmy za wygraną.

– Bardzo chciałabym mu wierzyć – powiedziałam. – Ryan, czy widzisz gdzieś Leona?

Ryan stanął na palcach i rozejrzał się wokół.

– Za dużo ludzi.

– To wszystko na nic – orzekłam. – Powinniśmy zrobić awanturę, może wtedy zaprowadziliby nas do dowódcy.

– Albo prosto do więzienia – dorzucił Ryan. – A to poważnie zaszkodziłoby mojej karierze.

– To co proponujesz?! – zapytałam ze złością. Z powodu upału i zmęczenia czułam, że puszczają mi nerwy.

– Gdyby udało się nam dostać do środka... – Ryan wpatrywał się w pawilon przed nami – moglibyśmy zauważyć Leona przy wejściu i powstrzymać go, zanim podejdzie do prezydenta.

– A masz dla nas czapki niewidki? – zirytowałam się, bo przed budynkiem stał ciasny kordon uzbrojonych żołnierzy.

– Zobaczmy, co się dzieje po drugiej stronie.

Zaczęliśmy się przeciskać w przeciwnym kierunku na sam początek kolejki, a potem podeszliśmy do sceny. Z dala dobiegały narastające wiwaty, orkiestra zagrała fanfary, widać już było czarny dach prezydenckiej limuzyny. Tutaj też zgromadził się tłum. Z tej strony znajdowało się wyjście dla tych, którzy uściskną rękę prezydentowi. Okazało się, że cały pawilon jest dobrze chroniony. Strażnicy dbali, by nikt nie podszedł za blisko.

– Ciekawe, czy zamknęli drzwi na scenę – odezwał się Ryan. – W tym budynku tak jak w teatrze jest scena, więc musi być również tylne wejście.

Obeszliśmy pawilon i rzeczywiście za jednym z filarów znaleźliśmy małe drzwi, niestety zamknięte.

Ryan zerknął na uzbrojonych strażników stojących w pobliżu.

– Molly, kochanie, a mogłabyś mi dać spinkę do włosów?

– Tak. – Wyjęłam spinkę. – Chyba nie myślisz...

– Imiałem się w życiu różnych zajęć, otwieranie zamków szpilką do włosów to moja specjalność – odparł Ryan i przyklęknął przy drzwiach. – Ubezpieczaj mi tyły.

Stałam na czatach. Na szczęście wejście znajdowało się w cieniu, a dodatkowo zasłaniał je filar. Jeśli Ryan szybko się uwinie, jest szansa, że nikt nas nie zauważy – pomyślałam.

A potem zobaczyłam, jak w moją stronę odwraca się jeden ze strażników.

– Halo, ty tam! – zawołał. – Co robisz?!

Uniosłam spódnicę, ukazując zalotnie kostkę, i podbiegłam do niego. Starłam się robić wrażenie mocno przejętej osóbką.

– Przepraszam pana, ale chodzi o moją młodszą siostrę. – Zatrzepotałam rękami. – Odłączyła się od grupy i mama kazała mi jej szukać. Może ją pan gdzieś widział? Wie pan, najładniejsza w rodzinie. Skończyła dopiero szesnaście lat, ale ma wielkie niebieskie oczy i piękne złote loki i jest taka zgrabna... Nie to co ja. Jeśli pan ją widział, nie mógł jej pan nie zauważyć. Za naszą Eileen oglądają się wszyscy mężczyźni.

– Chyba jej nie widziałem, panienko, ale zachowam czujność. Jeśli rzeczywiście jest taka piękna...

– Moje słowa nie oddadzą jej urody. Chłopcy za nią szaleją – paplałam. – Nazywa się Eileen Donovan. Mówię panu na wszelki wypadek. Jeśli ją pan zobaczy, proszę przekazać, że czekamy w kolejce i niech się pospieszy, bo inaczej nie zdąży zobaczyć prezydenta.

Strażnik uśmiechnął się do mnie przyjaźnie i przyłożył palce do czapki.

– Dobrze, panienko, będę pamiętał.

– W takim razie wracam do mamy – powiedziałam. – Bardzo dziękuję, panie oficerze.

Ponownie zamrugałam zalotnie, a potem pobiegłam, udając, że zamierzam okrążyć budynek i wrócić do kolejki. Kiedy tylko strażnik się odwrócił, by wypatrywać w tłumie pięknej Eileen, schowałam się w cieniu filara i uklęknłam przy Rynie.

– I co, nie mówiłem? Mam rozliczne talenty. – Otworzył drzwi i weszliśmy do ciemnego wnętrza.

Wstrzymałam oddech i na palcach ruszyliśmy w głąb korytarza. Spodziewałam się, że lada chwila ktoś nas zatrzyma, ale nic się nie wydarzyło. W końcu dotarliśmy do sceny. Kotary były zaciągnięte, ale przez szparę widzieliśmy cały rząd uzbrojonych strażników.

– Podejźmy do nich – wyszeptałam.

– Jeśli ich zaskoczymy, mogą najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania – zauważył Ryan. – To Ameryka, tutaj rządzi broń. Nie. Musimy zadbać również o własne bezpieczeństwo.

Poprowadził mnie dalej, wzdłuż zasłony, do kolejnego korytarza. Znaleźliśmy się w całkowitych ciemnościach. Nagle trafiliśmy na wąskie schody. Ryan pokazał mi na migi, że powinniśmy wejść na górę.

– Uważaj, są strome – szepnął i zaczął się wspinać.

Uniosłam spódnicę i poszłam za nim. W dole słychać było narastający gwar. Odsłoniliśmy czerwoną kotarę i wyszliśmy na balkon. Stanęliśmy w cieniu, przyglądając się ogromnemu audytorium na dole. Otaczały nas pomalowane na złoto i czerwono filary, a nad głowami mieliśmy przepiękne sklepienie w tych samych kolorach. Z zachwytu zaparło mi dech. Po prawej stronie znajdowała się scena, a po lewej olbrzymie organy, sięgające aż do samej kopuły. Szkoda, że nikt na nich nie gra – pomyślałam. Muzyka byłaby imponująca! Najważniejsza akcja rozgrywała się na dole. Większość krzeseł odsunięto, by zrobić miejsce dla gości. Dokładnie naprzeciwko nas ustawiono kwiaty w wazonach i doniczkach, a ścianę przystrojono wielką amerykańską flagą. Wśród tych dekoracji siedział w fotelu postawny mężczyzna w ciemnym garniturze, otoczony dygnitarzami. Pilnował go zaledwie jeden uzbrojony strażnik.

– To poważne uchybienie – szepnął Ryan. – Dlaczego nie przydzielono mu większej ochrony?

Pierwsza grupa obywateli zbliżała się już do prezydenta. Podekscytowani ludzie wychylali się, by dojrzeć swojego przywódcę. W sali było strasznie gorąco. Mężczyźni wycierali pot z czoła. Jedna z kobiet skrapiała się wodą kolońską, inna zawzięcie wachlowała planem wystawy. Czułam, że i mnie spływa pot po szyi, ale nie byłam wcale pewna, czy to z powodu upału, czy przerażenia.

Czekaliśmy wpatrzeni w tłum. Kolejka ciągnęła się w dal, okrążała całe audytorium jak wąż. Sznur ludzi wpełzał drzwiami po lewej stronie i znikał w drzwiach po prawej. Prezydent doskonale opanował sztukę witania się ze swoim ludem. Kiedy podawał komuś prawą dłoń, lewą przysuwał do siebie kolejną osobę.

Nagle Ryan dotknął mojego ramienia.

– Tam jest – syknął.

– Gdzie?

– Tam. Za kobietą z niemowlęciem.

Zawiesiłam wzrok na osobie, którą pokazywał Ryan. Jeśli to rzeczywiście był Leon, nigdy w życiu bym go nie poznała! Nie miał na sobie ani ciemnych ubrań, ani kaszkietu. Wyglądał bardzo zwyczajnie – brązowa marynarka, koszula i krawat. Wielu mężczyzn odwiedzających wystawę było ubranych podobnie. W takim stroju Leon mógł uchodzić za poważnego urzędnika albo studenta college'u. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że jest szatynem. Włosy miał rozdzielone wyraźnym przedziałkiem i przyлизane starannie po obydwu stronach twarzy. Zawsze widziałam go w kaszkiecie, więc niesłusznie uznałam, że jest brunetem. Stałam zbyt daleko, by spojrzeć mu w oczy. Po nich wszędzie bym go rozpoznała.

– Co teraz robimy? – wyszeptałam.

Kątem oka zauważyłam, że Ryan wkłada rękę do kieszeni. Zamarłam. Czyżbym jednak była naiwna? Może to wszystko świetnie zaplanował? Przecież przed chwilą powiedział, że prawdziwi anarchiści wcale nie wyglądają na anarchistów. Ach, więc to tak! Specjalnie trzymał mnie przy sobie i nie pozwolił pójść na policję. Upewnił się nawet, że będę spała w teatrze! Oszukał mnie, obiecując, że razem powstrzymamy Leona! Teraz, na wypadek gdyby Leon chybił, zajął idealne stanowisko. Najprawdopodobniej jest mózgiem całej operacji. A jaką rolę w tym wszystkim gram ja? Wspólniczki i zakładniczki, uwięzionej przez kogoś, kto prawdopodobnie jest bezwzględny zabójcą! Rozejrzałam się bezradnie, ale nie zauważyłam nikogo, kto mógłby mi przyjść z pomocą.

Wysunął dłoń z kieszeni i okazało się, że nie trzyma broni, tylko białą chusteczkę. W tym samym momencie dostrzegłam, że podobną ma również Leon i kilku innych mężczyzn w tłumie. To musi być umówiony sygnał!

Kiedy Ryan podnosił rękę, rzuciłam się na niego. Przez chwilę siłowaliśmy się ze sobą, omal nie wypadając za barierkę.

– Co, u diabła?! – krzyknął Ryan i mocno ścisnął mnie za nadgarstki. – Oszalałaś?

W tym samym momencie padł strzał. Odbił się echem od sklepienia, zabrzmiał tak, jakby ktoś puszczał fajerwerki. A potem zaczęło się piekło. Kobiety wrzeszczały, część mężczyzn z kimś się szarpała, reszta

podbiegła do leżącego prezydenta.

– Zrobił to – wyszeptał Ryan. – Naprawdę to zrobił. – Odwrócił się i chwycił mnie za ramiona. – Mogłem go powstrzymać! Kim jesteś? Jedną z nich? Chciałaś, żeby prezydent zginął?

Potrząsał mną brutalnie.

– Myślałam, że to ty tego chcesz – powiedziałam. Łzy napłynęły mi do oczu. – Wyjąłeś chusteczkę. Byłam pewna, że to jakiś umówiony sygnał.

– Musiałem wytrzeć spoczone czoło, głupia dziewczyno. Chciałem go zawołać. Miałem nadzieję, że się wystraszy i wtedy go złapią. Co, u licha, kazało ci myśleć, że jestem po jego stronie?

– Paddy Riley, ten detektyw, który został zamordowany, zrobił wam razem zdjęcie na dzień przed swoją śmiercią. Nigdy nie byłam pewna, czy mogę ci ufać, czy nie.

Złagodniał.

– To znaczy, że jesteś niezwykle dzielną istotą. Nie bałaś się tutaj ze mną przyjść. Gdybym działał z Leonem, byłoby już po tobie.

– Tak – powiedziałam. – Zdawałam sobie z tego sprawę.

– Ale to i tak nie ma znaczenia – zauważył Ryan. – Już za późno – westchnął głęboko.

– Może Leon nie trafił, może prezydent jest tylko ranny – zauważyłam.

W tym momencie usłyszałam odgłos butów na schodach i jakieś krzyki. Zanim zdążyliśmy zareagować, żołnierze skierowali w naszą stronę lufy strzelb.

– Mamy ich. To reszta gangu! – zawołał jeden z nich.

Złapali nas za ramiona i pod eskortą zeszliśmy na dół.

– Puśćcie mnie! – krzyknęłam przerażona, kiedy skuli mi ręce na plecach. – Nie byliśmy w zмовie z zabójcą. Chcieliśmy go powstrzymać, głupcy!

Moje tłumaczenia na nic się zdały. Wyprowadzono nas z budynku.

– Wiecie, kim jestem?! Nazywam się Ryan O’Hare. Jestem znanym dramaturgiem! – wołał Ryan. – Obawialiśmy się, że ten człowiek zrobi coś złego. Chcieliśmy go powstrzymać.

– Prosimy, by nas zaprowadzono do kogoś, kto dba o bezpieczeństwo prezydenta! Nikt nam nie pomógł! Nie chcieliście nas słuchać! – wrzeszczałam. – Robicie poważny błąd. Zabierać te łapska!

Kolejne chwile mijały jak w złym śnie. Żołnierze ciągnęli nas w stronę policyjnej furgonetki, mijając rozwścieczony tłum. Kiedy drzwi samochodu się otworzyły, Ryana wepchnięto do środka.

– To ona! To ona zabiła prezydenta! Zwiążcie ją, chłopcy! Nie pozwólcie, by uciekła! – wołali gapię.

Ktoś złapał mnie za spódnicę. Usłyszałam, jak materiał się drze. W końcu padł ostrzegawczy strzał i któryś z żołnierzy szybko wciągnął mnie do wozu. Zamknęto drzwi i odjechaliśmy w pośpiechu.

Wydawało się, że minęła wieczność, kiedy wreszcie dotarliśmy na główny posterunek policji w Buffalo. Wyciągnięto nas siłą z furgonetki, a potem zaprowadzono do budynku. Nasza cela znajdowała się na samym końcu długiego korytarza. Popatrzyliśmy na siebie przerażeni, nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Jak sądzisz, co się z nami stanie? – zapytałam łamiącym się głosem. – Chyba nas wysłuchają, prawda?

– Prezydent jest ranny – odparł cicho Ryan. – Nie sądzę, żeby policjanci zachowywali się teraz racjonalnie. Szukają kozła ofiarnego, żeby zadowolić wściekły tłum. Mój Boże, omal nie rozerwali nas na kawałki.

Usiadłam i przyciągnęłam do siebie kolana, by powstrzymać dreszcze na całym ciele.

– Ależ byłam głupia...

– Zrobiłaś to, co uznałaś za słuszne – odparł Ryan. – Przepraszam, przeze mnie tu trafiliśmy.

– Nieprawda. Sama się prosiłam. Po co w ogóle przyjeżdżałam do Buffalo?

– Przypominam, że chciałaś od razu iść na policję. Ja nalegałem, by poszukać Leona. To wszystko moja wina. Nie wierzyłem, że jest zdolny do czegoś takiego, sądziłem, że konfabuluje. Niepotrzebnie się z niego wyśmiewałem. Może moje zachowanie go sprowokowało?

– Obwinianie się w niczym nam teraz nie pomoże. Trudno, stało się. Miejmy nadzieję, że policja uwierzy w naszą wersję wydarzeń.

Bardzo chciałam podtrzymać Ryana na duchu. Miałam wrażenie, że jest w gorszej formie niż ja.

Pochylił głowę i powiedział cicho:

– To się źle skończy. Zaraz odkryją, że Leon i ja mieliśmy kiedyś romans. Zrobię wszystko, byś nie została w to wplątana. – Poglądził mnie po rękę.

Siedzieliśmy na twardej ławce, przez chwilę zatopieni we własnych myślach. Minęło sporo czasu, zanim otwarto drzwi celi i policjant wyprowadził nas na zewnątrz.

Poszliśmy jasnym korytarzem do dobrze oświetlonej sali. Na samym jej środku stał stół, przy którym siedział jakiś mężczyzna. Kiedy weszliśmy, podniósł głowę i spojrzał w naszą stronę. To był Leon, ale prawie bym go nie poznała. Wyglądał żałośnie – spuchnięty, pobity, ze śladami krwi na twarzy.

– Popatrz na tych ludzi! – wrzasnął do niego jeden z policjantów. – Rozpoznajesz ich? Byli z tobą w zмовie? Możesz sobie pomóc, jeśli zdradzisz nam ich nazwiska.

Leon popatrzył na nas tymi swoimi oczami, które rozpoznałabym nawet na końcu świata.

– Nigdy ich nie spotkałem – powiedział spokojnym tonem.



– No dalej, gadaj! Przecież ktoś cię musiał do tego namówić.

– Powtarzam jeszcze raz: wszystko wymyśliłem sam – odparł. – Z nikim nie współpracowałem.

– Ktoś chyba podsunął ci ten pomysł. Tak po prostu pewnego dnia postanowiłeś zorganizować zamach na prezydenta? Nie wierzę. Mów wreszcie! Dlaczego nie chcesz z nami współpracować?!

– A po co? – odparł Leon. – Jeśli ktokolwiek miał na mnie jakiś wpływ... – Podniósł głowę i spojrzał Ryanowi prosto w oczy, a potem tym samym spokojnym głosem dokończył: – ...to była to Emma Goldman.

Policjanci spojrzeli po sobie i pokiwali głowami.

– A nie mówiłem? – powiedział jeden z nich. – Sprawka anarchistów. Natychmiast znaleźć i przyprowadzić tę Emmę Goldman, zanim ucieknie z kraju!

– Czekajcie, nie mówiłem wcale, że Emma mnie do czegokolwiek namawiała – zaprotestował Leon. – Miałem na myśli to, że mnie zainspirowała. Jeszcze raz powtarzam: działałem sam. Nikt mi nie pomagał.

Najbardziej postawny z policjantów spojrzał z niesmakiem na nas i na Leona, a potem warknął:

– Wyprowadzić ich!

Zostaliśmy zabrani w głąb budynku do innego pokoju. Oprócz nas do środka weszło dwóch oficerów.

– Proszę posłuchać – powiedział Ryan, kiedy drzwi się za nami zamknęły. – To, co mówił ten mężczyzna, nie do końca jest prawdą.

Zerknęłam na niego w popłochu.

– Leon Czolgosz to mój dawny znajomy – kontynuował. – Jeśli panowie mnie nie poznają, przedstawię się. Jestem Ryan O’Hare, znany na świecie dramaturg. W zeszłym roku Leon był bardzo we mnie wpatrzony. Wszędzie za mną jeździł, namawiał, byśmy wspólnie zorganizowali zamach na prezydenta. Nie brałem tego na poważnie i oczywiście odmówiłem. Ale kiedy dowiedziałem się, że przyjechał do Buffalo na wystawę, uznałem, że moim obowiązkiem jest go powstrzymać. Zarówno ja, jak i panna Murphy staraliśmy się dotrzeć do kogoś z kierownictwa policji i o wszystkim opowiedzieć. Za każdym razem odsyłano nas z kwitkiem. Dlatego musieliśmy wziąć sprawy w swoje ręce. Przykro mi, że nie zdołaliśmy powstrzymać Leona.

Obserwowałam, jak detektyw z obrzydzeniem przygląda się Ryanowi, jego koszuli z falbankami i jaskrawej apaszce. Widziałam, że się zastanawia, czy dać wiarę jego słowom.

– A mogę wiedzieć, dlaczego jest pan w Buffalo w tym samym czasie co Leon Czolgosz? – zapytał.

– Widzę, drogi panie, że nieczęsto bywa pan w teatrze. Dziś wieczorem u Pfeiffera odbędzie się premiera mojej nowej sztuki. Dokładnie za godzinę i czterdzieści minut. Bardzo proszę, by zanim kurtyna pójdzie w górę, umożliwiono mi powrót do moich aktorów.

– Dzisiaj wieczorem żadna premiera się nie odbędzie – odparł twardo mężczyzna. – Nie rozumie pan? Strzelano do prezydenta. Nie wiadomo, czy przeżyje. Wystawa została zamknięta. A my z panem jeszcze nie skończyliśmy, dopiero jesteśmy na początku.

– Chyba nie podejrzewacie, że w jakiś sposób jestem w to wszystko zamieszany? – Ryan zdobył się na słaby uśmiech. – Przez cały rok ciężko pracowałem nad sztuką. Miałbym teraz przeszkodzić w jej

premierze? Co z moją reputacją?

– Zabierzcie go stąd – nakazał policjant strażnikom, którzy stali przy drzwiach. – Ma trafić z powrotem do celi. Jak tylko przyjadą tu federalni, będą go chcieli przesłuchać.

– Jestem obywatelem Zjednoczonego Królestwa, podobnie jak ta młoda dama – zauważył Ryan. – Prawdę mówiąc, wasz prezydent nie bardzo nas interesuje.

Niepotrzebnie to powiedział. Oficer wymierzył mu kopniaka.

– Wynocha, natychmiast! I to już! – wrzasnął.

Wyszli. Zostałam sam na sam z dwoma inspektorami.

– Panna Molly Murphy? – Jeden z nich przypatrywał się mi z zainteresowaniem.

Postanowiłam nie robić żadnych głupich uwag i zważać na każde słowo. Jeśli będę udawać bezbronną, skrzywdzoną kobietę, może zdołam ich udobruchać.

– Tak, proszę pana.

– Jakim cudem się tu pani znalazła?

Od wielu miesięcy notorycznie kłamię – pomyślałam. Jaką historię powinnam im teraz przedstawić, żeby puścili mnie wolno? Tym razem nic nie przychodziło mi do głowy.

– Pracowałam dla prywatnego detektywa w Nowym Jorku – powiedziałam. – Został zamordowany. Ustaliłam tożsamość zabójcy. To ten sam mężczyzna, który dzisiaj strzelał do prezydenta. Mój pracodawca wcześniej podsłuchiwał rozmowę, w której pan Czolgosz namawiał Ryana O’Hare, by pomógł mu w organizacji zamachu. Kiedy okazało się, że pan Czolgosz wyjechał do Buffalo, nabrałam najgorszych przeczuc.

– Dlaczego nie poszła pani na policję?

– Ależ poszłam! Udałam się natychmiast do kapitana Daniela Sullivana z nowojorskiej policji, ale nie zastałam go na posterunku. Zostawiłam mu list ze szczegółowym opisem całej sytuacji, więc prawdopodobnie już dawno go przeczytał. Nie kontaktował się jeszcze z wami w tej sprawie?

– Nie znam żadnego Sullivana – odparł chłodno jeden z inspektorów.

Wpatrywał się we mnie równie intensywnie, jak wcześniej patrzył na Ryana.

– Wy, Irlandczycy, słyniecie z tego, że są z wami same kłopoty. Jesteście często na bakier z prawem – prychnął. – Banda anarchistów!

– Anarchiści w Irlandii mają inne sprawy na głowie. Od wielu lat próbujemy pozbyć się z naszego kraju Anglików – odparłam. – Nie musimy jeździć za granicę.

Natychmiast pożałowałam tych słów. Znajdę się w niezłych tarapatkach, jeśli ten policjant poprosi Irlandczyków o informacje na mój temat. W Ameryce nikt nie wiedział, że zabiłam człowieka i dlatego musiałam uciekać z kraju.

Jakimś cudem wytrzymałam spojrzenie funkcjonariusza.

Zapadła cisza, słyszałam wyraźnie, jak zegar na ścianie odmierza sekundy. A potem niespodziewanie odezwał się drugi inspektor, ten starszy:

– Proszę wyjść – powiedział i otworzył drzwi.

– Jestem wolna? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– W żadnym razie – odparł. – Nie podoba mi się to wszystko. Pachnie tu jakimś spiskiem. Dokładnie sprawdzimy panią i pana O’Hare, co może potrwać nawet parę dni – dodał i nieprzyjemnie się uśmiechnął. – Harris! Proszę zabrać pannę Murphy do innego pomieszczenia, z dala od pana O’Hare. Zobaczymy, kto pierwszy się złamie.

W celi, do której mnie zaprowadzono, nie było pryczy, tylko twarda deska przytwierdzona do ściany, a na podłodze wiadro zamiast ubikacji. Nie chciałam z niego skorzystać, mimo że czułam silną potrzebę. Od korytarza celę odgradzały tylko pręty, więc każdy mógł mnie zobaczyć. Usiadłam. W ciągu dnia było mi za gorąco, teraz trzęsłam się z zimna. Co się ze mną stanie? Najwyraźniej Daniel nie wrócił jeszcze do Nowego Jorku i nie znalazł mojego listu. Co robi, kiedy go wreszcie przeczyta? W Buffalo, jak widać, nikt się nie liczy z kapitanem nowojorskiej policji. Tutejszym inspektorom bardzo zależy na tym, by skazać mnie za udział w zamachu.

Przez małe okratowane okienko dobiegały mnie krzyki rozwścieczonego tłumu. Policjanci boją się zamieszek – pomyślałam. Dlatego chcą szybko zamknąć dochodzenie i ukarać winnych. Z pewnością nie będzie żadnej litości dla ludzi, którzy zorganizowali zamach na prezydenta McKinleya. Otuliłam się rękami i pożałowałam, że nie mam ze sobą szala. Tak się kończy wsadzanie nosa w nie swoje sprawy! Po co bawiłam się w detektywa? Biedny Ryan! Dziwne, ale zaczęłam nawet współczuć Leonowi.

Najbardziej żał mi było jednak samej siebie. Po chwili przypomniałam sobie, że spokojne, bezpieczne i nudne życie wcale mnie przecież nie interesuje. Przynajmniej teraz wiem, że żyję!

Powoli zapadał zmrok. Policjant w mundurze podszedł do mojej celi i podał mi przez pręty metalowy kubek i pajdę chleba z zimnym mięsem. Wyglądało to tak, jakby karmił zwierzęta w zoo. Wypiłam parę łyków wody, ale nie mogłam zmusić się do jedzenia.

Minęły kolejne godziny. Starłam się zasnąć, ale sen nie przychodził. Potem usłyszałam na korytarzu ciężkie kroki.

– Pobudka! Przesłuchanie! Szef chce z panią zamienić słowo.

Zaprowadzono mnie tym samym korytarzem do innego pokoju, jasno oświetlonego żarówką elektryczną. Tym razem przywitał mnie postawny mężczyzna z wąsami. Siedział przy biurku, rękawy koszuli miał podwinięte. Wokół stało kilku innych policjantów.

– Panna Murphy – zameldował mój strażnik i pchnął mnie w kierunku biurka.

– A tak, panna Murphy. Dzielna kobieta, która starała się powstrzymać zamachowca.

Mężczyzna miał podwójny podbródek i groźnie mi się przyglądał.

– Jak rozumiem, jest pani znanym detektywem, panno Murphy – powiedział. – Poprosiłem panią do nas, bo chciałbym, żeby moi chłopcy czegoś się od pani nauczyli.

Pozostali policjanci zaczęli chichotać.

– Nie, proszę pana. Jestem początkującym detektywem – odparłam. – Ale pracowałam dla kogoś, kto

był w tym zawodzie mistrzem. Niestety, zginął. Pomyślałam, że znajdę jego zabójcę. Zupełnym przypadkiem natrafiłam na fotografię człowieka, który wczoraj strzelał do prezydenta. Dowiedziałam się, że jest w drodze do Buffalo, i połączyłam fakty. Zostawiłam wiadomość kapitanowi nowojorskiej policji i przyjechałam tutaj, mając nadzieję, że uda mi się zapobiec tragedii.

Świdrował mnie spojrzeniem.

– Wiadomość zostawiła pani swojemu przyjacielowi, tak? Kapitanowi Sullivanowi?

– To znajomy. – Spuściłam wzrok.

Prychnął.

– Znajomy, mówi pani?

– Tak, proszę pana. Jeśli mógłby się pan do niego zwrócić, na pewno by za mnie poręczył. Wie, że próbowałam znaleźć zabójcę Paddy’ego Rileya. Przekazałam mu zdjęcia.

Podniósł rękę, by mnie uciszyć.

– Ten pani znajomy poruszył niebo i ziemię. Wystawiono pani wspaniałe świadectwo. Przeczytałem w nim, że panna Murphy cieszy się nienaganną opinią i już wcześniej pomagała nowojorskiej policji. Pismo przyszło z biura naczelnika; kazał nam panią wypuścić.

Poczułam wielką ulgę.

– Teraz? – wyjąkałam. – Jestem wolna?

Rozłożył bezradnie ręce.

– Proszę tylko nie wyjeżdżać z kraju i zostawić nam adres, pod którym będziemy mogli się z panią skontaktować. Kto wie, na co jeszcze trafimy...

Kamień spadł mi z serca.

– Jestem pewna, że nie trafi pan na nic, co mogłoby obciążyć mnie albo pana O’Hare. Obydwoje ryzykowaliśmy, próbując powstrzymać zabójcę. Co za to dostaliśmy? Potraktowano nas jak pospolitych przestępców.

– No cóż, moi ludzie działali zgodnie z procedurami.

– Mimo wszystko jest mi bardzo przykro – dodałam. – Czy prezydent przeżył?

– Z tego, co wiem, tak – odparł. – Według ostatnich informacji był w stanie mówić.

– To dobra wiadomość. – Spróbowałam się uśmiechnąć. – Trzeba mieć nadzieję i modlić się za niego.

Ruszyłam do drzwi.

Na ulicach gromadził się zdenerwowany tłum. Zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Wsiąść do pociągu i wracać do domu? A może interweniować w sprawie Ryana? Nie wiedziałam, czy wypuszczono go na wolność, czy wciąż siedzi w celi. Zdecydowałam, że pójdę do teatru i poinformuję aktorów o tym, co zaszło. Ponadto w garderobie została moja torba podróżna. Zaczęłam szukać wzrokiem taksówki.

Bałam się, że w każdej chwili ktoś mnie może rozpoznać i zaalarmować resztę tłumu. Wyczułam, że ludzie na ulicy są żądni zemsty i chętnie powieszają winnych na najbliższej latarni. Policja powinna

przydzielić mi ochronę! Oficer, który mnie zwolnił, musiał wiedzieć, jakie nastroje panują w mieście. Może miał nadzieję, że tłum dokona egzekucji, na którą jemu nie pozwolono? Nie po raz pierwszy w życiu pożałowałam, że nie mam kapelusza z woalką, by zakryć twarz i charakterystyczne włosy. Powoli przedzierałam się przez tłum na drugą stronę ulicy i kiedy już byłam blisko celu, usłyszałam słowa, których tak bardzo się obawiałam:

– Chwileczkę, jesteś chyba jedną z nich. To ciebie widziałem w furgonetce policyjnej przy pawilonie muzycznym. – Nieznajomy podniósł głos. – Chłopcy, tutaj, szybko. Mamy ją! Zaraz nam ucieknie!

Próbował mnie złapać za rękę, ale wyrwałam się i pobiegłam przed siebie. Wiedziałałam, że nie zdołam się obronić przed atakiem rozjuszonych gawiedzi, ale jak zwykle postanowiłam nie poddawać się bez walki. Wściekła zgraja ruszyła za mną w pogoń. Niełatwo jest uciekać w pantoflach z noskiem, ze spódnicą trzepoczącą w powietrzu! Uniósłam materiał, pokazując światu to, co zwykle nie powinno być wystawiane na widok publiczny. W tej chwili jednak zupełnie się tym nie przejmowałam. W pewnym momencie oprócz biegnącego za mną tłumu usłyszałam również tętent końskich kopyt i po chwili zatrzymał się przy mnie czarny powóz.

– Molly, wskakuj, szybko! – usłyszałam ku swojemu zdumieniu znajomy głos.

Daniel Sullivan wyciągnął w moją stronę rękę. Chwyciłam ją i wskoczyłam do środka.

– Na dworzec, galopem – rozkazał woźnicy i ruszyliśmy z kopyta, akurat gdy pierwsze osoby z tłumu zaczęły nas doganiać.

Usiadłam i starałam się złapać oddech. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

– To naprawdę ty? A może śnię? – wydukałam po paru minutach.

– To ja, nie śniesz. – Daniel spoglądał na mnie z czułością.

– W jaki sposób mnie znalazłeś?

– Nie pozwolili mi się z tobą zobaczyć. Mogłem tylko czekać, aż dotrze do nich informacja z biura naczelnika. Wiedziałem, że wtedy cię wypuszczą.

– Przywiozłeś list z Nowego Jorku?

– Kiedy usłyszałem, że siedzisz w areszcie, próbowałem z nimi rozmawiać, ale nie chcieli słuchać. Musiałem znaleźć na nich inny sposób, więc telegraficznie poprosiłem naczelnika o pomoc.

– To jakiś cud – powiedziałam. – Byłam pewna, że już po mnie.

– Biegłaś jak szalona. – Daniel uśmiechnął się do mnie czarująco. – I pokazałaś piękne nogi!

– Nie żartuj, proszę – odparłam. – Nie jest mi do śmiechu.

Nagle ni stąd, ni zowąd załamam się łzami. Nigdy wcześniej nie płakałam w obecności drugiej osoby, ale dzisiaj przeszłam już za wiele. Nie potrafiłam nad sobą zapanować. Szlochałam.

Daniel objął mnie ramieniem.

– No już dobrze, dobrze. Jesteś bezpieczna – mówił, gładząc mnie po włosach, jakbym była dzieckiem.

W jego ramionach poczułam się wspaniale. Mogłabym tam zostać na zawsze.

– Ocaliłeś mi życie – wyszeptalam. – Już drugi raz.

– Mam nadzieję, że nie będzie trzeciego – odparł. – Gdybyś siedziała w domu i zachowywała się rozsądnie, nie dochodziłoby do takich sytuacji. Co, do diabła, robiłaś w pawilonie muzycznym? Czy to ten O’Hare cię w to wszystko wplątał? Przeklęty anarchista.

– Nie, to nie tak! Ryan mi pomagał. – Nie przyznałam, że w swoim czasie i ja podejrzewałam go o udział w spisku. – Chcesz wiedzieć, dlaczego tam byłam? Chodzi o zabójcę Paddy’ego.

– Masz szczęście, że w porę przeczytałem list od ciebie – powiedział. – Planowałem spędzić weekend u znajomych na Long Island. Kiedy tam dotarłem, okazało się, że planują bal, a ja zostawiłem smoking w Nowym Jorku. Musiałem szybko wrócić do domu i wtedy znalazłem twój list.

– Przeze mnie nie jesteś na balu – zauważyłam cicho.

– To nic.

– Przykro mi, że oderwałam cię od przyjemności. – Wyobraźnia podsunęła mi widok Daniela z Arabellą Norton w eleganckiej balowej sukni.

– Nie przepraszaj. Jestem najgorszym tancerzem na świecie, tak naprawdę oszczędziłaś mi kompromitacji – odparł. – Chciałbym jednak, byś wyjaśniła mi wszystko po kolei. Z jakiego powodu, u licha, w ogóle tu przyjechałaś? Twój list i te zdjęcia niewiele mi powiedziały. Rozumiem, że to wszystko ma jakiś związek ze śmiercią Paddy’ego Riley’a.

– No tak, byłam zbyt przejęta, by logicznie opisać całą sytuację – przyznałam. – Na dodatek miałam wtedy tylko podejrzenia. Teraz jestem pewna. Leon Czolgosz to zabójca Paddy’ego.

– Leon to ten człowiek, który strzelał do prezydenta?

Kiwnęłam głową.

– Paddy podsłuchał, jak Leon opowiadał Ryanowi o swoich planach. Leon i Paddy mieszkali w tym samym pensjonacie. Coś podejrzewając, Paddy zajrzał do jego pokoju, a kiedy Czolgosz się o tym dowiedział, strasznie się rozzłościł. On i mnie chciał zabić – dodałam.

– Ciebie?

– Tak, włamał się do domu i zaatakował mnie nożem.

– Jakim cudem uszłaś z życiem?

– Dzięki przyjaciółkom, które wróciły w odpowiednim momencie.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Dlaczego nie posłaś z tym na policję?

– Chciałam mieć najpierw w ręku dowody, a kiedy w końcu je zebrałam, okazało się, że Leon jest już w drodze do Buffalo. Dlatego zostawiłam ci wiadomość, a sama przyjechałam tutaj, żeby go powstrzymać.

– Byłbym skończonym głupkiem...

Nie dałam mu dokończyć zdania.

– Danielu, te fotografie... Zdążyłeś się im uważnie przyjrzeć? Zauważyłeś coś ciekawego? Nie mówię teraz o tych zdjęciach z Ryanem i Leonem, ale o tych z sierżantem Wolskim. Rozpoznałeś mężczyznę,

z którym rozmawia? Czy Wolski działał w zмовie z Leonem?

Daniel westchnął.

– Paddy od dość dawna dla mnie pracował. W policji wiedzieliśmy, że któryś z nas jest wtyczką na usługach największych gangów w Nowym Jorku. Ktoś regularnie przekazywał im informacje, bo zawsze byli parę kroków przed nami. Poprosiłem Paddy'ego o pomoc. Cały czas podejrzewałem Wolskiego. I szczerze mówiąc, nadal sądzę, że maczał palce w śmierci Rileya. Dlatego tak bardzo chciałem cię przed tym wszystkim uchronić. Lepiej nie myśleć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby mafia się dowiedziała, że depcesz jej po piętach.

– To dlatego Wolski wydawał się niezainteresowany rozwiązaniem zagadki śmierci Paddy'ego? – zapytałam. – Musiał podejrzewać, że detektyw zbierał przeciwko niemu dowody.

– Miejmy nadzieję, że twoje zdjęcia dadzą nam podstawy do podjęcia odpowiednich kroków – odparł Daniel. – Jak to się stało, że te fotografie nie trafiły do rąk policji?

– Znalazłam aparat w pokoju Paddy'ego. – Uśmiechnęłam się dumnie. – Policjanci przeszukali wcześniej całe mieszkanie, ale bez powodzenia.

Poczułam, że wraca spokój i dobry nastrój. Zadziwiająco szybko – pomyślałam. Pewnie dlatego, że siedzę obok Daniela w zaciemnionym powozie, który wiezie nas w bezpieczne miejsce.

Jak na zawołanie usłyszeliśmy:

– Szefie, jesteśmy na dworcu.

Daniel wychylił się i podał woźnicy dolara.

– Proszę jeszcze chwilę pojeździć dookoła. Nie zakończyliśmy rozmowy.

Tamten kiwnął głową i ruszyliśmy dalej.

– Czyli w ogóle mnie nie posłuchałaś. Na własną rękę prowadziłaś śledztwo, mimo że stanowczo ci tego zabroniłem.

– Ktoś musiał znaleźć mordercę Paddy'ego, a sierżant Wolski nie robił nic, by dochodzenie nabrało tempa.

Daniel zaśmiał się i znów pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Powtarzałaś, że zostaniesz prywatnym detektywem, i dopięłaś swego. To rzeczywiście niefortunne, że do tej sprawy wyznaczono Wolskiego, ale fakt pozostaje faktem: wyprzedziłaś policję.

– Niestety, nic to nie dało – zauważyłam. – Nie zdołaliśmy z Ryanem powstrzymać Leona. Tak mi przykro!

Daniel przytaknął.

– Wydarzyła się wielka tragedia. Prezydent to dobry człowiek. Ale jest silny. Może z tego wyjdzie.

– Mam nadzieję. Szkoda, że żaden z funkcjonariuszy nas nie wysłuchał. Chcieliśmy rozmawiać z szefem ochrony.

– Zrobiliście co w waszej mocy. W policji wiemy od dawna, że nie można mieć na wszystko wpływu. Nawet najwięksi przestępcy pozostają czasem na wolności. Niekiedy stają przed sądem, ale nie idą

wcale do więzienia. Takie są reguły gry. Przekonasz się, jeśli dłużej zostaniesz w tej branży.

– Nie martw się – powiedziałam. – Po tym wszystkim od spraw kryminalnych będę trzymała się z daleka. Paddy nieźle zarabiał na rozwodach i przestępstwach gospodarczych. Tego się będę trzymać.

Daniel wziął mnie za rękę.

– Jesteś niezwykłą kobietą, Molly. – Zmienił się na twarzy. – Nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłem. Bez ciebie moje życie nie ma sensu.

– Jesteś wciąż zaręczony z Arabellą Norton?

– Tak, ale...

– To nie mamy o czym rozmawiać. – Wyrwałam rękę. – Nie możesz mieć nas obydwu. Musisz wybrać.

– Ty nic nie rozumiesz, Molly.

– Oczywiście, że rozumiem. Jest piękna i bogata. A ja biedna, o przeciętnej urodzie. Wybór jest chyba prosty, prawda?

– Ranisz mnie tymi słowami. Uważasz, że pociąga mnie bogactwo? To nie takie proste. Wytlumaczę ci, jeśli pozwolisz.

– Zamieniam się w słuch.

Westchnął.

– Moi rodzice wyjechali z Irlandii podczas wielkiego głodu. Pochodzili z ubogich rodzin. Ojciec doszedł do wysokiego stanowiska w policji ciężką pracą. Pomogły mu też dobre stosunki w Tammany Hall i wuj Arabelli Norton. Jest wpływowym politykiem. Jak sądzisz, dzięki komu przed trzydziestką zostałem kapitanem policji?

Uliczne latarnie oświetlały twarz Daniela. Zauważyłam, że jest poważny i zasmucony.

– Znam Arabellę od lat – ciągnął. – Rodzice zawsze sugerowali, że będzie dla mnie wspaniałą partią. Uważali, że powinienem ich słuchać w tym względzie. Rzeczywiście jest piękna i pochodzi z doskonałej rodziny. Czego chcieć więcej od żony?

– No właśnie. Czego? – zapytałam.

– Zdziwiłem się, kiedy przyjęła oświadczyzny. Różni nas pozycja społeczna, a panna Norton zwraca uwagę na takie rzeczy. Byłem bardzo zadowolony i wszystko ułożyłoby się wspaniale, gdyby nie jedno zdarzenie.

Spojrzałam mu w oczy. W świetle lamp wydawały się błyszczeć.

– Zakochałem się. Nie miałem zamiaru, ale tak się właśnie stało. Kiedy weszłaś do tego pokoju na Ellis Island, wiedziałem, że staniesz się dla mnie kimś ważnym. Nie przejmowałem się, że możesz być mężatką albo że zamordowałaś człowieka. Od pierwszej chwili wiedziałem, że cię kocham.

– A mimo to cały czas jesteś z nią zaręczony.

Położył mi ręce na ramionach.

– Błagam cię, Molly, bądź cierpliwa. Tak wiele mam do stracenia! Jeśli zerwę zaręczyny, Arabella



będzie się mścić. Nigdy już nie awansuję. Mogą nawet znaleźć powód, by w ogóle wyrzucić mnie z policji. Kiedy sprawy idą nie po jej myśli, wpada w potworną złość.

– Ożenisz się z nią, mimo że kochasz mnie? – zapytałam cicho.

– Nie. Przyjąłem pewną strategię. Nie poświęcam Arabelli za wiele czasu. Mam nadzieję, że w końcu się znudzi i mnie rzuci. Może spotka kogoś innego i tak jak ja pozna smak prawdziwej miłości?

Przyciągnął mnie do siebie.

– Przysięgam, Molly, ciebie jedyną kocham. Ale nie mogę tak po prostu odtrącić tego, na co zapracowali moi rodzice. Molly, zgodzisz się na mnie poczekać?

– Niezbyt długo, Danielu – odrzekłam. – Nie będę czekać bez końca i nie nadaję się na kochankę. Nie zamierzam grać drugich skrzypiec. To nie w porządku wobec niej. Przyjdź do mnie tego samego dnia, kiedy zerwiesz zaręczyny. Ale do tego czasu...

– Rozumiem – powiedział. – Masz zasady i to w tobie lubię. Tak samo jak włosy, ramiona i... Molly, nie mogę być tak blisko i cię nie dotykać.

Nagle znalazłam się w jego ramionach, obsypywał mnie pocałunkami. Przytomność umysłu i rozwaga zawsze gdzieś znikają, kiedy byłam z Danielem. Nie wiem, jak dużo czasu spędziliśmy w tym powozie. Wiem tylko, że woźnica zarobił kolejnego dolara. Czas przestał się liczyć. Byłam szczęśliwa, że Daniel mnie kocha i że znów jesteśmy razem.

W pewnym momencie trzeba było jednak wrócić do rzeczywistości. Wsiadłam z powozu. Na dworcu kłębił się tłum, wszyscy próbowali wydostać się z miasta. Na szczęście Danielowi udało się znaleźć dla mnie miejsce w pociągu.

– Jesteś bezpieczna – powiedział.

– Nie pojedziemy razem? – spytałam.

– Mam rozkaz od naczelnika, który jutro przyjeżdża tutaj z Nowego Jorku. Muszę zostać w Buffalo i zdać mu dokładną relację z przebiegu wydarzeń – odparł. – Kiedy rozejdzie się wiadomość o zamachu, mogą wybuchnąć zamieszki. Nie chcemy, by zginęli niewinni ludzie. Jedź do domu, Molly, i uważaj na siebie.

Do Nowego Jorku wracałam nocnym pociągiem. Co za różnica w porównaniu z podróżą zaledwie dwa dni temu! Smutni, zamyśleni ludzie w milczeniu patrzyli w ciemne okna. Odzywali się do siebie tylko szeptem. Jakaś kobieta w dalszej części wagonu szlochała. Przez całą drogę nie zmrużyłam oka, bo bałam się, że ktoś mnie rozpozna. Pierwsze promienie słońca oświetliły brzegi Hudson, a zaraz potem pociąg wtoczył się na Grand Central. Kiedy dotarłam do domu, Sid i Gus były wściekłe.

– Jak mogłaś pojechać bez nas do Buffalo, Molly? – z wyrzutem zapytała Sid, podając mi filiżankę herbaty.

– Nie chciałam narażać was na niebezpieczeństwo – odparłam.

– Ale my chciałyśmy się narażać! – krzyknęła Sid. – Wszystko nam umknęło, cała zabawa...

– Nie było w tym nic zabawnego – powiedziałam. – To było straszne. Myślałam, że zatrzymają nas w więzieniu, potem o mały włos nie rozszarpał mnie tłum...

– Ale dlaczego? Przecież pojechałaś do Buffalo, by powstrzymać tego człowieka. Broniałaś prezydenta. Dlaczego tłum cię zaatakował?

– Wszyscy myśleli, że działamy w zмовie z Leonem.

Sid i Gus wymieniły spojrzenia.

– Ryan będzie bez końca o tym opowiadał. To musiało być ekscytujące.

– On był równie przerażony jak ja. A w dodatku premiera wcale się nie odbyła.

– No tak, sztuka – westchnęła Gus. – Zapomniałam. W Nowym Jorku też zamknęli teatry. Ryan będzie musiał poczekać, aż sytuacja się uspokoi. To może chwilę potrwać, bo prezydent przecież od razu nie wyzdrowieje.

– Przynajmniej Leon trafił za kratki – zauważyłam. – Już nikomu nie zrobi krzywdy.

– Ale ty nie wyglądasz mi za dobrze, Molly – stwierdziła Gus, uważnie przyglądając się mojej twarzy.

– Cała jestem posiniaczona. Zepchnęli nas ze schodów i siłą wsadzili do furgonetki.

– Czy twoje życie już zawsze będzie tak wyglądać? – zapytała Sid. – Bo jeśli tak, raczej nie doczekasz trzydziestych urodzin.

Z przyjemnością pociągnęłam łyk herbaty. Sid postawiła przede mną bułeczki i dżem. Budziłam się powoli z długiego koszmarnego snu.

– Od dziś postaram się być rozsądna. Zajmę się tylko łatwymi sprawami, kryminalne zostawię policji.

– Ale dalej będziesz detektywem?

– Ostrożnym detektywem. Tak jak planowałam, zacznę szukać zaginionych w Ameryce.

– To brzmi bezpiecznie – przyznała Gus.

– No i muszę też sobie poszukać własnego mieszkania. – Patrzyłam to na jedną, to na drugą. –

Przepraszam, że z mojej winy najadłyście się strachu, a byłyście dla mnie takie dobre!

Sid położyła mi rękę na ramieniu.

– Molly, proszę, nie wygłupiaj się. Ile razy mamy ci mówić, że strasznie nam się to wszystko podobało? Ta cała historia wyrwała nas z rutyny. Ja właśnie kończę artykuł na temat niesprawiedliwego traktowania kobiet, a Gus maluje wielki obraz o tematyce związanej z przemocą. Nie możesz nas teraz zostawić.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Skoro nalegacie. Cała przyjemność po mojej stronie.

Następnego ranka Ryan wrócił do Nowego Jorku i od razu skierował swoje kroki na Patchin Place. Już od wejścia zażądał kawy po turecku.

– Wróciłem właśnie z czarnej dziury w Buffalo i potrzebuję czułej opieki – oznajmił, zapadając się w wiklinowym fotelu.

– Kochany, dzielny Ryan. To musiało być okropne – powiedziała Gus, stawiając przed nim filiżankę kawy. – Czy byli okrutni?

– Moja droga, oni mnie torturowali! – Uczynił teatralny gest.

– Co ci te świny zrobiły? – zainteresowała się Sid.

– Przede wszystkim musiałem pić z blaszanego kubka – odparł. – Odmówiono mi również chińskiej herbaty, która by mi zastąpiła kawę. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak barbarzyński jest ten kraj poza granicami miasta Nowy Jork. Dlatego uroczyście oświadczam, że już się stąd nigdzie nie ruszam.

– Kiedy cię wypuścili? – zapytałam. – Siedziałeś w celi całą noc?

– Całą noc i prawie cały kolejny dzień. Moje drogie, czułem się jak więzień Chillonu. Chyba posiwiały mi włosy. Potem wreszcie pojawił się młody rozgarnięty prawnik i przekonał ich, że jestem ostatnią osobą, która mogłaby nastawać na życie prezydenta. Przecież tego samego wieczoru miała się odbyć prapremiera mojej sztuki! W końcu wypuszczono mnie łaskawie, nie bez pewnych pogroźek.

– A sztuka? – dopytywała się Sid. – Co się stanie z twoją sztuką?

Kolejny dramatyczny gest.

– Miejmy nadzieję, że McKinley szybko odzyska siły i że zgodnie z planem zagramy w Daley. Ale pomyślcie, jaka sława na mnie spłynęła! Zgodziłem się udzielić kilku wywiadów. Posłuchajcie tylko: „Mój związek z mężczyzną, który strzelał do prezydenta – wywiad z Ryanem O’Hare, sławnym dramaturgiem, autorem sztuki *Przyjaciele i sąsiedzi*”. Przez cały miesiąc będę mógł sobie pozwolić na niedzielne kolacje w restauracjach.

Zaśmiali się radośnie. Patrzyłam na nich zdziwiona. Czyżby zapomnieli, że gdzieś w tym wszystkim jest walczący o życie prezydent? Zdałam sobie sprawę, że Greenwich Village to miejsce, w którym rządzą inne reguły – ironia i cynizm. Ale przecież Sid i Gus były dla mnie takie dobre! Nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić.

Ryan nie rzucał słów na wiatr. Na pierwszych stronach nowojorskich gazet ukazał się artykuł pod tytułem *Mój związek z mężczyzną, który strzelał do prezydenta – wywiad z Ryanem O’Hare, sławnym dramaturgiem...* Dzięki temu o Ryaniu i jego sztuce usłyszał cały kraj.

A pod koniec tygodnia w moich drzwiach stanął Szelma i oznajmił:

– Przyjechał do ciebie prawdziwy powóz ze stangretem. Mam ci wręczyć ten list.

Spojrzałam na nazwisko nadawcy. Panna Van Woekem! Treść brzmiała: *Dowiedziałam się, że byłaś zaangażowana w tę niesłychaną historię. Umieram z ciekawości! Zapraszam do mnie jutro na lunch.*

Teraz, kiedy od tamtego dramatu minęło kilka dni, a McKinley wciąż żył, nastroje nieco się poprawiły. Zamach na prezydenta przestał już budzić grozę, postrzegano go raczej jako ciekawe i fascynujące wydarzenie, o którym chętnie rozprawiał cały Nowy Jork.

– Napiszę zaraz odpowiedź i poproszę, żebyś przekazał ją tej miłej pani.

Pogładziłam Szelmę po włosach, które zdecydowanie domagały się dokładnego umycia i przystrzyżenia. Poczułam nagle, że gryzie mnie sumienie.

– Co u was? Jak się mają tata i siostra?

– Niezbyt dobrze – odparł.

– Tacie się pogorszyło?

Pokręcił głową.

– Tata ma się lepiej. Chodzi już tak jak przed wypadkiem. Prosił, żebym nie zawracał ci głowy naszymi problemami.

– Masz mi zaraz wszystko opowiedzieć. Wasze kłopoty leżą mi na sercu.

Szelma zrobił śmieszny minę.

– Ten potwór wyrzuca nas z domu.

– Pani O’Hallaran?

– Tak. Powiedziała, że rujnujemy jej mieszkanie i mamy się wynosić do końca tygodnia.

– To straszne. Dokąd pójdziecie? Nuala już coś znalazła?

Zaprzeczył.

– Nie. Nie jest przy forsie.

– Seamus! Gdzie się tak nauczyłeś mówić? Co to za określenie „nie jest przy forsie”?

– Tak mówią w Nowym Jorku. Ja też jestem nowojorczykiem. – Popatrzył wyzywająco.

Toczyłam sama ze sobą wewnętrzną walkę. Polubiłam wygodne życie przy Patchin Place, ale nie mogłam pozwolić, by te dzieci wróciły do slumsów. W gruncie rzeczy wszystko zawdzięczałam ich matce, Kathleen. Poza tym pokochałam małego Seamusa i jego siostrę.

– W drodze na lunch do panny Van Woekem odwiedzę was i porozmawiam z twoim tatą – powiedziałam. – Nie martw się, znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Molly, wrócisz do nas? – Chłopiec popatrzył na mnie z nadzieją w oczach. – Było lepiej, kiedy z nami mieszkałaś. To nic, że kazałaś mi się myć.

– Pomyślimy o tym – odparłam. – No, leć już.

Następnego dnia poszłam z wizytą do panny Van Woekem.

– Drogie dziecko, jak dobrze, że przyszedłeś – powiedziała, kiedy służąca podała nam po kieliszku sherry. – Opowiadaj. I proszę, nie pomiń żadnych szczegółów.

Byłam akurat w samym środku historii, kiedy pannę Van Woekem zaniepokoiły hałasy na ulicy.

– Coś się stało – zauważyła.

– Ale co?

– Nie wiem, podejdź do okna i wyjrzyj.

Usłyszałam z daleka lament i płacz. Z okna naprzeciwko zwisała czarna flaga. Mały gazeciarz, idąc ulicą, pokrzykiwał: „McKinley nie żyje! McKinley nie żyje!”

Panna Van Woekem westchnęła.

– Podobno teraz kowboj zostanie prezydentem – powiedziała. – Co też się dzieje na tym świecie!

Zadrżałam. Jak zmieni się moje życie?

# Posłowie

Molly Murphy i większość bohaterów tej powieści to postaci fikcyjne, ale wydarzenia związane z zamachem na prezydenta McKinleya są prawdziwe. Leon Czolgosz, samotny zamachowiec, był i jest dla historyków zagadką. Nie należał do żadnej konkretnej grupy; pojawiał się na spotkaniach anarchistów, ale nawet wśród nich wzbudzał podejrzania. Rodzina uważała go za wariata i starała się zatrzymać na prowincji. Nie pracował, ale z jakiegoś powodu stać go było na luksusy, na przykład cygara. Strzelał do prezydenta z pistoletu ukrytego pod zwykłą chusteczką do nosa. W czasie przesłuchania twierdził, że działał w pojedynkę. Przyznał, że inspirowała go Emma Goldman, ale ona nie przypominała sobie spotkania z zabójcą prezydenta.

Historycy nie potrafili podać przekonujących powodów, dla których Czolgosz dopuścił się takiego czynu. W tej powieści pokusiłam się o parę domysłów i spróbowałam znaleźć motywy jego postępowania.

**Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazała się powieść Rhys Bowen**

# **PRAWO PANNY MURPHY**

**2013**

# Przypisy

- [1] Flatiron (ang.) – żelazko (wszystkie przypisy tłumaczkii).
- [2] W języku angielskim „narzeczona” to z francuskiego *fiancée*.
- [3] Elevated Railway – kolejka nadziemna, działająca w Nowym Jorku od 1867 roku.
- [4] *Auld Lang Syne* – wiersz Roberta Burnsa, szkockiego poety żyjącego w XVIII wieku; w przekładzie Stanisława Kryńskiego.
- [5] Vassar – prywatny college, koedukacyjny i liberalny, założony w 1861 roku w Poughkeepsie w stanie Nowy Jork.
- [6] Emma Goldman (1869–1940) – urodzona w Kownie anarchistka. Znana z radykalizmu inspiratorka aktów terroru. Zasłynęła zdaniem: „Jeśli nie mogę tańczyć, to nie jest moja rewolucja”.
- [7] Mowa o Pan-American Exposition w 1901 roku. Na obszarze o powierzchni 1,4 km<sup>2</sup> zaprezentowano najnowsze wynalazki, między innymi pierwszy aparat rentgenowski. Nie zabrakło też rozmaitych atrakcji dla publiczności, wśród nich iluminacji świetlnych.